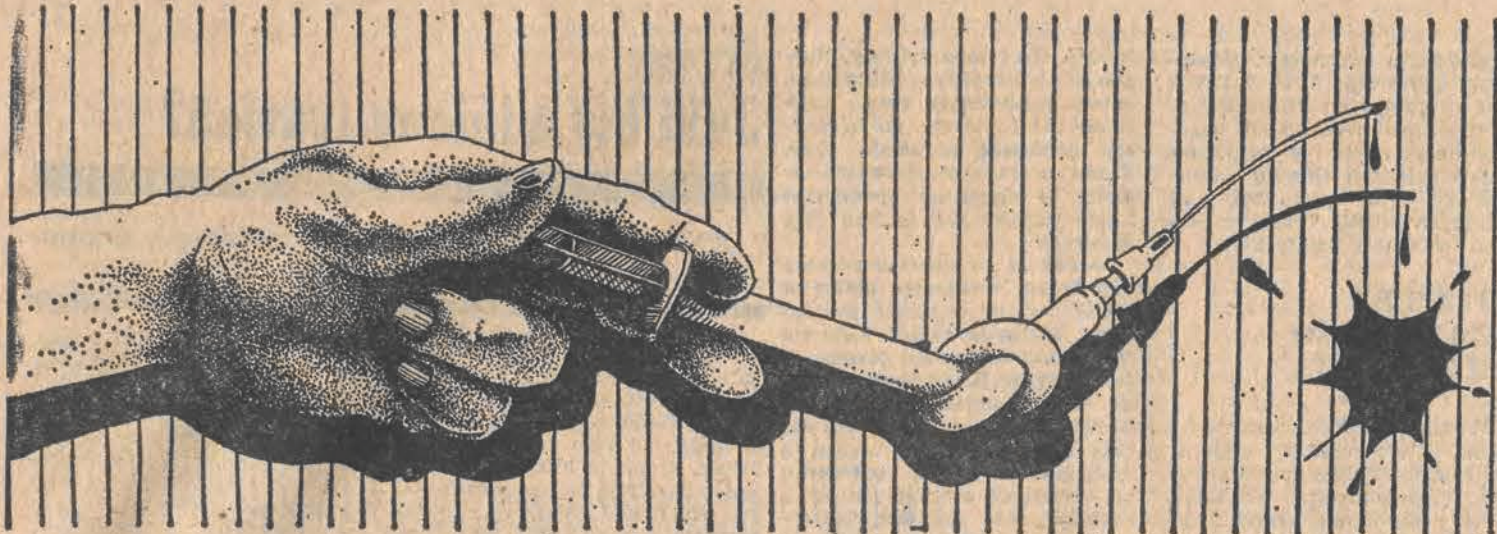




Rys. Dariusz Romanowicz

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 7 (1611)

12 LUTEGO 1989 ROKU

CENA 80 ZŁ

- Andrzej Makowiecki: „Pięćdziesiąt melonów” — str. 11
- Andrzej Brycht: „Azyl polityczny” — str. 16
- Adam Ochocki: „Handel na Nowomiejskiej” — str. 1 i 5
- Anatolij Rybakow: „Trzydziesty piąty i dalsze lata” — str. 10
- Lew Razgon: „Człowiek nieuległy” — str. 10

Nie był człowiekiem wybitnym, lecz słabym i sentymentalnym. Jego kult zniknął z niezwykłą szybkością...

Jak doszedł do władzy i jak rządził Leonid Breżniew

ROY MIEDWIEDIEW

Pierwsze poważne problemy ze zdrowiem Leonid Breżniew zaczął odczuwać prawdopodobnie w latach 1969–70. Na początku 1976 roku przeżył to, co zwykle się nazywało śmiercią

kliniczną. Udało się go wówczas uratować i przywrócić do życia, chociaż przez trzy miesiące po tym wypadku nie mógł pracować, porażony został układ nerwowy. Miał trudności z mową. Od tej pory Leonidowi Breżniewowi towarzyszyła grupa lekarzy — specjalistów w dziedzinie reanimacji, wyposażonych z niezbędny sprzęt medyczny. Lekarze nieprzerwanie pełnili przy nim dyżury, a tam gdzie mieszkał, urządzono odpowiednio wyposażone gabinety lekarskie. Choć stan zdrowia naszych przywódców należy do tej kategorii informacji, które nie trafiają na łamy prasy, to jednak postępująca niemoc Leonida Breżniewa była czymś oczywistym dla wszystkich, któ-

rzy mogli go oglądać na ekranach telewizorów.

Stan zdrowia Leonida Breżniewa wpływał na jego zdolność kierowania krajem.

Często zmuszony był przerywać wykonywanie swoich obowiązków lub też przerzucać je na nieustannie rozzastawiający się sztab jego osobistych pomocników. Roboczy dzień Leonida Breżniewa uległ skróceniu do kilku godzin. Zaczął on też wyjeżdżać na urlop nie tylko latem, ale i wiosną. Stopniowo z coraz większym trudem przechodził mu wypełnianie nawet prostych obowiązków protokołarnych i na dobrą sprawę przestał orientować się w tym, co dzieje się wokół niego. Ist-

Czy to jest sposób na uzdrowienie służby zdrowia?

Poza granicą cierpliwości i dobrej woli

BOGDA MADEJ

„Wobec przedstawionego projektu placowego my jednogłośnie zrezygnujemy z pracy, proponując Panu Dyrektorowi wywieszenie w Izbie Przyjęć informacji, że pacjent zobowiązany jest do zabrania ze sobą do szpitala oprócz dowodu osobistego, legitymacji ubezpieczeniowej, szczoteczki do zębów również posiłków.

Bzrni to trywialnie, groteskowo, ale jesteśmy zmuszeni do ostateczności.

Z wyrazami szacunku i myślą o lepszym jutrze pracownicy Zakładu Żywnienia Wojewódzkiego Szpitalu Zespołowego im. Mikołaja Kopernika”

Ten dziwny oraz ze wszech miar autentyczny dokument podpisało 35 osób.

Osiem pracownicy centrali telefonicznej tego szpitala zażądało zwiększenia premii uznaniowej z 20 do 50 procent. Swoje żądanie uzasadniają tym, że pracują w ciasnym, dusznym i ciemnym pomieszczeniu, na trzy zmiany, bez zastępstw w przypadku choroby.

„Chciałbym zwrócić uwagę na dyskryminację techników medycznych, pracowników socjalnych w stosunku do innych grup zawodowych, jakkolwiek pracują oni z chorymi wyjątkowo trudnymi oraz deprecjonowanie personelu wysoko wykwalifikowanego w stosunku do wiejskiej ochrony zdrowia.

(...) Podane nam propozycje nie spełniają minimalnych warunków poprawy. Stanowią dowód pozornych działań w tym zakresie i nie są możliwe do zaakceptowania”.

Opinię tę podpisał kierownik Wojewódzkiej Poradni Zaopatrzenia Ortopedycznego.

Na zebraniu konsultacyjnym poświęconym ocenie projektów zarządzeń Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej dotyczących podwyżki plac w służbie zdrowia w Wojewódzkim Szpitalu Zespołowym im. Mikołaja Kopernika w Łodzi jeden z uczestników powiedział:

— Istnieje szereg stanowisk pracy, w tym niemałe wszystkich lekarzy, którzy muszą otrzymać znaczne obligatoryjne podwyżki plac — i słusznie — ale ograniczyć to w sposób radykalny możliwość właściwego podniesienia plac innym grupom zawodowym.

Przewodniczący Federacji ZZ Pracowników Ochrony Zdrowia — Wojciech Guglas oświadczył:

— Uważamy, że pracownicy służby zdrowia wykazali maksimum cierpliwości i dobrej woli. Dlatego popieramy stanowisko gdańskie uznając, że jeśli do 5 lutego nie nastąpi uruchomienie środków na podwyżki i wprowadzenie nowego taryfikatora, związki zawodowe w służbie zdrowia rozpoczną akcję protestacyjną.

Na podwyżki według zaprezentowanego projektu Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej przeznaczono 251

niało jednakże wiele wpływowych osób, dogłębnie zdemoralizowanych i grzeszących w korupcji — którzy byli zainteresowani tym, aby od czasu do czasu, mimo wszystko, Leonid Breżniew pokazywał się publicznie, jako formalna głowa państwa. Osoby te dosłownie prowadziły go pod rękę i osiągnęły to, co najgorsze: starość, niemoc i choroba przywódcy radzieckiego stały się nie tyle przedmiotem współczucia i żalu jego współobywateli, ile powodem do rozdrażnienia i żartów, które opowiadano coraz bardziej otwarcie.

Jeszcze 7 listopada 1982 roku Breżniew przez kilka godzin, nie zważając na złą pogodę, obserwował z trybuny na Mauzoleum defiladę i manifestację, a

gazety zagraniczne pisały nawet, że w tym dniu wyglądał lepiej niż zwykle. Koniec nastąpił jednakże już po trzech dniach. Rano, w porze śniadania Leonid Breżniew poszedł po coś do swojego gabinetu i długo nie wracał. Zaniepokojona żona udała się do niego i zobaczyła go leżącego na dywanie obok biurka. Wysiłki lekarzy tym razem na nie się już nie zdały.

Leonid Breżniew nie był wielkim czy choćby wybitnym człowiekiem.

Gdybym miał wystawić mu krótką charakterystykę, to określiłbym go jako jednostkę słabą i to



Nie istniejący dom przy ul. Ogrodowej 9. Działają na odcinku od Nowomiejskiej do Zachodniej rozlegają się skwer. A do 1939 roku roilo się tu od sklepów różnych brzoń i hurtowni. Foto: Muzeum Historii Miasta Łodzi

Łódź: historia, wspomnienia, relacje Dawny handel na ulicy Nowomiejskiej

ADAM OCHOCKI

Gimnazjum matematyczno-przyrodnicze Wiśniewskiego przy ul. Gabriela Narutowicza 58 było trzecią z kolei, bynajmniej nie ostatnią „budą” w mojej karierze sztubackiej. Dyrektor szkoły Konstanty Wiśniewski słynął w środowisku uczniowskim jako „Migdał”. Do dziś nie wiem, czy swój przydomek zawdzięczał temu owocowi z powodu owalnej, zwałającej się ku dołowi twarzy, ozdobionej wąsem i kokieterijną splebórką, czy z racji charakteru, ale przecież bywało i słodkie migdały?

Jego zastępca, inspektor Zenon Keppe, o oliwkowej cerze, gorących, ciemnych oczach, zabójczym uśmiechu, bujnej, czarnej czuprynie, wyglądał jak typowy Cygan i nie dorobił się żadnego przezwiska. Nazywaliśmy go po prostu „Zenkiem”.

Zarówno jeden jak i drugi pan mieli charakterystyczne od-ruchy, zwłaszcza przy witaniu się. Gdy podawali rękę, „Zenek” wyrzucał w bok nogę, zaś dyrcio na lekko zgłetych kolanach robił półprzysiad. „Ale fajnie wekstują!” — pialiśmy z zachwytem.

Okrutnie mnie to śmieszyło i któregoś dnia postanowiłem na dużej pauzie wiernie odtworzyć taką scenę. Do współpracy zaprosiłem drugiego hultaja z naszej klasy „Patałacha” (wybacz, stary, nie tylko twoje nazwisko, ale i imię wyleciały mi z głowy). Cwyciem mego kompana za rękę, zawolałem: „Dzień dobry, panie dyrektorze!” — i buch, nóżka w bok, a pojętny „Patałach” na to: „Dzień dobry, panie inspektorze!” — i cich, przysiad. Przy rechocie kolegów powtórzyliśmy nasz numer kilkanaście razy. Raptem „Patałach” znieruchomiał.

— Czemu stoisz jak malowana lala! Rób,

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.
Telefony: redaktor naczelny
36-52-44,
sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36-80-99,
publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.
Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.
Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gębarowski,
Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Zofia
Kędziora, Marek Koprowski,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej
Makowiecki, Paweł
Tomaszewski, Marian
Zdrojewski.
Grafik: Janusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałęsiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błaziejewski,
Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadamski,
Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasyl
Kocznow (Iwanowo),
Włodzimierz Krzeminski,
Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochocki, Jerzy
Panasewicz, Maciej
Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i O-
głoszeń Łódź, ul. Sienkiewicza
3/5 tel. 32-59-11.

Organizacja reklamy: Andrzej
Bartosiewicz tel. 36-80-99.
Za treść ogłoszeń redakcja nie
odpowiada.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa-Książka-
Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerw-
nej 23

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie odpo-
wiada

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woj-
ewódzkich i pozostałych miastach,
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” zamawiają prenumeratę
w tych oddziałach — insty-
tucje i zakłady pracy zlo-
kalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumerato-
rów — osoby fizyczne zamiesz-
kałe na wsi i w miejscowościach,
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. 3. Osoby
fizyczne zamieszkałe w miastach
— siedzibach Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opłacają
prenumeratę w urzędach poczt-
owych i u doręczycieli. 4. Wpłaty
dokonuje się używając
blankietu „wpłaty” na rachunek
bankowy miejscowego Oddziału
RSW „Prasa-Książka-Ruch”. 5.
Prenumeratę ze zleceniem wy-
syłki za granicę przyjmują
RSW „Prasa-Książka-Ruch”.
Centrala Kół Portu Prasy i
Wydawnictw, ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa, konto PKO BP
XV Oddział w Warszawie nr
1658-201045-139-11. Prenumerata
ze zleceniem wysyłki za granicę
poczta zwykła jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pra-
cy. Terminy przyjmowania pre-
numeraty na kraj i za granicę —
do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenu-
meraty roku bieżącego.
Zam. 323. D-10.

Przegląd prasy

W 1988 roku Polska miała
wciąż jeszcze niższy dochód na-
rodowy na jednego mieszkańca
niż w 1978 roku. Wytworzony
dochód był niższy o około 8 proc.,
a podzieleny aż o 13 proc. W
końcu listopada zadłużenie PRL
wynosiło 38,9 mld dolarów USA
oraz 6,8 mld rubli. Statystyczny
Polak był więc winien zagranicy
1029 dolarów i 180 rubli.

Z obszernego komunikatu
GUS na łamach „RZECZYPO-
SPOLITEJ” (nr 23) wynika, że
w roku ubiegłym przeciętne wy-
nagrodzenie miesięczne w gos-
podarce uspołecznionej wynosiło
51,8 tys. zł i wzrosło w po-
równaniu z 1987 r. o 77,5 proc.
We wrześniu 1988 r. struktura
zatrudnienia według wysokości
wynagrodzenia kształtowała się
następująco: do 20 tys. zł zarab-
biało 0,7 proc. osób, od 20 tys.
do 30 tys. zł — 7,8 proc., od
30 tys. do 50 tys. zł — 43,0
proc., od 50 tys. do 70 tys. zł —
31,4 proc., od 70 tys. do 90
tys. zł — 10,7 proc., powyżej 90
tys. zł — 6,4 proc.

W ostatnich czterech latach
notowano coraz wyższy wzrost
cen detalicznych: 1985 r. — 15,0
proc., 1986 r. — 17,5 proc., 1987
r. — 25,3 proc., 1988 r. — 61
proc. W minionym roku ceny
żywności wzrosły o 50 proc.,
napojów alkoholowych o 68
proc., artykułów nieżywności-
wych o 65 proc. usług konsum-
pcyjnych o 63 proc.

Na rynku światowym ubiegły
rok był pomyślny dla produ-
centów surowców. Andrzej Do-
minowski i Witold Roman po-
dają w „ŻYCIU GOSPODAR-
CZYM” (nr 5), że żywność po-
drożała o 21,9 proc., surowce
przemysłowe o 28,7 proc., metale
o 45,1 proc. Tylko ceny ropy
obniżyły się o 10,6 proc. W
grudniu jedna tona wybranych
surowców kosztowała (podaje
w zaokrągleniu): pszenicy — 159
dol., kawy — 2749 dol., herba-
ty — 1942 dol., cukru — 248
dol., siarki — 101 dol., węgla
kamiennego — 44 dol.

PRZYBLIŻONA RÓWNOWAGA MILITARNA

Prawdziwą sensację wywo-
łało oświadczenie Komitetu
Ministrów Obrony Państw —
Stron Układu Warszawskiego.
Pełny tekst opublikowały
dzienniki „TRYBUNA LUDU”
(nr 26) i „RZECZPOSPOLITA”
(nr 26). Po raz pierwszy ujawni-
ono realne dane o siłach
zbrojnych Układu Warszaw-
skiego i Paktu Północnoatlan-
tyckiego w Europie i przy-
legających akwenach od Atlan-
tyku do Uralu.

Największymi armiami w
tym rejonie dysponują kolejno
następujące państwa: ZSRR —
2 mln 458 tys. żołnierzy i ofi-
cerów, Turcja — 598 tys.,
USA — 593 tys., RFN — 495
tys., Włochy — 396 tys., Pol-
ska — 347 tys., Wielka Bryta-
nia — 311 tys., Hiszpania —
283 tys., Czechosłowacja —
200 tys., Grecja — 190 tys.,
NRD — 173 tys., Rumunia —
171 tys., Bułgaria — 117 tys.,
Węgry — 107 tys., Holandia
101 tys. Łącznie siły zbrojne
Układu Warszawskiego liczą
3 mln 573 tys. osób, zaś Pak-
tu Północnoatlantycznego —
3 mln 660 tys. osób.

Układ Warszawski ma prze-
wagę w czołgach, wyrzutniach
rakiet taktycznych, bojowych
wózach piechoty i transporte-
rach opancerzonych, a także w
artylerii i okrętach podwod-
nych z uzbrojeniem rakietowo-
torpedowym. Natomiast
NATO posiada przewagę w
siłach morskich, uderzenio-
wych samolotach lotnictwa
frontowego i morskiego, śmi-
głowcach bojowych, wyrzut-
niach przeciwpancernych po-
cisków kierowanych. Oba u-
grupowania mają podobną li-
czebność wojsk lądowych i lot-
niczych.

Atomowe okręty podwodne w
rejonie europejskim mają tyl-
ko cztery państwa: ZSRR —
80, USA — 56, Wielka Bryta-
nia — 16, Francja — 4. Naj-
więcej czołgów posiadają:
ZSRR — 41580, USA — 6980,
RFN — 4900, Czechosłowacja —
4585, Turcja — 4320, Polska —
3330, Rumunia — 3200, Francja
— 3190, NRD — 3140, Włochy
— 2330, Bułgaria — 2200, Wiel-
ka Brytania i Grecja — po
2000, Hiszpania — 1850.

W ogólnym bilansie nie u-

względniono potencjału strate-
giczno-jądrowego USA i ZSRR
oraz sił zbrojnych USA i Kana-
dy dyslokowanych na ich włas-
nych terytoriach i w przylega-
jących rejonach Oceanu Atlan-
tyckiego. Nie ujęto też sił
zbrojnych ZSRR rozmieszczo-
nych w części azjatyckiej.

POTRZEBA WZAJEMNEGO ZROZUMIENIA

Wspólnym dorobkiem ludz-
kości, który należy chronić,
jest kultura. Każdy naród stwo-
rzył niepowtarzalną wartość.
Kultury narodowe trzeba trak-
tować jako w pełni równo-
prawne.

W rozmowie z Wiesławem Ro-
gowskim, opublikowanej w ty-
godniku „ARGUMENTY” (nr 6),
prof. Dmitrij Lichaczow propo-
nuje upowszechnić termin „eko-
logia kultury”. Żyjemy bowiem
nie tylko w biosferze. Sprawy
kultury są tak mocno ważne
jak zagadnienia ekologii przy-
rody.

„Wraz z obumieraniem jakie-
kolwiek, nawet najmniejsze-
go narodu, ginie także część o-
gólnoludzkiej kultury. Mamy
więc obowiązek ochronić kultu-
rę całej ludzkości, pamiętając,
że jej dorobek stanowi naszą
wspólną własność. I dlatego ani
Grecy, ani Muzeum Brytyjskie,
ani Ermitaż nie mają prawa
uważać, że zabytki, dzieła kul-
tury, jakie posiadają, należą
wyłącznie do nich. Powinien być
opracowany kodeks postępowania
obowiązujący wszystkich,
którzy dysponują i mają pod
swoją opieką dobra kultury,
wskazujący, jak je chronić, a
także udostępniać”.

Jedną z form ekologicznej o-
bronny narodu jest ochrona je-
zyka. W cywilizacji współczes-
nej języki ubożeją w zakresie
liczby używanych słów, a tak-
że pod względem frazeologii i
intonacji. U wielu narodów ob-
sługujemy szybszy sposób m-
wienia. Jest to zły objaw.

„Dawniej ludzie rozmawiali z
pewną powagą, powoli, wyra-
żało to szacunek dla słowa. W
Anglii był w użyciu styl oks-
fordzki. Działal w Anglii już
go nie ma. Za mojego życia
język rosyjski stał się szybszy,
bardzo się zmienił. Jest to coś
w rodzaju beznadziejnego gadania.
Starzy ludzie mówili przysło-
wiami, używali powiedzeń za-
czerpniętych z literatury i nie
tylko z niej. W Krakowie roz-
mawiałem z Kurylowiczem,
który znakomicie zna rosyjską
literaturę, mówił pięknie po ro-
syjsku. Używał całych uryw-
ków z „Martwych dusz” Gogola
i z „Madremu biada” Gribiedowa.
To było wspaniałe! Dziś
takich ludzi jest już bardzo
mało. (...)

Musimy rozumieć Polaków,
Estończyków, Litwinów, Ormian.
To dzisiaj bardzo ważna sprawa.
Znać ich psychologię, a na-
wet ich nieprzejrzałość, jej przy-
czynę. Rosjanie ponoszą wiele
win wobec polskiego narodu.
Ale naród polski powinien zo-
rozumieć, że my również ponosi-
my straty.

Istnieje sprawa zabójstwa pol-
skich oficerów, weźmy to za
przykład. Nie wiem co tam
szczegółowo zaszło. Ale jeśli, co
najgorsze, rozstrzelali ich oby-
watele radzieccy, to trzeba pa-
miętać, że jeszcze większa licz-
ba naszych rodaków została roz-
strzelana przez tych samych
ludzi, że oni również zabiłi i
nas. To wspólne, podobne nie-
szczęście”.

SOCJALNO-OPASNY ELEMENT

Już półtora roku temu dru-
kowaliśmy w „Odgłosach”
wspomnienia Adama Ochockiego
z obozów pracy na terenie
ZSRR (wersję książkową wy-
daje TKKS). A później podobne
relacje zaczęły ukazywać się w
wielu czasopiśmie. Na łamach
„TYGODNIKA DEMOKRATY-
CZNEGO” (nr 5) Tadeusz M.
Czerkawski pisze o więzieniu
dniepropietrowskim, w którym
przebywały również obywateli
radzieckie skazane za „progul”
(naruszenie dyscypliny pracy).
Były to bardzo życzliwe dla Po-
laków i wesołe dziewczęta.

„Kiedyś wszystkie cele kobie-
ce zaczęły potworny gwałt,
krzyk i rwetes. Bębniły drewnia-
nymi łżkami w „pasudy”,
łomotały w drzwi. Jednocześnie
skandowanie: «My chcemy do
chłopów». «My chcemy się ko-
chać». Wyrażały to bardziej try-
wialnie używając uniwersalnego
czasownika na literę «j», jaki i
u nas istnieje, jeno w porząd-
ku alfabetycznym dużo dalej.
Stwierdziłszy jak nadziarliwie
otwiera jedną z cel kobiecych.
Przywarliłszy twarzami do
szpar w drzwiach chcą coś zo-

baczyć. No i zobaczyliśmy. Naj-
pierw wyrzuciły akwiszasa,
potem poostwierali reszły bab-
skich cel i zaczęły po koryta-
rzu defilować w stroju Ewy.
Kłapa w naszych drzwiach o-
padła i mogliśmy podziwiać
nasze rusalki jak je Pan Bóg
stworzył.

— Eto ja — mówiła perkata
blondynka, wsadzając głowę w
otwór — ty, wysoki pocałuj
mnie. Co mam robić? Kobiect
nie wolno odmawiać jeszcze w
takiej sytuacji. Obejmuję mnie
za szyję i gryzie mi do krwi
wargę. Potem obaj żołnierze ka-
lują dwie pozostałe. Jeden z
nich głasze swoją partnerkę
za «futerku», a ta aż piszczy z
rozkoszy. Ale już leca zaal-
mowani strażnicy, wezwani na
pomoc i zapędzają dziewczęta
do cel. Nie wiem, czy nie skoń-
czyło się to dla niektórych kar-
cerem, dla nas wynikiem tej
awanturki była nocna rewizja.
Niczego nie znalezione.

Po kilku dniach nocą wywo-
łano nas z celi z rzecznymi. O-
budziły się nasze ukochane i
pokrzykiwały, by o nich nie za-
pomnieć. Nie zapomniałem i nie
zapomnę. Wspaniałe, pełne se-
rca kobiety. I taka fantazja”.

Nas już na taką fantazję po
rocznym pobyście w tur-
mie nie było stać. One prze-
bywały dopiero tutaj od kilku
tygodni i na swojej ziemi”.

Tadeusz M. Czerkawski my-
ślał, że za nielegalne przejście
granic grozi mu rok więzienia.
Wierzył w sprawiedliwość so-
cjalistyczną i był optymistą. A
tymczasem został skazany przez
sąd specjalny jako „socioalno-
opasny element na pięć lat
zakończonych w sowieckich tru-
dowospitałach i łagierach”.

Kiedy nie chciał podpisać wy-
roku sądowego, oficer NKWD
powiedział: „Czort z tobą i tak
sidić! budiesz. Nu, smotri, jak
swojego ucha nie widisz tak
bolse p... u baby nie obaczysz.
Ujdii!”

Tadeusz M. Czerkawski pisze,
że jakiś urodzony kpiarz bądź
wazeliniarz był autorem popu-
larnego wówczas piosenki: „Szy-
rocka strona moja rodnaja / Mo-
go w nie lesow, polej i riek /
Ja takoj drugoj strany nie zna-
ju / Gdzie tak wolno dyszt
czelowiek”. Ostatni jej wiersz wię-
źniowie radzieccy śpiewali in-
aczej: „Gdzie po turmam stołko
czelowiek”.

DESTRUKTYWNY KULT KOMENDANTA?

W ubiegłym roku napisano
chyba tyle samo złego o stali-
nizmie i Józefie Stalinie, ile do-
brego o Józefie Piłsudskim. Z
rozszerzającym się kultem Ko-
mendanta ostro rozprawia się
w tygodniku „WPROST” (nr 6)
Andrzej Mańnica. Pisze między
innymi:

„Łamał prawo i przyrwał oko
na różne «cuda nad urną».

Za jego rządów zaginęli bez wie-
ści, bądź umarli i zostali po-
bić przez jego urzędników: gen.
Zagórski i gen. Rozwadowski,
min. Jerzy Zdziechowski, Adolf
Nowaczyński, Dolega-Mosto-
wicz itd. Piłsudski przeprowa-
dził czystkę w armii i w apa-
racie państwowym i nie dziw-
nego, że nie było już potem
komu myśleć o zbliżającej się
wojnie. Dał placet na «akty
brutalne», łął Sejm i naród,
szpiegował, cenzurował i walczył
o pogardzania przez siebie
monetę. Oczywiście, na gorsze
przyszło potem, gdy do władzy
dorwali się jego ćwierćinteli-
gentni diadochowie, owi «napo-
leonowie w kłozowej skali»,
Składkowsy, Jędrzejewicz,
Grażynscy — cały ten zastęp u-
dzielnych panów Rzeczypospoli-
tej. (...)

Oredzie Prezydenta RP, na-
zajutrz po śmierci Marszałka,
objawieło, że odszedł «naj-
większy człowiek na przestrzeni
naszych dzieł», a kiedy po-
jawili się co do tego wątpliwości,
Sejm uchwalił ustawę o ochro-
nie celi Marszałka Piłsudskiego
— niewiarygodny akt bizanty-
zmu, dołączony do tyłu po-
przednich aktów turaszczyzny.
Dokąd doprowadziło II Rzecz-
pospolitą urzędowe uznanie za
służną i bohaterską każdej nie-
moralnej i zła przestępczej
akcji Marszałka? Dokąd przy-
wiodło bawochwalce hołdowa-
nie jego beznamiętności, rewolu-
cyjnej dyalektyce i nierządno-
ści chamskiej, hockom-klockom
czynionym wobec konstytucji i
Sejmu? Miał rację St. Cat-
-Mackiewicz, pisząc na oczę-
cie w 1933 r. o przedwojennym
gnójwce, której nie wolno pu-
drować...”

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

ANDRZEJ PIEKARSKI, przewodniczący organi-
zacji związkowej w łódzkim MPK:

— To był gorący tydzień. We wtorek, 31 stycznia miał osta-
teczny, przedstawiony dyrekcji termin na uzgodnienie stanowisk.
Po tym terminie, w razie fiaska rozmów, miało być przeprowa-
dzone wśród załogi referendum, czy będziemy strajkować. Na
szczęście do tego nie doszło. Odbły się bowiem we wtorek roz-
mowy, w czasie których zdołaliśmy się porozumieć. Rozmawiali-
my z dyrekcją już wcześniej, od 21 grudnia 1988 roku, uzgadnia-
jąc pozytywne załatwienie kilku ważnych postulatów, jak np. o
przywrocie deputatu węglowego dla załogi MPK. Ciągłe jednak
nie było wiadomo, czy spełniony zostanie najważniejszy postulat
żądający wprowadzenia średniej płacy w MPK na poziomie 1,4
średniej płacy w przemyśle aglomeracji łódzkiej. We wtorek o-
kazalo się, że zostanie on spełniony. Wobec tego w środę 1 lute-
go, na zebraniu z udziałem ponad 140 delegatów związkowych za-
łogi, przyjęto uchwałę o zakończeniu sporu zbiorowego i zaprze-
staniu akcji protestacyjnej.

Skąd wzięło się żądanie podwyżki na poziomie 1,4 średniej płacy
w przemyśle? Z sytuacji w roku ubiegłym, gdy ten wskaźnik
oscylował wokół jedności. Było to zbyt mało, aby zatrzymać od-
pływ pracowników, i zachęcić do pracy ludzi młodych. Co więcej,
nawet tak niewysoki poziom płac osiągnięty był w dużej mierze
przez wydłużenie czasu pracy. Zarobki z uwzględnieniem godzin
nadliczbowych były średnio na osobę o 8 tys. wyższe niż poziom
zarobków osiągnięty w nominalnym czasie pracy.

Co to oznacza? To oznacza zmniejszenie ludzi, spotęgowane
głównymi warunkami, w jakich funkcjonuje MPK: praca według
harmonogramu, złe wyposażenie techniczne zaplecza (zwłaszcza w
zajezdniach Helenówek i Chocianowice), narażenie na zmienne
warunki atmosferyczne itp. Wszystko to sprawia, że potrzebne są
szczegółne zachęty do pracy w łódzkim MPK, i szerzej — we
wszystkich przedsiębiorstwach komunikacji miejskiej, tak nie-
zbędnych, a jakby zapomnianych w reformie. Wystarczy przy-
pomnieć, że czeka wciąż na załatwienie całociowy system pla-
cowy. Stosowny dokument został już nawet z resortem uzgodnio-
ny, lecz w międzyczasie zmienili się rząd. Czekamy więc dalej,
przypominając tak często, jak tylko możemy, o niezbędności tego
uregulowania. Był to również jeden z naszych postulatów. Szkoda,
że w ten sposób, w formie akcji protestacyjnej, musimy się przy-
pominać.

W łódzkim MPK powstała grupa założycielska „Solidarności”.
Włączyła się do wydarzeń ostatnich tygodni, drukując m.in. ulotki,
w których oskarżani byliśmy o opieszałość. Nie czujemy się
jednak żałowani. Są to przecież nasi kierownicy, nasi pracownicy za-
plecza. Jesteśmy — jako organizacja związkowa — otwarci na
ich działania. Z chęcią usiądziemy, aby się porozumieć.

WIESŁAW GICEL, przewodniczący federacji
związkowej pracowników komunikacji miejskiej:

— Był to mocno niespokojny tydzień. W Starachowicach i Ło-
dźi trwały akcje protestacyjne, w Piotrkowie także, zresztą do
dziś. Organizacje związkowe z Elbląga, Ostrowca Świętokrzyskiego
i Rzeszowa wysuwały postulaty, dotyczące podwyżki płac, od-
powiadającej wzrostowi zarobków w przemyśle. Te postulaty
zgodne są z głównym obecnie celem federacji: doprowadzenia do
tego, aby zapłata za nominalny czas pracy w przedsiębiorstwach
komunikacji miejskiej zrównała się z zarobkami (średnimi) w
przemyśle.

W minionym tygodniu ocenialiśmy również, na ile odpowiadają
nam projekty ustaw, przygotowanych przez nowy rząd. Doszli-
śmy do wniosku, że stanowią one pewien krok naprzód, uwzględ-
niając bowiem szereg zgłaszanych przez nas od dawna postulatów.
Sprawilo to, iż bezprzedmiotowe stały się uzgodnienia, poczynione
z kierownictwem resortu poprzedniego rządu. Nie jest więc
prawdą, co się nam czasem zarzuca, że „przegapiłmy” tę spr-
wę. Zmieniła się przecież zasadniczo sytuacja prawna. Mamy no-
wy rząd i nowe, bardziej korzystne ustawy (jeśli uchwali je
Sejm). Powtarzam raz jeszcze: całą dynamikę naszego działania
kierujemy teraz na podwyżki płac, gwarantujące równość w sto-
sunku do zarobków w przemyśle.

Zanotował:

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Na morzach i oceanach piraci szaleją jak za starych, owia-
nych legendą czasów. Ginią bez śladu setki statków, jachtów i
promów, tysiące ludzi. Ofiarą współczesnych korsarzy padają tak-
że polskie statki — korespondencja ANDRZEJA MAKOWIEC-
KIEGO z pokładu M.S. „Władysław Łokietek”.

— W szpitalu, o którym pragnę opowiedzieć, zapanowało ogól-
ne poruszenie. Ja nie chcę śledztwa ani sprawy karnej. Niech
to, co mnie spotkało, będzie przestrożą dla innych, bo każdemu
może się coś takiego przytrafić. Oni to chyba zrozumieeli, obawia-
ją się kontroli, żałują, że nie zrobili sekcji zwłok. Ktoś mądry i
bardziej wrażliwy przemówił im do sumienia — reportaży RY-
SZARDA BINKOWSKIEGO.

— Prawdziwym bohaterem tego artykułu jest budowa, którą
oni rozpoczęli i kontynuują. Nie wiadomo do kiedy, ani za ile.
Wiadomo jednak, że ten szpital-olbrzym na periferiach Łodzi
przerósł ich siły i możliwości — pisze ANDRZEJ GĘBAROWSKI.

— W grudniu 1938 r. Ławrentij Beria został gospodarzem Łu-
bianski. Nigdy jeszcze, ani przedtem, ani potem w fotelu szefa
tajnej policji nie zasiadał tak wszechwładny człowiek. Jagodzie i
Jezowowi Stalin tylko rozkazywał, Berii mógł się nawet poradzić.
Planował też z nim poszczególne operacje. Beria był nie tylko
chamem, ale obnosił to swoje chamstwo jak sztandar — pisze
ANTON ANTONOW-OWSIEJENKO.

— Bogaci Polacy w Kanadzie są skapi. Jan Duch nie spotkał
ani jednego z gitem. Nawet postawił, ugostził, choć też bardzo
rzadko, ale nie w tym rzecz. Oni mają mentalność prymitywów.
Znałem milionera, który postanowił sam naprawić rynek na swo-
im domu — wlał na drabinę, spadł, o mało się nie zabił — ko-
lejny odcinek najnowszej książki ANDRZEJA BRYCHTA.

— Do matry pozostało niewiele ponad trzy tygodnie. Nie
wszyscy jeszcze mieli uregulowane stosunki z Idiotą, wykładow-
cą języka polskiego, toteż zamiast oddawać się niewczesnym żar-
tom, uczniowie klasy 4 e szybko zajmowali swoje miejsca w
ławkach. Szesnaście dziewcząt i osiemnaście chłopców, materiał
wyselekcjonowany z zamożnych rodzin bez oglądania się na u-
zdolnioną biedotę, układało na pulpitałach notatki, zeszyty, podręcz-
niki oraz całe sterty lektury, aby przekonać nauczyciela o swej
niezwykłej pracowitości. Idiotą siadł niedbale za stołem i nie o-
twierając dziennika dla sprawdzenia obecności, przyjrzał się
trzem rzędem markotnych owieczek — nowa powieść ANDRZEJA
MAKOWIECKIEGO.

1. Paradoxs czy poczucie beznadziejności?

Edmundowi Lewandowskiemu można pozazdrościć śmiałości w stawianiu pytań dotyczących różnych aspektów naszego życia (głównie w swoim czasie kwestia charakteru narodowego Polaków) oraz głoszeniu niekonwencjonalnych, by nie powiedzieć bulwersujących sądów dotyczących życia społecznego. To, na co nie stać wielu specjalistów zajmujących się sprawami publicznymi, odważnie bierze na swoje barki dziennikarz i chwala mu za to — za odwagę intelektualnej prowokacji.

Była jednak, że uznaniu dla odważnego łamania rozmaitych tabu naszego myślenia towarzyszą wątpliwości co do zasadności niektórych głoszonych tez. Można by powiedzieć, że publicysta gracko strzela, ale kule niepotrzebnie niebo dziurawi. Do takiej konstatacji skłania mnie lektura artykułu E. Lewandowskiego „Czy można zbudować socjalizm?” („Odgłosy” nr 4 z 22 stycznia 1989 r.) i jednocześnie wywołuje chęć pospieszenia się z autorem. Chcę wyrazić uznanie dla celności tak sformułowanego pytania,

chaosu. Bóg i Szatan na przemian odwracają klepsydrę, w której jesteśmy tylko ziarenkami piasku, a nasze wyobrażenia o przeszłości, teraźniejszości i przyszłości są nie nie znaczącymi fantasmagoriami. Odrzucam taką skrajnie fatalistyczną wizję dziejów ludzkich, bowiem nie oceniam przeszłych i współczesnych dokonań ludzkiej myśli i pracy li tylko jako piaskowego pyłu w odwracanej nie wiadomo po co klepsydrze dziejów.

2. Czy można zbudować socjalizm?

W XIX wieku, kiedy wyrażano pierwsze wyobrażenia o socjalizmie, a właściwie o komunizmie, przede wszystkim dominowało przekonanie o konieczności przewartościowania ówczesnie panującego porządku kapitalistycznego, odrzucenia stosunków społecznych opartych na wyzysku, na krzywdzie pracujących i stworzenia nowego ładu. Postulatowi walki o nowy ustrój towarzyszyły także pewne przewidywania, zresztą bardzo ogólne i mające kształt hipotez, odnoszące się do kwestii jak ma wyglądać ustrój społeczny po znie-

nich żyć się nie da, one nadają naszemu życiu sens przekraczający ramy wyłącznie trawienia i prokreacji.

Jedną z takich idei, które kierują działaniami ludzi jest właśnie socjalizm, ukazujący ów horyzont, do którego chcemy dojść, cel, który chcemy osiągnąć i któremu podporządkujemy nasze działania. Ale przecież to, co wydawało się celem na początku drogi jest tylko jej etapem, bowiem chcemy iść dalej, osiągając kolejne punkty na horyzoncie, który wciąż będzie przed nami. Tak jak przesuwają się linie widnokręgu, tak rosną nasze potrzeby i aspiracje, oczekiwania i nadzieje i zapewne nigdy nie dojdziemy do ich kresu, bowiem zaspokojenie jednych potrzeb rodzi następne.

Podobnie jak E. Lewandowski negatywnie chce odpowiedzieć na pytanie — czy można zbudować socjalizm?, ale taka moja odpowiedź nie wynika ze zwątpienia w możliwość osiągnięcia takiego celu, lecz z przekonania, że nie ma celów ostatecznych. Socjalizmem można więc, moim zdaniem, nazwać zbliżanie się społeczeństw do wyznaczonych sobie celów, wyznaczanych, a nie narzucających, osiąganych na tej drodze zmiany w stosunkach społecz-

wyśliku ludzi, surowce i narzędzia, zasady moralne mogą sprzyjać wzajemnemu współżyciu ludzi, bądź też je antagonizować.

Od pewnego czasu można w Polsce spotkać ludzi, którzy zalamują ręce nad tym, co się w kraju dzieje i kasandrycznie głoszą, że oto dokonuje się wyprzedzanie socjalizmu. Należy postawić pytanie: czego wyprzedza — monopolistycznych rozwiązań w sferze władzy, reglamentacji poglądów uznawanych ogólnie za słuszne lub niesłuszne, niedostatków dóbr i usług i wywołanego tym społecznego niezadowolenia? Warunków życia, których społeczeństwo nie akceptuje i przeciwko którym co kilka lat manifestacyjnie podnosi bunt? Tego, że świat nam w szybkim tempie ucieka, a my stoimy w miejscu i zamiast wiedzy, pracą i przedsiębiorczością reagujemy na to irytacją i pesymistycznym zwątpieniem, które wyraźnie przebiega z tekstu E. Lewandowskiego?

To dobrze, że takiego socjalizmu nie można zbudować, bowiem byłby on własnym zaprzeczeniem, tak jak zaprzeczeniem i kompromitacją socjalizmu był stalinizm i neostalinizm w Związku Radzieckim, czy przerażające ekspery-

KONFRONTACJE

Nie chciana decentralizacja

Wprawdzie Tadeusz Boy-Żeleński myślał zupełnie o czym innym, gdy pisał, że „z tym największym jest ambaras, aby dwoje chciało naraz”, ale gdy przysłuchiwałam się obradom ostatniej sesji Rady Narodowej Miasta Łodzi, to doszłam do wniosku, że do przyjmowanej uchwały też to pasuje jak ulał. Otóż starszy brat — czyli rada narodowa szczebla wojewódzkiego — postanowił — zgodnie z ustawą sejmową — zrzec się na rzecz młodszych braci — czyli rad narodowych w dzielnicach, miastach i gminach — różnych dóbr, którymi do tej pory władał. Należałoby się więc spodziewać, że młodszy bracia dostaną szału z radości. A tu nic z tych rzeczy. A nawet wręcz przeciwnie. Oni chcieliby zrobić wszystko, aby ich starszy brat nie obdarował. Rzadko coś takiego spotyka się, ale to był fakt.

Ten fakt potwierdza też wynik głosowania nad uchwałą RNML: 95 za, 15 przeciw i 22 wstrzymujących się. A Daniel Grabowski był nawet zdania, aby uchwały w ogóle nie przyjmować. Poza tym kilka rad narodowych stopnia podstawowego w łódzkim województwie nie podjęło jeszcze uchwały o tym, że chcą przyjąć to, co im RNML postanowiła oddać. Muszą więc do końca marca zebrać się i podjąć stosowną uchwałę. Ma więc niewątpliwie rację Adam Gwiazdowicz, kiedy mówi, że jest to uszczęśliwienie na się i że byłoby bardziej naturalne, gdyby rady narodowe w dzielnicach, miastach i gminach same zwracały się z wnioskami o przejęcie tych dóbr, którymi je się na siłę uszczęśliwiała.

Przytoczę kilka przykładów tego, co RNML postanowiła oddać. Radom dzielnicowym przekazała Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnictwa i Przedsiębiorstwo Państwowe „Targowiska Miejskie”. Dzielnicowej Radzie Narodowej Śródmieścia — Straż Miejską i Dom Kultury Milicjanta w Łodzi, a także Łódzki Ośrodek Szachowy i Akademicki Ośrodek Kultury. Natomiast Dzielnicowa Rada Narodowa na Górnjej otrzymała Centrum Kultury Młodych w Łodzi, Ośrodki Wypoczynkowe „Stawy Jana”, „Metalowiec”, „1 Maja”, „Rudka Góra” oraz Wypożyczalnię Sprzętu Turystycznego przy ul. Rzgowskiej 2. W ten sposób Górna awansowała na centrum wypoczynkowe Łodzi.

Nie będę przytaczała pełnej listy, bo zajęłoby to dużo miejsca i mogłoby znużyć Czytelnika. Zastanawiam się natomiast, czy to dobrze, że różnymi przedsiębiorstwami nie będą teraz zarządzali — a dzieło wojewódzkiego szczebla, ale dzielnicowego, miejskiego, gminnego? Sprawa — według mnie — wygląda dwójako. Z jednej strony podnosi to rangę rady narodowej niższego szczebla, bo ma ona jakby więcej do powiedzenia na swoim terenie, z drugiej — w mniemaniu niektórych — przedsiębiorstwa te tracą na randze. Bo nie są już wojewódzkie. Ale właściwie dla klienta Wypożyczalni Sprzętu Turystycznego zupełnie obojętne jest, komu to przedsiębiorstwo podlega, jego interesuje, czy ma ono co wypożyczyć i czy sprawnie go obsłuży. Decyduje skutek a nie podległość. Dlaczego więc radni tak bronili się przed oddawaniem, a inni — przed przyjęciem?

Powodów było kilka. Pierwszym — była obawa — jak to ujął wspomniany już Adam Gwiazdowicz — że przy przejmowaniu powstanie przejściowy wrzask, ale zawsze bałagan i obniży się jakość usług. Radom narodowym niższych szczebli brak obojętne niezbędnych doświadczeń. Można tę obawę zrozumieć i przyjąć. Ale to nie zwalnia przed dołożeniem wszelkich starań, aby tego bałaganu nie było.

Drugim takim powodem były pieniądze. Wymuszono nawet odpowiednią poprawkę do uchwały, która gwarantuje przekazanie „niezbędnych środków będących w dyspozycji budżetu województwa”. Obawiano się mianowicie, że owszem, przedsiębiorstwa i instytucje przejdą pod zarządy rad narodowych niższych szczebli, ale nie pójda z nimi odpowiednie pieniądze. Albo, że te pieniądze będą mniejsze. Pieniądzy mają być takie same, ale co dziś znaczą takie same pieniądze, skoro spada szybko ich wartość.

Za pieniądze mają też pójść ludzie. Do dyspozycji rad narodowych niższych szczebli mają przejść 103 osoby z etatami, jak będzie trzeba to i więcej. Tu też kryje się inna obawa. Czy to będą rzeczywiście oczekiwani fachowcy, czy też ów starszy brat pozbędzie się kilku niepotrzebnych lub niewygodnych mu ludzi?

Czwarta wątpliwość wiązała się z przekazaniem pod zarządy rad niższych szczebli zespołów opieki zdrowotnej. Czy rzeczywiście trzeba je przekazywać teraz, skoro mówi się już dość głośno o ich likwidacji, jako swego rodzaju organizacyjnym nieporozumieniem?

Obaw było więcej i miały one różny charakter. Zastrzegano na przykład, aby nie „parcelować melioracji”, bo to może wyjść jej na szkodę. W jednej gminie będzie ona dobrze robiona, w innej gorzej. Zastrzegano się, że rolnicze szkoły zawodowe nie powinny podlegać miastom i gminom, gdyż obsługują całe województwo i temu powinny podlegać.

Jak z tego widać były więc obawy konkretne, wiążące się z takim czy innym rozwiązaniem i były obawy szersze, stawiające pod znakiem zapytania kwalifikacje rad narodowych niższego szczebla dotyczące zarządzania instytucjami obsługującymi całe województwo.

Czego natomiast obawiali się obdarowani? Przede wszystkim dodatkowych kłopotów. Stawia się ich teraz przed nowymi, nieznanymi obowiązkami. Jeśli sprawnie działająca przejęta instytucja i przedsiębiorstwo spadnie i odczuja to ich klienci, to wiadomo będzie, kto temu jest winien. A nikt nie lubi dodatkowych kłopotów. Dlatego niektórzy obdarowani na siłę nie tylko nie wyrażali szczerego z tego powodu, ale wręcz przeciwnie, rekoma i nogami przed tym szczęściem bronili się. Są to jednak prezenty nie do odrzucenia.

Mnie zastanowił natomiast fakt, że Łódź w tym procesie obdarowywania rad narodowych niższych szczebli znalazła się na końcu. Inni już się z tym jakoś uporali, a u nas dopiero się za to wzięto. I mam wrażenie — nie należy.

Wprawdzie komisje wyrażały swoje stanowiska w poszczególnych sprawach, ale chyba nie wszyscy radni brali udział w pracach komisji, gdyż uwag i wątpliwości było więcej niż być powinno. Właściwie powinny one wszystkie być wyjaśnione właśnie na posiedzeniach komisji. A było inaczej.

Poza tym mam uwagę natury ogólniejszej. Dotyczy ona procesu decentralizacji i rozwijania samorządności. Wszyscy w teorii, w hasłach wołają o decentralizację, narzekają na centralizację, na podejmowanie decyzji z dala od tego, co dzieje się w tak zwanym terenie. Kiedy przychodzi do zmiany tej sytuacji, hasła i wszelkie wolania idą na bok i rolę zaczyna odgrywać po prostu strach. Przed czym? Przed nowymi kłopotami, przed nieznanym, przed zwiększoną odpowiedzialnością, przed — może zabrzmi to banalnie — nowym. Jest to zjawisko bardzo ludzkie. Ale trzeba być konsekwentnym: albo tkwimy w często wygodnych ramach centralizmu, albo bierzemy na siebie nowe obowiązki wynikające z decentralizacji. Trzeciego wyjścia nie ma. Chyba że kto inny boi się decentralizacji, a kto inny wola o decentralizację.

BOGDA MADEJ

PS. Przyjęto uchwałę o nadaniu nazwy kilku ulicom. Z zadowoleniem stwierdzam, że swoją ulicę będzie miał Igor Sikorski i Mieczysław Jagoszewski. Ale komisja ustalająca — nazwijmy to — charakterystyki ma coraz więcej z tym kłopot. Na przykład przy Mieczysławie Jagoszewskim ustalono: „nestor dziennikarstwa polskiego w Łodzi”. Był nim, gdy żył. Teraz zastarczyliby: „zasiadający dziennikarz”. Co komu mówi określenie „dzielnica społeczna” przy Przedstawicielu Smoliku lub Abrahamie Swajerczerze? Czas chyba porzucić się specjalistów poszczególnych dziedzin nauki czy kultury, których przedstawiciele kandydowali do nazw ulic. Albo z owych nieprecyzyjnych wyjaśnień zrezygnować.

B. M.

Czy można zbudować socjalizm? — inny punkt widzenia.

Czy można dojść do horyzontu?

GRZEGORZ MATUSZAK

ale nie zgodzić się z proponowaną przez autora odpowiedzią.

Łódź jest miastem eklektycznym, kamienieć śródmieścia są pseudorenesansowe i pseudogotyckie zarazem, elementy secesji miesza się z pseudoklasycyzmem i pseudobarokiem. Ma to swoją niepowtarzalną atmosferę, ale niekoniecznie daje pogląd o istocie poszczególnych estetycznych porządków w architekturze. Być może ów eklektyczny łódzki genius loci sprawił, że E. Lewandowski odpowiadając na postawione przez siebie pytanie — czy można zbudować socjalizm? — zechciał dościsnąć i interpretację dotyczące dzieł społecznych. Obok Karola Marksa Piotr I, Jan Szczeniński wsparty Erasmem z Rotterdamu, Leopolda Staffa uzupełnia Friedrich Dürrenmatt, zaś bolszewicy pospół z jezuitami zmierzają do Utopii wymyślonej przez świętego Tomasza Morusa, czyli do szczęśliwej wyspy komunizmu, której naprawdę nie da się osiągnąć, gdyż leży w ogóle nie ma.

Niech mi Edmund Lewandowski wybaczy takie odczytanie artykułu, ale jeśli nie było jego zamiarem wypowiedzenie byskotliwego paradoksu, to jednak sprawy są nieco bardziej skomplikowane i nie wystarczy zastrzeżenie się agnostycyzmem w rozumieniu dzieł społecznych, stwierdzenie, że „komunizm jest myśleniem pobożnym chrześcijan”. Wydaje się, że równie dobrze można by powiedzieć, że komunizm jest myśleniem starożytnych Greków, którzy stworzyli mit o złotym wieku.

Sądząc, że od bardzo dawna, odkad tylko kształtowała się świadomość społeczna, ludzie, którzy uświadamiali sobie niedostatki i niedogodności swego życia, tworzyli baśnie, mity, utopie o szczęśliwym świecie. Mimo że nigdy żaden mit ani żadna utopia nie stały się realnością, to przecież ludzie zapamiętali w swoje idealne wyobrażenia, jeśli tylko nie dotyczyły one zaświatów i życia poagrobowego, w różny sposób i z różnym skutkiem usiłovali wpływać na warunki swego życia, zmieniać je i kształtować według owych idealnych wyobrażeń. W praktyce zwykle ulegały one daleko idącym modyfikacjom, ale przecież w każdej epoce, w każdym czasie istniały takie wyobrażenia o pożądanym porządku społecznym i konkretnie, materialne sposoby osiągania takiego stanu. Inna rzecz, że bywały one nieskuteczne.

Jeżeli jednak nasza podmiotowość jako ludzi jest iluzją, ku czemu za strukturalistami zdaje się przychylić E. Lewandowski, jeżeli nasze wysiłki w kształtowaniu warunków życia są daremne, a możliwość osiągania pożądanego stanu rzeczy jest mitem, to kończy się granice intelektualnym paradoksem, a otwiera czarna otchłań beznadziei i

sieniu stosunków kapitalistycznych. W przewidywaniach tych akcentowano wyeliminowanie wyzysku, równość ludzi, zaspokojenie ich potrzeb materialnych, duchowych i społecznych. Właśnie te wartości miały stanowić istotę nowego porządku w życiu zbiorowym, być celem kształtującego się ruchu socjalistycznego.

Używając metafory można powiedzieć, że wyruszając na długą wędrówkę wybieramy na horyzoncie kilka charakterystycznych punktów i idąc w ich kierunku z wolna zbliżamy się do nich, a jednocześnie linia horyzontu oddala się i pojawiają się na niej coraz to nowe obiekty, które są kolejnymi etapami naszego marszu. Wraz z przybliżaniem się do tych etapowych celów konstatajemy, że miejsce zetknięcia się nieba i ziemi wciąż jest przed nami. To, co osiągamy okazuje się, że nie jest ostateczne, zaś nasza wędrówka będąca sztafetą pokoleń musi trwać, bowiem chociaż przebyliśmy już szlak drogi, to horyzont jest wciąż do osiągnięcia.

Trawestując myśl starożytnych żeglarzy — *navigare necesse est, vivere non necesse* — można powiedzieć, że właśnie ta wędrówka do coraz nowych celów, jakie przed sobą stawiają ludzie jest sensem ich istnienia jako gatunku. Potrzeba do tego chleba i idei — chleba, aby żyć, wędrówkę i idei, aby wiedzieć ku czemu chcemy wędrować, jakie cele osiągnąć, po co żyć i jakie wartości w życiu cenić. Chleb jest dla wszystkich taki sam, niezależnie, czy ma kształt płacka kukurydzianego, miseczek ryżu lub bochenka razowca, idee mogą być różne, ale bez

nych, w procesach wytwarzania i podziału, dochodzenie do podmiotowości jednostek i grup społecznych, wyzwolenie człowieka, jego oświecenie oraz rozwój fizyczny i duchowy. Nie da się jednak tego arbitralnie zadekretować, ująć w sformalizowane ramy rozstrzygnięć politycznych, zwykłe skłonności doraźnymi okolicznościami i interesami, albo wręcz namacalnymi nieudolnościami, brakiem wiedzy i wyobraźni niemoralnych ludzi mieniących się politykami.

3. O jakim socjalizmie mówimy?

W języku potocznym termin socjalizm zwykle określamy jeszcze dodatkowymi, często wartościującymi słowami: narodowy, stalinowski, realny, rozwinęty, biurokratyczny, humanistyczny, ba nawet istnieje pojęcie socjalizmu islamskiego. Pozwalają one precyzyjniej odczytywać, jaki typ władztwa politycznego, jakie siły społeczne lub jakie cele kryją się za parawanem nazywanym socjalizmem. Ale jednocześnie, gdy używamy pojęć w rodzaju: propaganda socjalistyczna, szkoła socjalistyczna, moralność socjalistyczna, socjalistyczny zakład pracy czy socjalistyczny związek młodzieżowy, to trzeba konstatować nadużycie słowa, manipulację i deprecjonowanie socjalizmu. Szkoła może być dobra, albo zła, propaganda skuteczna, przekonywająca lub prymitywna i fałszywa, zakład pracy efektywny produkcyjnie lub marnotrawiący



Foto: Grzegorz Galasiński

prawie pod każdym względem. Nie miał intelektualnej sily i geniuszu politycznego Włodzimierza Lenina. Nie wyróżniał się nadludzką silą woli i żarzą umiłowaniem władzy jak Józef Stalin. Brakowało mu poza tym tej nadzwyczajnej samodzielnosci, ogromnych zamiarów reformatorskich i wielkich umiowan pracy, jakie cechowały Nikitę Chruszczowa.

W listopadzie 1982 roku Konstantin Czernienko mówił o wybitnych zdolnościach, wielkim umyśle i wyjątkowej odwadze Leonida Breżniewa, o jego bystrości, o dużych wymaganiach stawianych podwładnym, o jego nietolerancji wobec wszelkich przejawów biurokratyzmu itp. Z równym powodzeniem mógłby on wspomnieć o wybitnych osiągnięciach zmarłego (wszak otrzymał on Nagrodę Leninowską w dziedzinie literatury), o jego wielkiej erudycji naukowej (był laureatem złotego medalu K. Marksa), czy też o jego wybitnych zdolnościach dowodczych i darze oratorskim. Nawet w licznych artykułach, jakie ukazywały się w prasie zachodniej, mówiono o Leonidzie Breżniewie jako o silnej osobowości. Wszystkie te oceny były dalekie od prawdy. Leonid Breżniew nigdy nie był tym, kogo przyjęło się określać jako „silną jednostkę”. Był to człowiek słabej woli i słabego charakteru.

Na swoje pierwsze odpowiedzialne stanowisko w Dniepropietrowskim Komitecie Obwodowym WKP(b) Leonid Breżniew awansował w 1938 roku, w wieku 32 lat. Dalsza jego kariera nie należała do najszybszych. Nie był karierowiczem, który przebiegał się do góry, rozpychając łokciami innych pretendentów i sprzedając swoich przyjaciół. Wyróżniał się spokojem, lojalnością wobec kolegów oraz zwierchników i na dobrą sprawę nie tyle sam się przebiegał do góry, co sam był popychany i ciągnięty przez innych. (...)

W latach wojny Leonid Breżniew nie miał silnych protektorów i niewiele posunął się naprzód. Na samym początku działań wojennych uzyskał stopień pułkownika, by na ich koniec zostać generałem-majorem. Nie rozpieszczano go również odznaczeniami. Podczas Defilady Zwycięstwa na Placu Czerwonym, gdzie generał-major Leonid Breżniew maszerował wraz z dowódcą na czele kolumny wojsk swojego frontu, na jego piersi zauważano się mniej odznaczeń niż u innych generałów.

Dzięki rekomendacji Nikity Chruszczowa Leonid Breżniew został awansowany na stanowisko I sekretarza Dniepropietrowskiego Komitetu Obwodowego WKP(b), a w 1950 — na stanowisko I sekretarza Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Moldawii. Jesienią 1952 roku, podczas XIX Zjazdu partii, jako przywódca moldawskich komunistów został wybrany do Komitetu Centralnego KPZR. Na krótko wszedł nawet w skład Prezydium (był zastępcą członka) i Sekretariatu Komitetu Centralnego, które na wniosek Józefa Stalina zostały wówczas znacznie rozszerzone. Podczas Zjazdu Józef Stalin po raz pierwszy zobaczył Leonida Breżniewa. Stary i chory już dyktator zwrócił uwagę na dużego i dobrze ubranego, 46-letniego Leonida Breżniewa. Staliniowi wyjaśniono wówczas, że jest to partyjny przywódca Moldawskiej SRR.

— Jaki piękny moldawianin — powiedział Józef Stalin.

7 listopada 1952 roku Leonid Breżniew po raz pierwszy wszedł na trybunę Mauzoleum.

Na początku 1954 roku Nikita Chruszczow skierował Leonida Breżniewa do Kazachstanu, aby kierował zagospodarowaniem tamtejszych dzwiczew ziem. Do Moskwy powrócił dopiero w 1956 roku i po XX Zjeździe KPZR został znów jednym z sekretarzy KC i zastępcą członka Prezydium KC KPZR. Leonid Breżniew powinien był kontrolować rozwój przemysłu ciężkiego, później obronnego i aerokosmicznego, ale wszystkie główne problemy rozstrzygał osobiście Nikita Chruszczow, a Leonid Breżniew występował jako spokojny i zrównoważony, oddany pomocnik. Później, już po Plenum czerwcowym KC KPZR w 1957 roku, Leonid Breżniew został członkiem Prezydium KC. Nikita Chruszczow cenił sobie jego lojalność, ale nie uważał go

za dostatecznie dobrego pracownika.

Po odejściu na emeryturę Klimienta Woroszyłowa, Leonid Breżniew został jego następcą na stanowisku przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRR. Już w latach 1956—57 Breżniewowi udało się przenieść do Moskwy niektórych ludzi, z którymi pracował w Moldawii i na Ukrainie. Wśród pierwszych byli Trapielnikow i Czernienko, którzy podjęli pracę w osobistym sekretariacie Breżniewa. W Prezydium Rady Najwyższej Konstantin Czernienko został szefem kancelarii Breżniewa.

W 1963 roku, kiedy F. Kozłow nie tylko utracił poparcie Nikity Chruszczowa, ale na dodatek został porażony apopleksją, Chruszczow długo się wahał przy wyborze swojego nowego faworyta. Ostatecznie jego wybór padł na Leonida Breżniewa, który dzięki temu

wolił ukształtowaną już elitą partyjno-państwową. Problem nie polegał na tym, że Nikita Chruszczow zmuszał wszystkich pracowników aparatu zarządzania do pracy w największym napięciu. Nikita Chruszczow nie lubił biurokracji i walczył z nią, choć nie uciekał się do terroru. On po prostu bez przerwy wprowadzał przeróżne reformy, zmieniał działaczy kierowniczych i ograniczał przywileje wyższych administratorów...

Kierownicza kadra partyjna i państwowa była zmęczona reformami, była zmęczona strachem przed utratą, jeżeli nie swojej głowy, to swojego stanowiska.

Miała też dosyć nieustających przesunień i niepewności

dnal przyczółka na Południe od Noworosyjska, który nazwany został Małą Ziemią. Sztab armii i jej wydział polityczny znajdował się na wielkiej ziemi i był stosunkowo bezpieczny. Leonid Breżniew był na Małej Ziemi dwa razy: raz z brzągą Komitetu Centralnego WKP(b), a z drugim razem, aby wręczyć odznaczenia i legitymacje partyjne żołnierzom oraz oficerom. Jednakże w drugiej połowie lat siedemdziesiątych ten bohaterski, ale w sumie mało znaczący w skali całej wojny epizod, zaczęło ponad miarę wysilać. Mówiono o nim i pisano więcej, aniżeli o innych i rzeczywiście wielkich starciach zbrojnych.

Uroczyste ceremonie, przyznanie Noworosyjskowi tytułu Młoda Bohatera, odsłonięcie wielkiego pomnika, organizacja muzeum upamiętniających szlak bojowy 18 Armii — wszystko to na tyle przekraczało miarę

wyparty ze świadomości narodu przez obraz człowieka ciężko chorego, mało ruchliwego i z wadami wymowy.

Leonid Breżniew nie lubił utrudnień i konfliktów, ani w polityce, ani w stosunkach prywatnych.

Kiedy jednak już doszło do takiego konfliktu, starał się on unikać skrajnych rozwiązań. W przypadku konfliktów wewnętrznych kierownictwa niechętnie byli odprawiani na emeryturę. Natomiast większość tych działaczy kierowniczych, którzy padali w nielaskę pozostawała nadal w „momenklaturze”, schodząc o dwa — trzy stopnie niż.

Taka życzliwość nieraz przekształcała się w pobłażliwość, którą wykorzystywali ludzie nieuczciwi. Leonid Breżniew często zostawał na do tychczasowych stanowiskach nie tylko tych, którzy zawiniли, ale i takich, którzy dopuścili się kradzieży. Wiele czasu i wysiłków trzeba było na przykład, aby usunąć z Gruzji jej wieloletniego przywódcę partyjnego — Mżawanadze, o którego zachłanności i korupcji krążyły w Gruzjińskiej SRR prawdziwe legendy. Został on odesłany na emeryturę bez skierowywania sprawy do sądu.

W istocie nie został ukarany również minister gospodarki rybnej ZSRR — Iszkow, w którego resorcie przez wiele lat dojrzała afera i za udział w której dziesiątki pracowników szczebla kierowniczego ministerstwa zostało aresztowanych, a jeden z zastępców ministra — skazany na rozstrzelanie. Zupełnie bezpiecznie czuł się np. pierwszy sekretarz Krasnodarskiego Komitetu Obwodowego KPZR, sprawa nadużyć którego niejednokrotnie była podnoszona w różnych instancjach, łącznie z prokuraturą ZSRR. (...)

Ten sentymentalizm, tak nie typowy dla polityków, czasami przynosił pożytek sztuce. Na początku lat 70 powstał film „Dworzec białoruski”. Było to wspaniałe dzieło, ale cenzura nie dopuszczała go na ekrany. Obrońcy filmu doprowadzili do tego, że został on zaprezentowany członkom Biura Politycznego KC KPZR. W filmie tym jest scena, kiedy to spotykający się żołnierze śpiewają pieśń o batalionie desantowym, w którym kiedyś razem służyli Pieśń ta wykonywana przez B. Okudźawa wzruszyła Leonida Breżniewa — zapłakał. Film został niezwłocznie dopuszczony na ekrany, a piosenka z filmu prawie zawsze znajdowała się w repertuarze koncertów, na których był obecny Breżniew.

Leonid Breżniew rozumiał, że może umocnić swoją władzę poprzez mianowanie na odpowiedzialne stanowiska nie tyle odpowiednich ludzi, co przede wszystkim swoich bliskich przyjaciół, kolegów z uczelni, z pracy w Dniepropietrowsku, w Moldawii, z czasów służby w wojsku, a także krewnych swoich i żony. Towarzyski Breżniew zawsze miał wielu przyjaciół i znajomych. Grupę tę często nazywano „drużyną dniepropietrowską”, chociaż należało do niej немало osób, które nigdy nie pracowały w Dniepropietrowsku. Słuszniej byłoby więc nazywać ją „drużyną Breżniewa”.

Prawdopodobnie każdy działacz polityczny tworzy swoją „drużynę” złożoną z osób szczególnie zaufanych. Faktem jest jednak, iż przy Leonidzie Breżniewie rosła się ona do stanowczo zbyt dużych rozmiarów. Niewiele było w niej ludzi rzeczywiście utalentowanych. Znaczna część była w ogóle słaba i utrzymywała się na swoich stanowiskach tylko dzięki poparciu Breżniewa. Czytając biografie, zyciorysy wielu członków KC KPZR można pomyśleć, że instytucje metalurgiczne w Dniepropietrowsku i Dnieprodzierżynsku przygotowywały nie tyle inżynierów-metalurgów, co polityków. Instytucje te ukończyły w swoim czasie i były przewodniczącymi Rady Ministrów ZSRR N. Tichonow, i pomocnik sekretarza generalnego KC — E. Cukanow, i pierwszy zastępca przewodniczącego KBP ZSRR generał armii G. Ciniw, i zastępca przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR — I. Nowikow, i kierownik wydziału KC KPZR G. Pawłow, a także dyplomata, członek KC KPZR — N. Tołubiejew oraz inni. (...)

Z kolei w Kiszyniowie razem z Leonidem Breżniewem pracowali członkowie jego „drużyny” — K. Czernienko, S. Trapielnikow i S. Cwigun. Był osobisty pilot Breżniewa B. Bugajew, zajmujący w 1964 r. nieważne stanowisko — w 1970 został ministrem lotnictwa cy-

wilnego, później członkiem KC KPZR i głównym dowódcą lotnictwa. Można powiedzieć także, że im słabsze było zdrowie Leonida Breżniewa, tym więcej ludzi z jego „drużyny” awansowało na stanowiska kierownicze. Na XXVI Zjeździe partii zastępcami członków KC KPZR zostali wybrani: syn Breżniewa — Jurij Breżniew i zięć Breżniewa J. Czurbanow, który zrobił szybką karierę w systemie organów spraw wewnętrznych.

Nie mamy zamiaru wyliczać tu wszystkich czolowych członków „drużyny Breżniewa”. Niektórzy odeszli i zmarli wcześniej od niego. Warto jedynie zauważyć, że wielu ludzi z tej „drużyny” mimo wszystkiej złości udało mu się przesunąć na stanowiska kierownicze. Dlatego też kierownictwo kraju i partii przeszło dziś w ręce ludzi o życiorysie politycznym niezależnym od niego. Jednakże „drużyna Breżniewa” istnieje nadal i bynajmniej nie jest to najlepszy element tego dziedzictwa, które zostawił partii jej zmarły przywódca.

Jego kult zniknął z naszego życia z niezwykłą szybkością.

Prawie 15 lat nasza propaganda podejmowała nadzwyczajne wysiłki, aby stworzyć kult Leonida Breżniewa — „wielkiego bojownika o pokój”, „wielkiego leninowca”, „wielkiego teoretyka” itp. Jednakże cała ta machina propagandowa pracowała na próżno. Kult Leonida Breżniewa nie stał się częścią świadomości czy też podświadomości ludzi radzieckich, odnoszących się do niego z obojętnością, która w ostatnich latach życia Breżniewa przechodziła w zło ukrywane lekceważenie.

Albo czy wszystko było u nas za czasów Leonida Breżniewa tak źle? Czy nie nazywalismy lat 70. najspokojniejszym dziesięcioleciem w historii ZSRR?

Tak, tylko że był to spokój zastój, kiedy problemy nie były rozwiązywane, lecz odkładane i chmury tylko gęstniały. Związek Radziecki uwolnił się od koszmarów stalinowskiego terroru, jednakże na mniejszą skalę bezprawne represje stosowane były i za czasów Leonida Breżniewa, utrzymując w społeczeństwie atmosferę „umiarkowanego” strachu, podtrzymywane dodatkowo starymi próbami rehabilitacji Józefa Stalina.

W kraju nie było nie tylko triumfu prawa, ale i elementarnego porządku. Powszechnie narastała niegodność, brak odpowiedzialności i atmosfera samowoli. Czymś coraz bardziej otwartym i nachalnym stawała się korupcja, demoralizująca społeczeństwo, nadużywanie władzy, a kradzieże — drobne i większe — stawały się czymś normalnym. We wszystkich sferach działalności społecznej i państwowej — od kierownictwa partyjnego w centrum i w terenie, aż do redakcji pism literackich i kierownictw związków twórczych — narastała atmosfera klęskowości, nepotyzmu i mafijności.

Niechęć i brak umiejętności dobrej pracy, pasywność polityczna i apatia, obojętność wobec moralno-politycznych wartości socjalizmu, moralna degradacja dziesiątków milionów ludzi, powszechne panowanie półśrodków, przepaść między słowem i czynem, wsparcie dla powszechnego fałszu — wszystko to okaleczyło świadomość całego pokolenia, które dziś, nie bez podstaw nazywamy czasami „pokoleniem straconym”. Z tego punktu widzenia ogólne skutki „breżniewizmu” okazały się nie mniej ciężkie jak i w przypadku stalinizmu.

Reżim Leonida Breżniewa straszyl wszystkich swoją irracjonalnością. Breżniew wiele mówił o pokoju, ale trudno jest uwierzyć grupie politycznej, która kieruje wielkim krajem zgodnie z zasadą: po nas choćby potop. Fizyczna śmierć Leonida Breżniewa postępowo dłużyła na oczach całego świata. Jego śmierć polityczna dokonała się znacznie szybciej, ale żebym ostatecznie skończył z breżniewizmem nie wystarczy tylko zdjąć tablicę z jego imieniem z ulic miast, z placów i rej-

Przełożył: z tygodnika „Moskowskije Nowosti”: SŁAWOMIR POPOWSKI

ROY MIEDWIEDIEW

Jak doszedł do władzy i jak rządził Leonid Breżniew



Rys. Dariusz Romanowicz

został wybrany na II sekretarza KC KPZR. To jednak nie Breżniew był organizatorem odsunięcia Nikity Chruszczowa, choć — jak można przypuszczać — wiedział on o przygotowywanej akcji. Wśród głównych jej organizatorów nie było zgodności co do wielu kwestii. Aby więc nie pogłębiać różnic, które mogły doprowadzić do krachu całe przedsięwzięcie, wszyscy zgodzili się na wybór Leonida Breżniewa, zakładając, że będzie to rozwiązanie tymczasowe.

Większość leninowskiej gwardii partyjnej została fizycznie zlikwidowana przez Józefa Stalina w drugiej połowie lat trzydziestych. Na ich miejsce Józef Stalin awansował młodszych i bardziej pokornych. Wielu działaczy kierowniczych „pokolenia stalinowskiego” — jak się okazało — pod względem profesjonalnym było do bryni administratorami, ale prawie wszyscy odczuwali ogromny strach przed Józefem Stalinem. Stalinowski aktyw partyjny był zmęczony nie tyle pracą, ile przede wszystkim ciągłym strachem o własne życie. Właśnie dlatego ludzie ci popierali Nikitę Chruszczowa, który zdecydowanie wystąpił przeciwko kontynuowaniu terroru i represji.

Jednak i Nikita Chruszczow okazał się nie takim człowiekiem, który mógłby się zado-

o własną przyszłość. Po odsunięciu Nikity Chruszczowa wyższy aparat partyjno-państwowy nie miał już ochoty na zbyt silnego przywódcę. Ludzie ci chcieli bardziej spokojnego życia i spokojnej pracy. W ten sposób właśnie słabość i brak żądy władzy stały się podstawą zwycięstwa Leonida Breżniewa.

Jeden z moich znajomych często towarzyszący Nikicie Chruszczowowi i Leonidowi Breżniewowi w ich podróżach po Związku Radzieckim, opowiadał, iż aktyw partyjny na ogół o wiele przyjaźniej witał Breżniewa, aniżeli Chruszczowa, którego przyjazd zwykle traktowano jak wizytę surowego rewizora. Wizyty Leonida Breżniewa były natomiast swego rodzaju demonstracją jedności między nim i terenową biurokracją partyjno-państwową. Opierając się na poparciu tej biurokracji, Leonid Breżniew stopniowo usuwał z Biura Politycznego ludzi z ambicjami politycznymi.

Stopniowo zaczęto tworzyć różnego rodzaju mity, zwłaszcza wokół wojennej biografii Leonida Breżniewa. On sam nie uczestniczył w decydujących starciach Wojny Narodowej. Jednym z najważniejszych epizodów w wojennej historii 18 Armii było zajęcie i utrzymanie w 1943 roku przez 225

zdrowego rozsądku, że dało pożywkę dla niezliczonych żartów. I tak działkę pod Moskwą, gdzie wybudowano wielką daczę Leonida Breżniewa, a obok powstały daczę jego córki, syna i wnuczek, okoliczni mieszkańcy nazywali właśnie „Małą Ziemią”.

Wiele drwin wywoływała także zadziwiająca skłonność Leonida Breżniewa do tytułów honorowych i odznaczeń. Po wojnie na piersi generała-majora Leonida Breżniewa były cztery order i dwa medale. Później, odkąd Leonid Breżniew doszedł do władzy — nagrody zaczęły się sypać na niego, jak z rogu obfitości. Pod koniec swojego życia miał on już więcej orderów i odznaczeń, aniżeli Józef Stalin i Nikita Chruszczow razem wzięci. (...)

Nie odznaczając się talentem oratorskim, Leonid Breżniew prawie że co tydzień występował z przemówieniami i referatami, które telewizja transmitowała na cały kraj i filmowano dla specjalnych wydań kroniki filmowej. Tymczasem był on jedynie osobą czytającą przygotowane dla niego przemówienia i referaty. Co więcej nawet te teksty czytał z dużym trudem, popełniając wiele błędów, przekraczając słowa, zwłaszcza te dłuższe. Dlatego autorzy jego wystąpień mieli surowo przykazane, aby słów takich nie wstawiali do przygotowywanych tekstów.

Leonid Breżniew gubił się podczas różnego rodzaju uroczystych ceremonii. W ważnym kręgu, podczas prywatnych spotkań, w dniach urlopu mógł on być zupełnie innym człowiekiem — bardziej samodzielnym, bystrym, z poczuciem humoru, choć prawda, że nie najwyższego lotu. (...)

Kiedy w 1973 r. przybył do Moskwy jako sekretarz stanu Henry Kissinger, aby porozumieć się w sprawie wizyty Leonida Breżniewa w Stanach Zjednoczonych, prawie wszystkie pięciodniowe rozmowy odbywały się na terenach myśliwskich w Zawidowie, podczas spacerów, polowań, obiadów i kolacji. Leonid Breżniew demonstrował gościowi swoje umiejętności jako kierowcy. Kissinger pisał o tym w swoich pamiętnikach:

„Pewnego razu zaprowadził mnie on do czarnego „cadillaca”, którego podarował mi przed rokiem Nixon. Z Breżniewem za kierownicą pomknęliśmy z dużą prędkością po wąskich i wyboistych wiejskich drogach i można się było tylko modlić, aby na najbliższym skrzyżowaniu pojawił się jakikolwiek policjant, który położyłby koniec tej ryzykownej zabawie. Było to jednak czymś nieprawdopodobnym, jako że tu za miastem nie było w ogóle policji drogowej i nikt nie ośmieliłby się zatrzymać samochodu sekretarza generalnego partii. Szybko jazda skończyła się nad brzegiem, Breżniew posadził mnie na fachu z podwoźnym skrzydłem, którego na szczęście już sam nie prowadził...”

Ludzie radzieccy nie widzieli i nie znali jednak takiego ciężkiego się zyciem i bezpośredniego Leonida Breżniewa. Obraz życia młodszych Breżniewa, którego wówczas niezbyt często pokazywano w telewizji, został

no buch przysiadł — i w tym momencie kątem oka ujrzałem koniec węża stojącego obok „Migdała”.

Śmiertelny strach nie podciął mi nóg. Przeciwnie — pod wpływem szoku wpadłem w opętany dryg. Solo podjąłem przerwaną nagle popis! Lewa noga w bok i „Dzień dobry, panie dyrektorze!”, przysiadł — i „Dzień dobry, panie inspektorze!”, noga w bok, przysiadł, noga w bok i jak pęknięta płytka gramofonowa: „Dzień dobry, panie dyrektorze!”, „Dzień dobry, panie inspektorze!”...

„Migdał” ostupiał, po chwili odwrócił mnie twarzą do swych nastroszonych wąsów, wykrzykując coś pod moim adresem szarpnął — i naderwał mi kłapę marynarki.

To, że o mało nie wyleciałem z budy, że w drodze łaski obniżono mi stopień ze sprawowania — pół biedy. Ale ta marynarka! Dopiero drugi raz miałem na sobie nowe ubranie. Kupił mi je ojciec na szesnaste urodziny w sklepie konfekcyjnym na ulicy Nowomiejskiej.

Po trzech latach już jako początkujący reporter zapuszczałem się sam na ulicę Nowomiejską, Zgierską, Ogrodową. Podpatrywałem życie na gorąco, pisząc obrazki z miasta do „Expressu Ilustrowanego”. Najczęściej można mnie było spotkać w sklepach z gotową odzieżą, bo też tam rezgrywały się najciekawsze sceny. Rozpisałem się o tym szeroko w wydanym dziecie lat temu pierwszym tomiku mých wspomnień „Reporter przed konfesjonalem”. Pozwólcie powołać się na fragmenty z tej książki.

Dawny handel na ulicy Nowomiejskiej

Konkurencja wśród sprzedawców konfekcji panowała olbrzymia. O klienta toczono formalne walki, w czym dominującą rolę spełniali tak zwani „naganiacze”, będący na procencie od każdego sprzedanego dzięki ich pośrednictwu ubrania. I oni rywalizowali ze sobą, jako że dokoła aż się roilo od sklepów tej branży.

Reflektanci na konfekcję rekrutowali się przeważnie z przybyłych ze wsi i miasteczek podlódzkich. Wprawne oko wyłaziło ich nieomylnie z ciżby ludzkiej — ogorzałą twarzą i maciejówką zdradzała swoje pochodzenie.

Gdy taki upatrzonego klienta wolnym krokiem podchodził do wystawy sklepowej, „naganiacz” kilkoma susami doskakiwał doń, jedną ręką ujmował go z tyłu za kołnierz, drugą otwierał drzwi sklepu i zreczynnym ruchem wypychał delikwenta do środka, pomagając sobie nierzadko uderzeniem kolana niżej pleców. Kupiec obserwujący ulicę przez szybę podbiegał do klienta i zanim ten zdążył coś powiedzieć, ścigał zeń płaszcz lub marynarkę, a w tym samym momencie wspólnik albo ekspedient zdejmował z wieszaka jakiś model z atrakcyjnym „mustrem”.

— *Ubranko dla pana? Od razu wiedziałem. O, to będzie w sam raz!*

Klient bezwzględnie poddawał się zabiegom skaczących koło niego ludzi, a gdy już miał na sobie zachwalane pod niebiosa ubranie, kupiec cofał się o krok i przecierając oczy wołał:

— *Gdzie jest ten łapciuch, co tu był przed chwilą? Gdybym nie wiedział, że pan to pan, byłbym przysiągł, że nam przed sobą samego księcia Walii!*

I wówczas trafiali się nietypowi klienci. Marynarka nie pasowała do figury, była za luźna. Sciągnięcie z tyłu paru fald, wprawna ręka kupca ratowała sytuację. Natomiast, gdy spodnie okazały się za długie, właściciel sklepu podejmował się skrócić je na poczekaniu.

Pozostawała jeszcze do załatwienia sprawa najważniejsza — uciebie targu.

— *Ile to ubranie ma kosztować?* — pytał klient, nie dając po sobie poznać, że zależy mu na sfinalizowaniu transakcji.

— *Niech pan najpierw obejrzy ten materiał. Co? Najlepszy kamgarn eksportowy z Bielska, a te dodatki...*

— *No wiec ile?*

— *Jak dla pana... osiemdziesiąt złotych. Zapakować?*

— *Zaraz, zaraz. Naprawdę widziałem na wystawie takie samo ubranie za sześćdziesiąt.*

— *Pan nie wie, co mówię, jak Boga kocham! Z taką podszewką i wykończeniem? Ile pan daje?*

— *Pięćdziesiąt.*

— *Słowo honoru, szanowny pan powinien występować w teatrze jako komik. Pięćdziesiąt złotych za takie ubranie? Ha, ha, ha! Mnie samego kosztuje siedemdziesiąt, a tę dziesiątkę kupiec musi zarobić na podatki i lokal!*

Klient kieruje się ku drzwiom.

— *Niech pan powie jak człowiek, ile pan ostatecznie daje?* — kupiec zabiega mu drogie.

— *Pięćdziesiąt, jak mówiłem. Płatkę mogę dołożyć i to wszystko* — zarzeka się klient, ujmując kłamek.

— *Co się pan zaraz obraża? Proszę, pan pozwoli. Panie Lolku, zapakować!*

Gdy targu nie ubito i klient wychodził na ulicę, właściciel sklepu dyplomatycznie wyczekiwał kilka chwil, a widząc, że tam-

ten zmierzcha do konkurencji, wybiegał za nim i zawracał go, aby podjąć na nowo przerwany dyskurs.

Trafiali się szczególnie zadziorni klienci. Kupiec, wnioskując z ich zachowania, że czeka go ciężka przeprawa i kto wie, czy w ogóle dojdzie do uzgodnienia ceny, wołał rozpaczliwie:

— *Kieszonie! Zobacz pan tylko te kieszonie!*

Klient zapuszcza rękę do kieszeni i — nieruchomieje. Wyczuwa pod palcami obecność srebrnej pięciopięciówki. Już nie targując się, unosi pośpiesznie nabytek, nie wiedząc, że kupiec opuściłby mu więcej niż wynosiła wartość „znaleziska”.

Gotowe ubrania kosztowały stosunkowo tanio. Pod koniec sezonu na ulicy Nowomiejskiej, Zgierskiej można było upolować prawdziwe „meczyje”. Odzież sprzedawano nieraz po cenie kosztu, nawet ze stratą. Handel konfekcją, wielką obracającą się machiną, nie mógł mieć przestojów. Kupcy potrzebowali gotówki, żeby sprowadzić nowy towar. Oplacało się pozbyć niektórych rzeczy za każdą cenę, byle zyskać tak bardzo upragnione „bares geld” i kupić partię nowego, atrakcyjnego towaru, na którym zarobi się dwa, trzy razy więcej niż na pokrytych kurzem bublach.

Na Bałutach ta gałąź handlu niepodzielnie znajdowała się w rękach żydowskich. A punktów sprzedaży, jak byśmy to dziś nazwali, namnożyło się tu co niemiara. Niechaj znowu posłużę się „Księgą Adresową” z 1937—39 roku, która i tym razem oddała mi nieocenioną przysługę.

Zacznijmy od ulicy Nowomiejskiej, „arterii konfekcyjnej”. Ogółem prosperowało tu 65 sklepów i hurtowni gotowej odzieży — z frontu, na parterze i na piętrach oficyn czynszowych kamie-

nic. Niemal w każdym domu! I to nie po jednym sklepie. Rekord bił dom pod numerem 6 z siedmioma sklepami konfekcyjnymi. Domy pod numerami 4 i 10 miały „tylko” po sześć sklepów. Oto nazwiska kupców owych trzech przodujących posesji: M. Frejlich, J. Gerszenowicz, L. Halberg, A. Rychter, M. Stodkiewicz, D. Szpilman, E. Tencer, Israel Ajsen, J. Fuks, J. Karp, A. Mest, S. Mesz, P. Najman, J. Frydman, R. Jakubowicz, B. Lenkowski, J. Rozenberg, S. Sztender, D. Zylberberg.

Przedsiębiorstwa konfekcyjne okupowały również ulice Zgierską, Ogrodową, Wschodnią. Na niewielkim placu Wolności sprzedawano gotowych ubiorów trudniło się 36 sklepów i hurtowni. Pod numerem 7 — dwanaście, pod numerem 5 — jedenaście. Królowi sklep konfekcyjny panów Lewina i Ajzena. Oferowali największy wybór, a pod nosem, w tej samej posesji mieli trzech konkurentów.

Lódzcy liderzy Narodowej Demokracji z adw. Kazimierzem Kowalskim i Franciszkiem Szawajderem na czele pozadrosili kupcom żydowskim. Szermując hasłem: „*Swój do swego*!” doprowadzili do otwarcia „Chrześcijańskiego Domu Odzieżowego”, po parzystej stronie ul. 11 Listopada (kilka domów za Zachodnią w kierunku Gdańskiej). W „Orodowniku” i za pomocą ulotek nawoływano „prawdziwych” Polaków, żeby tylko tam zaopatrywali się w ubrania. Mimo to frekwencja nie dopisywała i „chrześcijańska” placówka zwinęła żagle. Ceny były tam o połowę wyższe niż na ulicy Nowomiejskiej, chociaż towar... ten sam. „Chrześcijański Dom Odzieżowy” zaopatrywał się bowiem w tych samych żydowskich hurtowników w odzież, wyprodukowaną rękoma żydowskich chałupników w Brzezinach pod Łodzią!

Północna dzielnica miasta słynęła nie tylko z konfekcji. Oprócz typowego „szwaru, mydło i powidło” można tu było taniej niż gdzie indziej nabyć obuwie, skóry, tkaniny, papier, pieczywo, szkło, ryby — wszystko, co potrzebne człowiekowi do egzystencji. Przez cały dzień aż do wieczora ulicami Bałut przelewała się fala ludzka, huczała tu jak w ulu, krzyżowały się nawoływania, głośnie rozmowy. Ulice Nowomiejska i Zgierska tętniły gwarem śpieszących się ciagle ludzi.

W pogoni za klientem właściciele sklepów co rusz obniżali ceny, zawiadamiając o tym rzucającymi się w oczy wywieszkami. Dwaj wspólnicy umieścili na wystawie swego sklepu zawiadomienie: „*To, co przedtem kosztowało 50 złotych, od dziś tylko 30 złotych!*”. Ale przechodnie jakoś nie dawali się schwytać na przynęty.

— *Trzeba jeszcze bardziej obniżyć ceny!* — powiedział jeden ze wspólników.

I na wystawie znalazła się wywieszka: „*To, co przedtem kosztowało 80 złotych, od dziś tylko 30 złotych!*”.

Za towar przyjmowano również weksle. Poza sytuacją materialną wystawcy weksla i żyrantów, którzy gwarantowali, że należność zostanie uregulowana w terminie, decydował termin płatności. Im szybciej przyspadał, tym chętniej taki weksel przyjmowano.

Po obejrzeniu towaru klient zwrócił się do kupca:

— *Mogę panu dać wekselek.*

— *Jaki?*
— *Powiedzmy macierzyński.*
— *To znaczy?*
— *Na dziewięć miesięcy.*
— *Wie pan co? — zastanowił się kupiec. — Daj pan lepiej nie donoszony.*

— *To znaczy?*

— *Powiedzmy na siedem miesięcy.*

Podatki, zastoje w handlu i niewypłacalni dłużnicy (szkoda, że moja Księga nie odnotowuje, ile wówczas weksli szło do protestu!) stanowili zmore kupców. Niewypłacalni kupcy zaś — utrapienie dostawców: hurtowników i przemysłowców. Właściwie w tych sferach każdy każdemu coś za coś był winien. Na ten temat kur-sował dowcip:

Zaferowany kupiec idzie ulicą. Nagle z tyłu dobiega go głos:

— *Panie Zet! Panie Zet!*

A kupiec, nie oglądając się, odpowiada: „*Mnie też nie placą!*” i rusza w dalszą drogę.

Narzekaniom na ciężkie czasy nie było końca.

— *Sam nie wiem, co to będzie — żalił się właściciel sklepu.*

— *Codziennie dokładam do swego interesu.*

— *To z czego pan żyje?*

— *Z czego? Widzi pan, w sobotę i niedzielę interes mam zamknięty i właśnie z tego żyję...*

Nowomiejską czy Zgierską rzadko przejeżdżały ciężarowe samochody z towarem. Transport z hurtowni do sklepów odbywał się na konnych platformach, częściej zaś na ręcznie popychanych wózkach, a przeważnie na ludzkich barkach.

Sklepy na ulicach Nowomiejskiej, Zgierskiej i przyległych pracowały non stop. Jakoś nie widziało się wywieszek „*Nieczynny!*”, „*Remanent!*”, „*Remont!*”, „*Choroba personelu!*”, „*Dostawa towaru!*”, „*Wyszedł do dyrekcji!*”. Remanentów kupcy nie musieli robić, bo i po co? Sami siebie przecież nie okradną, a do personelu mieli pełne zaufanie. Remonty, owszem, przeprowadzano, ale nie jak dziś miesiacami, co kilka miesięcy, lecz raz na długie lata i to w tempie błyskawicznym. A jeśli zachorował ktoś z sprzedawców, właściciel sklepu sam stawał za ladą, ewentualnie ścigał do pomocy kogoś z najbliższej rodziny.

Dostawa towaru odbywała się przeważnie po godzinach handlu, a jeśli w ciągu dnia — to od tyłu. Jeżeli zaś sklep nie miał zapleczka — prosto z ulicy czy podwórza. Jedni wnosili towar, drudzy go sprzedawali, klientów obsługiwano bez przerwy. Do „dyrekcji” nikt nie chodził, kupiec sam sobie był dyrektorem. Taki to wówczas panował bałagan!

Właściciele sklepów na ulicy Piotrkowskiej i innych ulicach Śródmieścia reklamowali się w gazetach, w kinach przed seansami, za pomocą rozdawanych ulotek. Kupcy z ulicy Nowomiejskiej nie mogli sobie pozwolić na taki luksus. Zresztą nie było to im potrzebne. Dla nich najlepszą reklamą stanowiły niskie ceny i... szyldy. Nad sklepami, pod balkonami, pod oknami mieszkali. W przekonaniu, że szyld im większy tym lepszy, właściciele sklepów nawzajem się prześcigali. Dochodziło do tego, że niektóre reklamy osiągały wymiary ekranów kinowych.

I oto któregoś dnia 1934 roku na ulicach Bałut, a także w innych dzielnicach Łodzi można było zaobserwować niezwykle zjawisko: przed sklepami pojawili się ludzie uzbrojeni w drągi i młotki, wspinali się po drabinach i usuwali z murów blaszane, papuże prostokąty. Masowe zdejmowanie szyldów-bohomazów spowodował nowy podatek, wymierzany od powierzchni reklamy. Proporcja była wprost proporcjonalna: im większy szyld, tym więcej trzeba było bulić.

Na tym tle dochodziło do arcyzabawnych sytuacji. Nad sklepem rybnym dwóch zaprzyjaźnionych z naszą rodziną wspólników wiele lat wisiał wielki w czerwono-zielonym kolorze szyld głoszący: „*Tutaj sprzedaje świeżych ryb!*”, a pod tym nazwiska obydwu sympatycznych panów. Po wprowadzeniu nowego podatku obaj kupcy poczęli debatować, jak by tu zmniejszyć do minimum wiszącą reklamę ich interesu.

— *Przed wszystkim trzeba zredukować ilość słów — stwierdził jeden. — Po co na przykład „tutaj”? Przecież wiadomo, że tutaj, a nie gdzie indziej. Ja proponuję zwyczajnie: „Sprzedaje świeżych ryb” i pod tym nasze nazwiska.*

— *Masz rację — pochwalił go drugi — tylko nie trzeba też „świeżych”. Wiadomo, że nikt nie sprzedaje nieświeżych ryb.*

— *To po co w takim razie „sprzedaż”? Nawet dziecko wie, że w sklepie się sprzedaje, a nie kupuje.*

— *Ja myślę, że można też wykreślić nasze nazwiska. Urząd podatkowy i tak zna nas doskonale, a dla klientów to ganc pomade. Niech zostanie tylko: „Ryby”.*

— *Po co? Przecież każdy, kto tędy przechodzi, na kilometr poczuje, że to ryby, a nie fiolki alpejskie!*

O ile mnie pamięć nie myli, właściciele sklepu rybnego w ogóle zrezygnowali z szyldu.

Wspomnienia z owych dawnych lat ożywiają się z każdym razem, gdy przejeżdżam lub przechodzę przez ulicę Nowomiejską, Zgierską, plac Wolności. Mój Boże, żeby można było jeszcze choć raz wejść do takiego sklepu, potargować się, ile wlezie, i kupić sobie ubranie konfekcyjne...

Niechby mi ktoś potem urwał nawet obie kłapy!

ADAM OCHOCKI

Komu nagrodę „Odgłosów”?

Na powyższe pytanie odpowiada doc. dr hab. GRZEGORZ GAZDA — pracownik naukowo-dydaktyczny Uniwersytetu Łódzkiego.

— *Od czasu ufundowania przez naszą redakcję nagrody, pytamy różnych ludzi o definicję istoty upowszechniania kultury. Jak dotąd było tyleż opinii, ilu interlokutorów. Jakże jest twoje zdanie na ten temat?*

— *Wydało mi się, że definicja upowszechniania kultury nie jest prosta, ponieważ wokół tej sprawy narosło mnóstwo tradycjonalizmów. Nie potrafimy wyzволnić się z tego stereotypu upowszechniania kultury, jaki ukształtował się w latach pięćdziesiątych, kiedy upowszechnianie kultury było jednym z kierunków polityki dydaktyczno-perswazyjnej, żeby nie powiedzieć, polityki propagandowej państwa. Jak wiadomo,*

były to czasy pionierskie, hurrasocjalistyczne. Ówczesny model przeżył się tak dalece, że tradycyjne instytucje, na które nakładano obowiązki upowszechniania kultury znalazły się w kryzysie. Myślę tu o domach kultury dzielnicowych, przyfabrycznych, gminnych itp. Dotyczy to także klubów prasy i książki „Ruch”, które z irracjonalnym optymizmem zakładano na wsia.

Dzisiaj powinniśmy wyjść z inercji programowej, w jakiej te instytucje się znalazły i usiłują wciąż powielać ówczesny model. Instytucje te zawsze mogły bez większych wysiłków liczyć na budżetowe wsparcie. Ostateczny cios tym instytucjom zadano na początku lat osiemdziesiątych, kiedy okazało się, że król jest nagi.

Mówiąc jeszcze o tych ukształtowanych w przeszłości instytucjach trzeba powiedzieć także o niedostatkach w wyposażeniu w odpowiedni sprzęt, o niedostatkach wynagradzania pracowników, a także o brakach w profesjonalnym kulturotwórczym przygotowaniu kadry, która te działania miała prowadzić.

Te krytyczne uwagi są wciąż aktualne. Wystarczy przyrzec się rutyniarzom programom działania, imprezom w których nikt nie uczestniczy, ogólnemu obniżeniu poziomu merytorycznego imprez (kariera Maszalskich, walki Wschodu, różdżkarze i uzdrowiciele itp.). Oczywiście, są wyjątki, ale w sumie potwierdzają regułę.

Jeśli w tej chwili w Polsce przebudowywujemy wszystko, to powinniśmy przyrzec się tej nieszczególnie na dzisiejsze czasy i potrzeby tradycji, którą otrzymaliśmy w spadku po czasach minionych.

Z obserwacji wynika, że w tej chwili liczą się osobowości. I myślę, że dotyczy to nie tylko tradycyjnie rozumianych pracowników upowszechniania kultury, ale w ogóle ludzi kultury w najszerszym tego słowa znaczeniu (artystów, pisarzy, muzyków, dziennikarzy, filmowców itp.). Niewątpliwie te osobowości muszą być wsparte instytucjami, ale te z kolei winny pozbyć się biurokracji, stereotypu tak, aby osobowości, o których mówimy, mogły w sposób swobodny, nieskrepowany docierać do odbiorców. Dlatego też — bo rozmawiamy w związku z doroczną nagrodą „Odgłosów” — powinniśmy brać pod uwagę w typowaniu kandydatów nie tylko pracowników upowszechniających kulturę w tradycyjnym rozumieniu, ale także wybitnych artystów, właśnie osobowości, o których mówię, którzy swoją twórczością na różnych polach są rzeczywistymi propagatorami wartości kulturowych.

W typowaniu kandydatów powinniśmy brać pod uwagę tych, którzy kierując, w ramach instytucji, określonym typem pracy, potrafią niejako wbrew konserwatyzmowi administracyjnemu tychże instytucji rozwinąć działalność autentycznie kulturotwórczą. Właśnie dlatego bardzo wysoko oceniam poprzednich laureatów nagrody „Odgłosów”: Antoniego Szrama, Sławomira Pietrasa i Ryszarda Stanisławskiego.

— *Czy nie sądzisz, że redakcja znalazła się w gorzej promując jedynie tych, którzy mogą wykazać się działalnością w zakresie upowszechniania kultury za rok miniony?*

— *Nie należy nadto formalizować regulaminu tej nagrody. Przysnaje się ją wprawdzie rokrocznie, ale typując kandydatów winno się brać pod uwagę, moim zdaniem, ich całą działalność*

nie tylko w ostatnim roku. Bo cóż to jest jeden rok w tego typu działalności? Kultura nie jest wartością doraźną, którą można oceniać z perspektywy kilkunastu miesięcy. Czyli poszerzmy pole obserwacji i uznajmy także osiągnięcia łódzkiego środowiska artystycznego, bo jego przedstawiciele — powtarzam — są najautentyczniejszymi propagatorami kultury.

— *W moim odczuciu Łódź, miasto numer dwa PRL dość skromnie honoruje ludzi kultury...*

— *Łódź, w porównaniu z innymi ośrodkami w kraju, takim jak Warszawa, Kraków, Wrocław, nie stworzyła mechanizmów honorowania, oceny i podkreślenia dokonanych przez środowiska artystycznych i kulturalnych. Nie będę podawał przykładów, bo przyniosą one codzienne gazety i TV. Dlatego dobrze się stało, że redakcja „Odgłosów” wystąpiła z inicjatywą ufundowania nagrody i konsekwentnie ją realizuje. Nagrody i honory mają także walor promocyjny i one same są ważnym czynnikiem w upowszechnianiu kultury i sztuki.*

— *Dziękuję ci za rozmowę.*

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

T o co pania interesuje?

— W związku z przemianami politycznymi wzrosło zainteresowanie terenami leżącymi na wschód od naszej granicy. Także i Lwów stał się teraz modnym. Czy zechciałby pan powiedzieć o Polonii w Zachodniej Ukrainie, jaka jest, co robi, jak jest liczna?

— Według ostatniego spisu ludności, przeprowadzonego 10 lat temu, na Ukrainie mieszka 260 tysięcy ludzi, którzy w państwie mają adnotację „narodowość polska”, a więc ponad cztery miliony ludzi, którzy przynależą do polskiego pochodzenia. Na wschodnich krańcach ZSRR rozpoczęto już nowy spis ludności.

— Gdzie znajdują się największe skupiska Polonii?

— Największe skupisko znajduje się w obwodzie żytomierskim, jest to o tyle ciekawe, że są to tereny, które przed 1939 rokiem nie należały do Polski. Następnie Wołyńskie, Iwano-Frankowskie (dawny Stanisławów), Chmielnicki, Lwów. Poza Żytomierszczyzną nie ma tak dużych skupisk ludności, Polonia jest głównie zgromadzona w miastach.

— Ile Polaków mieszka we Lwowie?

— Obwód lwowski liczy 2,65 mln ludności, z czego 33 tysiące to ci, którzy w paszportach mają napisane, że są narodowości polskiej. W samym Lwowie, na 800 tysięcy mieszkańców w ogóle, 13 tysięcy to Polacy. Dla porównania podam, że mieszka tu na przykład 19 tysięcy ludzi narodowości żydowskiej, niemało jest również Ormian, Rosjan. Jest to historycznie ukształtowany ośrodek skupiający ludzi różnych narodowości i różnych kultur. We Lwowie, w tutejszych wyższych uczelniach studiuje 41 Polaków.

— W jakiej mierze konsulatu sprawuje opiekę nad Polonią i Polakami, jakie są jego zadania?

— Podstawowym obowiązkiem tej placówki jest sprawowanie ochrony prawnej nad obywatelami polskimi, opieka konsularna i pomoc we wszystkich życiowych sprawach, jakie spotykają ich na terenie Związku Radzieckiego. Na przykład, aktualnie szukamy zaginionego obywatela PRL, jego rodzina zwróciła się do nas z prośbą o pomoc w odnalezieniu go. Na razie wiadomo, że przekroczył granicę w październiku 1988 r. i został zatrzymany za kontrabandę, na granicy stoi jego samochód.

— Władze radzieckie powinny być chyba zawiadomione was o tym zatrzymaniu?

— Rzeczywiście, w ciągu 48 godzin powinni nas poinformować. Będziemy interweniować w prokuraturze.

— Jakie sprawy trafiają do budynku przy ulicy Iwana Franko 110, jakie kłopoty sprawia Polonia?

— Z Polonią nie mamy żadnych problemów, poza tym są to obywatele radzieccy i podlegają tutejszemu prawodawstwu. Natomiast wiele kłopotów przysparzają obywatele polscy, zwłaszcza turyści tranzytowi. W 1988 roku granicę w Medyce przekroczyło w obie strony 1,4 mln Polaków, spowodowało 270 wypadków drogowych, w których zginęło 10 Polaków i jeden obywatel radziecki. Nagminnym zjawiskiem jest prowadzenie samochodów w stanie niebezpiecznym, naruszanie obowiązujących przepisów tranzytowych przez tysiące ludzi. Do tego dochodzą takie „drobiazgi” jak handel, utrata dokumentów, pieniędż, awarie pojazdów. Naszym zadaniem tutaj jest pomagać i bronić polskich obywateli w każdej sytuacji, a konsekwencje prawne za wykroczenia będą wyciągane już w Polsce.

— Skąd, według pana, bierze się wśród radzieckich Ukraińców sympatia dla Polaków, zainteresowanie naszą kulturą? Wiem, że latem miały tu miejsce wystawy polskiej sztuki współczesnej i fotografii prasowej. Obejrzały się dużym powodzeniem.

— Od wielu setek lat tereny te Polacy zamieszkiwali wspólnie z Ukraińcami, istnieje bardzo duże powiązanie rodzinne. Historycznie rzecz biorąc, przywiązanie to jest w pewien sposób zakodowane, wypływa z dawnej zależności: polski dwór i ciemna ukraińska wieś. Wszelkie wzorce kulturowe płynęły od Polaków, ukraińska szlachta polonizowała się, ztracając własną tożsamość narodową. Polacy zostawili po sobie wiele placówek i dóbr kultury, z których do tej pory korzystają

ludzie różnych narodowości. Ukraina wydała wielu ludzi, którzy odgrywały wielkie znaczenie w polskiej kulturze, żeby wymienić Jarosława Iwaszkiewicza, Juliusza Słowackiego, Aleksandra Fredrę, Gabriela Zapolską czy Karola Szymanowskiego.

Istnieje zapotrzebowanie na polskie słowo, autentyczna chęć zapoznania się z naszą kulturą. Powszechnie odbierane są polskie radio i telewizja, od marca w miejscowych gazetach wychodzących po rosyjsku i ukraińsku drukowane są oba programy telewizji polskiej. W dużym stopniu potrzeby te zaspokaja wydana przygraniczna, duża bliskość sprzyja wzajemnym kon-

muzycznej, teatralnej, plastycznej, zapoznanie z polską literaturą. Towarzystwo przypominać będzie działalność instytucji i placówek, które zasłużyły się dla narodu polskiego oraz dokonania wybitnych Polaków — przedstawicieli świata nauki i kultury. Głównym założeniem programowym jest konsolidacja wszystkich mieszkańców Lwowa narodowości polskiej oraz szerokie udostępnianie osiągnięć naszej kultury mieszkańcom Ziemi Lwowskiej. Nadrzędnym celem jest przeciwdziałanie wszelkim tendencjom nacjonalistycznym i umacnianie przyjacielskich stosunków między narodami, które zamieszkują te tereny od wieków. Ogólne za-

warzystwo nawiązuje współpracę z Towarzystwem Przyjaźni Radziecko-Polskiej, z instytucjami i wybitnymi osobistościami kultury polskiej i radzieckiej. Moralnym i materialnym sponsorem organizacji jest Ukraiński Fundusz Kultury i Związek Towarzystw Przyjaźni i Współpracy Kulturalnej z Zagranicą.

— Dlaczego tak późno zaczęły powstawać towarzystwa kultury różnych narodów zamieszkujących tereny ZSRR?

— W ramach pieriestrojki inaczej zaczęto patrzeć na te sprawy. Przez wiele lat leninowska polityka narodowościowa była wypaczona. Za Leonida Breżniewa nie istniało pojęcie różnych narodów, mówiono, że jest tylko jeden naród radziecki. Obecnie znów wraca się do leninowskiej koncepcji polityki narodowościowej, przygotowuje się plenum KC KPZR, które omawiać będzie te kwestie. Wytworzyła się sprzyjająca sytuacja, w której narody mogą wracać do swych korzeni. Ukraińcy również poszukują tożsamości narodowej, powołano Towarzystwo Miłośników Języka Ukraińskiego, Towarzystwo Lwa. Fundacja ta ma na celu krzewienie i popularyzowanie kultury, upamiętnianie miejsc ważnych dla ukraińskiej tradycji i historii.

— W Polsce długo nie mówiono o Lwowie, do niedawna znowu milczenie było obojętne. Cmentarz Łyczakowski i wszystko, co jest związane z dawnymi związkami Lwowa z Polską. Jak to się stało, że w mieście pozostały ślady polskiej kultury, nazwy ulic, w centralnym punkcie miasta stoi pomnik Adama Mickiewicza, a na cokole widnieje podpis w języku polskim?

— Już wspominałem, że po rewolucji wielokrotnie wypaczono myśli Włodzimierza Lenina, dopuszczono się wielu nadużyć, poniszczono cerkwie, prowadzono błędną politykę w stosunku do spuścizny kulturalnej. Jednak dużo udało się ocalić. Było wielu mądrych ludzi, którzy nie wojowali z faktami, mieli szacunek dla historii i kultury, nie godzili się z wydawanymi zarządzeniami. Dlatego został we Lwowie pomnik Adama Mickiewicza, zostało ponad 30 ulic o polsko brzmiących nazwach, a część z nich nosi nazwiska sławnych Polaków. Ludzie, którzy chcieli by podważyć fakty zaistniałe po II wojnie światowej, są ludźmi nieodpowiedzialnymi. Jak się czujemy słysząc o niemieckim Wrocławiu, o roszczeniach w stosunku do Gdańska i Szczecina? My wróciliśmy na ziemie praocjów, a Ukraińcy na swoje odwieczne tereny. W historii wielu krajów zapisane są bolesne wydarzenia związane z waśniami narodowymi. W mojej rodzinie Łódź też były tego przykłady, żeby przypomnieć kirkut i cmentarz ewangelicki. Nigdy nie da się ułknąć tendencji nacjonalistycznych, dlatego należy szukać nie tego, co dzieli, ale wszystkich elementów łączących narody mieszkające obok siebie. Wyświadczenie rewizjonistycznych hańs byłoby nie tylko głupotą, ale godziłoby w powojenny ład historyczny.

— A jak przedstawiają się kwestie wyznaniowe, lwowska katedra katolicka powszechnie uważana jest za kościół polski?

— Oprócz katedry znajduje się jeszcze jeden kościół, jest dwóch polskich księży we Lwowie. W związku z polityką pieriestrojki zaczyna się otwierać nowe możliwości — jeśli obywatel chce i ma potrzebę chodzenia do kościoła katolickiego czy do cerkwi, stwarza mu się do tego warunki. W ciągu dwóch ostatnich lat w obwodzie lwowskim otworzono dwa kościoły katolickie. Obecnie zachodzą tak potężne procesy społeczne, że nie ma siły, aby je zahamować.

— Na Zachodzie poprzez Polonię propaguje się osiągnięcia naszej kultury, nawiązuje różnorodne kontakty, natomiast tutaj mamy do dyspozycji środki masowego przekazu, wystawy, filmy, są możliwości prezentowania polskości nie tylko za pośrednictwem towarzystw polonijnych.

— Powstałe Towarzystwo jest suwerenne, ale jest organizacją radziecką. My jako konsul możemy udzielić im tylko wszechstronnej pomocy w realizacji statutowych celów, przy podnoszeniu kwalifikacji kadry uczącej języka polskiego, organizowaniu bibliotek i w podobnych przedsięwzięciach. To-

Z tej ziemi

Czy jedność jest możliwa?

Wśród wielu marzeń, jakie trapią ludzkość, jest też marzenie o jedności i równości. Telewizja Polska podjęła dość ryzykowną próbę i powtarza serial z lat siedemdziesiątych: „Dyrektorzy”. Jeden z bohaterów tego serialu — dyrektor Adam Stoklosa powiada, że sprawiedliwość, to nie znaczy po równo, a przewodniczący rady zakładowej dawnych związków zawodowych powiada, że wszyscy jesteśmy jednacy i wszyscy mamy równe i jednakowe żółdki. A mnie wydawało się, że takie hasła powstały dopiero po sierpniu 1980 roku. Zresztą, gdy oglądałem „Dyrektorów” w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, to wydawało mi się, że to bardzo odważne przedsięwzięcie. Dziś wygląda to na polską wersję „Kamiennego kregu”.

O jedności marzą nie tylko u nas. O jedności marzą w Europie Zachodniej. Intensywnie przygotowują się do tej jedności. Ma ona nastąpić w 1992 roku. Zniesione zostaną wtedy granice wewnętrzne, cła i różne inne ograniczenia. Korzyści z tego będzie sporo. Można będzie na przykład osiedlać się, gdzie się komu zechce, jeśli będzie miał po temu warunki. Ale też i kłopotów przybędzie. Trzeba bowiem wiele spraw ujednolicić: przepisy sanitarne, ochrony środowiska, higieny, podatki, zasady działania przedsiębiorstw, transport, dyplomy lekarskie, adwokackie i inne. Powstanie nieograniczona konkurencja. Już dziś wiele przedsiębiorstw — szczególnie z krajów słabszych ekonomicznie — łączy się w koncerny i spółki, aby przygotować się do konkurencyjnej walki.

Ten proces integracji Europy Zachodniej ma też swoje dobre strony. Powstanie bowiem duży organizm, który będzie dysponował poważnym potencjałem technicznym, technologicznym, naukowym i kulturalnym. Dzięki temu powstanie możliwość przywrócenia Europie dawnego jej znaczenia w świecie. Dziś centrum światowe przeniosło się do USA, Europa chciałaby odzyskać straconą w świecie pozycję. Tego nie osiągnie ani Anglia, ani Francja, ani RFN działając w pojedynkę. Razem co innego. To potwierdza tylko maksymę, że w jedności siła. Ale przecież dziś jedność Europy jest iluzoryczna.

Zastanawiam się, czy jedność bezwzględna jest w ogóle możliwa i dochodzę do przekonania, że jest niemożliwa. Po 1992 roku muszą pogłębić się podziały już istniejące w Zachodniej Europie, muszą nasilić się sprzeczności. Proces integracji dopiero się zaczyna i mogą wystąpić w nim przeróżne zakłócenia, które dziś trudno przewidzieć. Przecież Europa Zachodnia składa się z różnych, na różnym poziomie stojących, z różną tradycją krajów. Integracja stworzy warunki dla dominacji silnych nad słabszymi.

Nie wolno też zapominać, że Europa, choć podzielona, stanowi jedność terytorialną, gospodarczą i kulturalną. Europa Wschodnia, która rozwijała się w inny sposób niż Zachodnia, która w stosunku do Zachodniej jest zacofana, stanowi nierozłączną całość z Europą Zachodnią. Jest to dla wszystkich Europejczyków wspólny dom, aczkolwiek w różnych jego częściach różnie przebiega proces rozwoju społecznego.

Niektórzy powiadają tak: — na zachodzie Europy trwa i rozwija się proces integracji, na wschodzie — przeciwnie, proces podziału. Nasiliły się ostatnio różnice, stały się wyraźne, doszło do ostrych konfliktów. Tak się stało na przykład między Węgrami i Rumunami. Bułgarzy sprzeczą się z Jugosłowianami. W samej Jugosławii występują ostre sprzeczności pomiędzy różnymi narodami. Trwa ostry konflikt między Albańczykami i innymi narodami Jugosławii. Toczy się wojna celna między różnymi krajami RWG. Granice, o których przez lata powtarzano, że są granicami przyjaźni, stały się granicami niezgody i podziałów. Może się wydawać, że Europa Wschodnia cofa się w przeszłość, w czasy podziałów, podczas gdy Europa Zachodnia zmierza ku zjednoczeniu. Ale taki punkt widzenia jest dość powierzchowny.

Przed wszystkim przez dziesiątki lat głosiliśmy — i wierzyliśmy w to — mit o formalnej jedności i przyjaźni. Politycy uznali, że skończyły się czasy waśni między sąsiadami i nastąpił czas przyjaźni i braterstwa. Taki stan zadektowano, nie licząc się ze stanem faktycznym. A przecież po drugiej wojnie światowej narody i państwa weszły w stan rzekomej przyjaźni mocno zwaśnione, z wieloma nie rozwiązanymi sprawami, z pretensjami wzajemnymi i nie opłaconymi długami i nie zaspokojonymi pretensjami. Okłady o przyjaźni nie rozwiązały, bo nie mogły rozwiązać istniejących konfliktów i sprzeczności. Czas wprawdzie leczy rany, ale nie leczy aż tak skutecznie spraw między narodami, nie łagodzi i nie niweluje waśni, podziałów, nie rozwiązuje sprzeczności. Przeciwnie — chowa je, włacza w głąb narodowej świadomości, i potrzeba tylko dogodnego momentu, sprzyjających warunków, aby wydobły się na wierzch i zaprezentowały się zdumionemu światu w całej okazałości. Nie leczy się bowiem narodów z ciężkiej choroby nacjonalizmu, nietolerancji, zawiści, megalomanii nakazami, zarządzeniami i układami. Takie choroby trzeba wydobywać na światło dzienne i zwalczać w otwartej walce na argumenty, a nie chować pod kocem wstydlivosti i nie wołać: Kochajmy się!

Polacy różnie określali już swoje miejsce w Europie. Byliśmy murem, przedmurzem, mostem, meszjaszem. W naszej świadomości narodowej jest wiele polonocentryzmu, megalomanii. A na przykład Stanisław Geberthner w „Życiu Warszawy” uważa, że w gruncie rzeczy jesteśmy... bardzo zaściankowani. Nasza zaściankowność polega na tym, że jesteśmy zbyt zapatrzeni w przeszłość, żyjemy konfliktami z przeszłości, minionymi sporami, minionymi racjami. Historię trzeba znać, trzeba twardo stać na gruncie tradycji, ale umieć też patrzeć w przyszłość, umieć odrzucić wszystko, co hamuje, przeszkadza, ciągnie w przeszłość. Trzeba umieć stanąć na gruncie realizmu.

Wiele naszych spraw, jak i spraw Europy bierze swój początek w przeszłości, ale rozwiązywane muszą być w teraźniejszości i przyszłości. Rozwiązywane muszą być zgodnie z wymaganiami naszego czasu, a nie czasu przeszłego. Nie trzeba bać się ujawniania starych konfliktów, bo dzięki temu łatwiej będzie rozwiązywać współczesne problemy. Ujawnione konflikty przeszłości pozwalają skutecznie widzieć świat teraźniejszy, ukryte w głębi społecznej świadomości hamują i przeszkadzają. Jeśli więc Europa Wschodnia teraz jawie dzieli się, to może to być początek procesu przezwyciężania tych podziałów, konfliktów, sprzeczności, które do tej pory były ukryte, ale trwały i uwalniały jak ostry gwoździć w bucie. Wydobytę dziś na jaw pozwalają ludziom wykrzyczeć swoje racje, ale i skonfrontować je z racjami innych. Wojna na racje jest lepsza od wojny na karabiny, armaty i rakiet. W takiej wojnie łatwiej o porozumienie, kompromis i pokój.

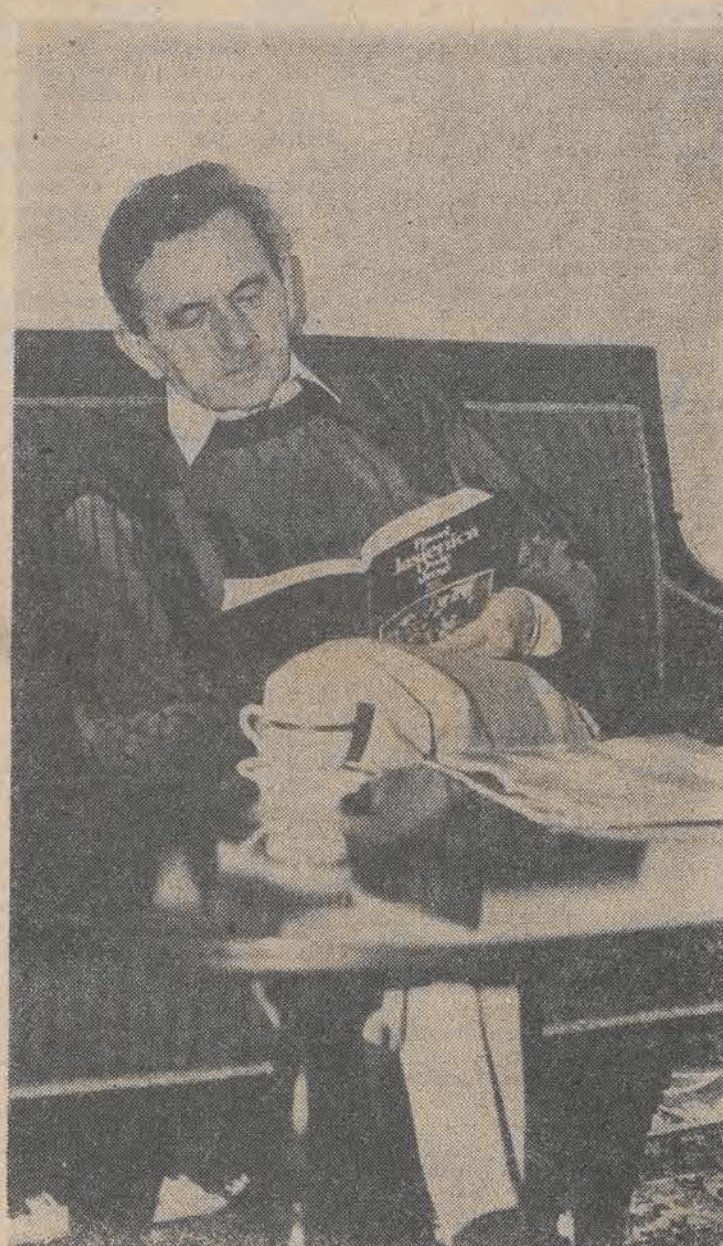
Nie przeceniamy naszej roli w Europie. Polska nie jest żadnym meszjaszem, żadnym murem ani mostem. Polska po prostu jest w Europie i być musi. Ale zarówno dla dobra Polski, jak i Europy Polska powinna być silna, spokojna i pokojowo nastawiona do wszystkich sąsiadów. Polscy turyści, gdy udają się gdziekolwiek, nie tylko sprawiają kłopoty swym zachowaniem i zaniłowaniem do handlu, ale też prezentują postawę pogardy dla gospodarzy. Nie lubimy innych i inni nie lubią nas. Czujemy się jakby wyżej i lepsi niż inni, a to nie innego jak narodowa megalomania i... głupota. Czas, abyśmy z tego wyrośli. Czas, abyśmy spojrzeli na ludy i narody mieszkające w Europie tak, jak na siebie patrzymy, abyśmy uznali, że są tacy sami a nawet lepsi. Czas zacząć rozumieć innych, aby zrozumieć siebie i swoje miejsce w podzielonej, ale szukającej jedności Europie. Jedność nie jest możliwa, ale trzeba nieustannie do niej dążyć!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

260 000 osób ma w dowodzie wpisane „narodowość polska”

Polacy na zachodniej Ukrainie

Rozmowa z WŁODZIMIERZEM WOSKOWSKIM, kierownikiem Polskiej Agencji Konsularnej we Lwowie.



taktom. Placówki kulturalne bezpośrednio współpracują z podobnymi instytucjami w całej Polsce i tak na przykład Lwowski Państwowy Akademicki Teatr Opery i Baletu z operą wrocławską, Państwowy Akademicki Ukraiński Teatr Dramatyczny z Teatrem Ludowym w Krakowie. Współpracują ze sobą uczelnie, muzea, właśnie finalizowana jest umowa z Muzeum Narodowym.

— Czy oprócz amatorskiego teatru, dwóch polskich szkół, łacińskiej archikatedry są jeszcze jakieś ośrodki skupiające Polaków i sympatyków Polonii?

— W 1988 roku w Związku Radzieckim zaczęły powstawać towarzystwa kultury mniejszości narodowych, w lipcu powołano Towarzystwo Kulturalne Polaków w Winnicy, na terenie Lwowa powstały towarzystwa Łemków, żydowskie, ormiańskie, a w grudniu Polskie Towarzystwo Kultury. Towarzystwo od razu na początku swej działalności wystosowało apel do ludności narodowości polskiej o organizowanie kół terenowych.

— Jakże zadania stawia sobie Towarzystwo?

— W statucie zapisano, że zadaniem Towarzystwa jest pielęgnowanie i krzewienie języka polskiego zarówno wśród Polonii, jak i ludzi innych narodowości, ochrona pamiątek, zabytków i zdobyczy narodowych, udostępnianie polskiej sztuki

łożenia będą wcielane w życie przez poszczególne sekcje Towarzystwa.

— Towarzystwo nie powstaje w próżni...

— Rzeczywiście, istnieje dwie szkoły z wykładowym językiem polskim, nie ma teraz żadnych przeszkód do rozbudowy tych placówek, tworzenia nowych klas nie tylko dla dzieci polskich. Amatorski teatr grający w języku polskim skupia wokół siebie dużą grupę ludzi różnych narodowości. W 1988 roku teatr po raz pierwszy odwiedził Polskę, występował w Rzeszowie i Łańcucie i wszędzie był gorąco oklaskiwany.

— Jak pan ocenia sytuację tutejszej Polonii, czym się ona różni na przykład od Polonii amerykańskiej?

— Na Zachodzie poprzez Polonię propaguje się osiągnięcia naszej kultury, nawiązuje różnorodne kontakty, natomiast tutaj mamy do dyspozycji środki masowego przekazu, wystawy, filmy, są możliwości prezentowania polskości nie tylko za pośrednictwem towarzystw polonijnych.

— Powstałe Towarzystwo jest suwerenne, ale jest organizacją radziecką. My jako konsul możemy udzielić im tylko wszechstronnej pomocy w realizacji statutowych celów, przy podnoszeniu kwalifikacji kadry uczącej języka polskiego, organizowaniu bibliotek i w podobnych przedsięwzięciach. To-

mił złotych. Okazuje się jednak, że jest to znacznie mniej niż potrzeba.

Służba zdrowia nie ma szczęścia do podwyżek.

W 1988 roku wybuchła wielka awantura wokół owych nie-szczęśliwych 14000 złotych, które miały średnio przypaść na jednego pracownika służby zdrowia. Rychło okazało się, że średnio przypadło tylko około 8000 złotych, gdyż do tych 14000 złotych wliczono 8000 złotych rekompensaty, jaką dostali wszyscy pracujący w PRL. Doszło wówczas w niektórych placówkach służby zdrowia do akcji protestacyjnych. Później też dawano pieniądze na różne wyrównania i dodatki. Nie były to duże pieniądze, ale w księgowości bez przerwy liczone, dzielone, wypisywane, przerabiane, angażujące. Roboty było wiele, pożytku mało.

W wyniku tych operacji średnia płaca w WSZ im. Mikołaja Kopernika w 1988 roku — ze wszystkimi możliwymi dodatkami — wyniosła 41 700 złotych.

W końcu listopada 1988 roku Federacja ZZ Pracowników Ochrony Zdrowia wszczęła zbiorowy spór z rządem w sprawie podwyżki płac. Na początku grudnia 1988 roku ogłoszono akcję protestacyjną. Wreszcie 18 grudnia „strona rządowa zagwarantowała, że w 1989 roku nastąpi wzrost środków finansowych na wynagrodzenie pracowników służby zdrowia i opieki społecznej, zapewniający osiągnięcie relacji średniego wynagrodzenia na poziomie 95 proc. w stosunku do średniego wynagrodzenia w sferze materialnej”. Brzmi to może zachęcająco, ale na początku lutego 1989 roku nikt nie wie, jaki poziom ma „średnie wynagrodzenie w sferze materialnej”. I dopiero w 1992 roku średnia płaca w służbie zdrowia i w opiece społecznej ma osiągnąć 104 proc. średniej płacy w sferze materialnej.

Jak wynika z Komunikatu GUS opublikowanego 27 stycznia 1989 roku, przeciętne wynagrodzenie w 1988 roku wyniosło około 51 600 złotych, ale są to dane o charakterze wstępnym, „częściowo oparte o szacunki”. Cała więc ta operacja ma charakter hipotetyczny, jest to taka zabawa co by było, gdyby. Ale pracownicy służby zdrowia i opieki społecznej mają już dość wszelkich zabaw. Oni chcą wiedzieć, jak i z czego mają żyć?

Dyskusyjny pod koniec stycznia 1988 roku projekt zmian płac w służbie zdrowia dotyczy zmian w dotychczasowych przepisach. Jest to rozporządzenie Rady Ministrów z... (tu zostawiono miejsce na stosowną datę), które postanawia:

„W rozporządzeniu Rady Ministrów z dnia 24 marca 1986 roku w sprawie uposażenia pracowników zakładów społecznych służby zdrowia, zakładów pomocy społecznej i zakładów rehabilitacji zawodowej i inwalidów (Dziennik Ustaw r. 15, poz. 84 z 1987 r., nr 10, poz. 61, z 1988 r., nr 2, poz. 4 i nr 32, poz. 235) wprowadza się następujące zmiany: (...)”

A zatem nie jest to nowy, radykalnie porządkujący płace, system, ale dalszy ciąg „łataniny”. Nowy jest tylko taryfikator, do którego jest wiele zastrzeżeń. Moi rozmówcy wyruszyli ramionami, gdy ich pytano, dlaczego tak się dzieje?

— To proste — powiedział jeden z nich — gdy w ciągu 4 lat było 4 ministrów, zatem żaden z nich nie mógł niczemu dobrze się przyjąć, cokolwiek postanowił, nad jakim systemem zreformowania służby zdrowia się namyślił. Nim się we wszystkim potapał, zmieniał pracę. Urzędnicy natomiast pozostali. Oni nie przerażają się swoimi pozycjami. Ministrowie przychodzą i odchodzą, urzędnicy są...

Ochrona zdrowia — to skomplikowany organizm społeczny.

Pacjentowi, który przychodzi do przychodni rejonowej czy do szpitala wszystko wydaje się proste. Dla niego jego choroba jest najważniejsza i on szalenie oczekuje, że cała służba zdrowia jest na jego usługę. To piękne założenie nie może być prawdziwe z wielu powodów. Po pierwsze — nie ma wielu lekarstw, a ostatnio wszystkie podrożały. Po dru-

gie — nie ma środków opatrunkowych, narzędzi, aparatury, a szpitale gwałtownie się starzeją i zużywają. Po trzecie — służba zdrowia jest skomplikowanym organizmem, wymagającym różnego podejścia do różnych jej dziedzin. Trudno na przykład porównać pracę wysoko kwalifikowanej pielęgniarki w szpitalu z pracą pielęgniarki w przychodni, czy sanatorium. A dąży się w nowych projektach do sprwadania tej pracy do jednego mianownika. Po czwarte — niezbędna jest sprawną i wysokowydajną pracę służb pomocniczych, żywieniowych, elektrotechnicznych, elektronicznych, mechanicznych i tak dalej, i tak dalej. I tu znów jakby o tym zapomina się.

Przykład klasyczny: w szpitalach nagminnie brakuje salowych. Praca to wcale nie-lękka, nie należy do najprzemenniejszych, trzeba po chorych wynosić baseny, trzeba

czego, który ma grupę 11 i zarabia do 36 000 złotych miesięcznie będzie musiał przejść do grupy 5 i będzie mógł zarobić do 30 400 złotych. Podobnie praczą, która ma grupę 11 zarabia do 36 000 złotych, po ewentualnym przyjęciu prezentowanych propozycji musi zejść do grupy 7 i będzie mogła zarobić do 34 800 złotych miesięcznie. Tu chciałabym przypomnieć, że praczą w szpitalu narażona jest nieustannie na obcowanie nie tylko z brudną, ale i bakteriologicznie zanieczyszczoną bielizną.

Pracownikom administracji „grozi” podwyżka średnio o 1300 złotych, a tylko pracownicy księgowości — jako że należą do zawodów deficytowych — mogą liczyć na średnią podwyżkę w wysokości 4200 złotych.

Na zebraniach konsultacyjnych, w tym także w „Koperniku”, wykazywano błędy i nieporozumienia zawarte w

chorego, to pracuje, czy jeszcze nie? A jak rozmawia z rodzinną pacjentką, to pracuje, czy nie? Czy praca chirurga to tylko operacja? A myślenie o tym, jak tę operację zrobić, to praca czy nie?

Zarówno dr Tadeusz Lewy, jak i dr Paweł Dykiński — dyrektor WSZ im. Mikołaja Kopernika — są zgodni w tym, aby wynagrodzenia za dyżury nie wliczać do średniej płacy, bo to znakomicie zamazuje obraz. Teraz za 17 godzin dyżuru płaci się ryczałtem 3000 złotych. W przyszłości... Tego nikt dobrze nie wie, ale istnieją obawy, aby pieniądze płacone za dyżury nie „zjadły” wszystkich, co powinni dostać inni.

Co zrobić w tej trudnej sytuacji?

Zanim przejdę do szczegółów, muszę wspomnieć o zało-

Poza granicą cierpliwości i dobrej woli

im pościel zmieniać, myć ich, sprzątać sale. A płaca niewielka: po ewentualnych zmianach salowa będzie mogła zarobić od 25 do 30 tys. złotych. A według oceny niektórych powinna, tak żeby salowych nie brakowało, zarobić przeszło 50 000 złotych. Ale wtedy ordynator powinien zarabiać minimum 150 000 złotych. A jak wszystko dobrze pójdzie, to będzie mógł zarobić w granicach 70 000 złotych. Ten przykład chyba wystarczająco dokładnie ilustruje rozpiętość między potrzebami a możliwościami. Przy takich możliwościach sytuacja pracowników służby zdrowia niewiele się zmieni.

Pacjenci niekiedy powiadają — sama to słyszałam: — Ciągłe tylko domagają się podwyżek, a pracować dobrze im się nie chce!

W służbie zdrowia — jak wszędzie — ludzie pracują dobrze i źle. Nie zapominajmy, że służba zdrowia oprowadana jest przede wszystkim przez kobiety, które obciążone są rodzinami, że one już nie wezmą sobie drugiego etatu, choćby nawet połowki, że nie chcą dodatkowych dyżurów, aby dorobić. One drugi etat mają w domu. A poza tym — o czym pisałam kilkakrotnie — lekarz, pielęgniarka, nawet salowa, wszyscy pracownicy służby zdrowia powinni być wypoczęci, dobrze odżywieni, pełni gotowości w niesieniu nam pomocy i w ratowaniu naszego zdrowia i życia. Niedoinwestowana służba zdrowia, bez lekarstw, środków opatrunkowych, bez aparatury i właściwego wyposażenia nie może spełnić naszych oczekiwań. My — pacjenci — będziemy niezadowoleni i oni — pracownicy służby zdrowia — będą niezadowoleni.

Dlaczego są przeciwni?

W skomplikowanym organizmie, jakim jest duży szpital wszystko zależy nie tylko od lekarzy, ale również od salowych, pielęgniarek, elektryków, kucharek, pralni. Być może mało ludzi w Łodzi wie, że największym zakładem gastronomicznym w mieście jest szpital „Kopernika”. Wydaje się tu dziennie 4000 posiłków. Proszę teraz sobie wyobrazić, że cytowana na wstępie groźba pracowników Zakładu Żywności zostanie spełniona i rzeczywiście pacjenci będą musieli przychodzić do szpitala z... suchym prowiantem lub rodzinną będą w południe przynosiły im obiady. Przecież to jest niemożliwe. Trzeba będzie szpital zamknąć. Ten szpital pierze 2 tony bielizny dziennie. Gdy nie będzie komu prać? I tak można powiedzieć o każdej ze służb.

Chodzi zatem o to, aby system płac tak był ustawiony, aby ludzie nie uciekali ze szpitala, ale garnęli się tam do pracy i żeby byli to najlepsi fachowcy. Ale tak nie jest i proponowane rozwiązania sytuację zmieniają na gorsze.

Teraz kucharka w WSZ im. Mikołaja Kopernika ma na przykład grupę 12 i zarabia 38 000 złotych miesięcznie. Według przedstawionych propozycji trzeba ją będzie przezniesić do grupy 8 i zarobi 37 000 złotych. Czy można się dziwić, że takich propozycji nikt nie chce przyjąć?

Pracownik działu gospodar-

stwa Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej. Uznano, że w taryfikacji jest sporo bałaganu, zapomniano o niektórych zawodach, jak na przykład logopedy, pielęgniarki oddziałową proponuje się zrównać w zarobkach ze starszą pielęgniarką, nie rozróżnia się pracy pielęgniarek w szpitalach od pracy w rejonach czy sanatoriach. Takie postawienie sprawy — mówiono — równa się świadomeму chyba założeniu, że pielęgniarki ze szpitali będą odchodziły do pracy poza szpitalem. Czy o to chodzi? Czy to jest sposób na uzdrowienie służby zdrowia?

Wytknięto również, że proponowany taryfikator w sposób drastyczny rozciąga płace najniższe kwalifikowanych od płac najwyższych kwalifikowanych. Takie rozciągnięcie płac można uznać za szkodliwe i pożyteczne wtedy, gdy całość płac — a więc i te najniższe — gwarantują możliwość godziwej egzystencji. Dotyczy to przede wszystkim salowych, pielęgniarek, rejestratorek, pracowników technicznych, biurowych, słowem całej obsługi szpitala, bez której nie może on funkcjonować.

Najbardziej niebezpieczna sprawa dyżurów nocnych. Piszę: najbardziej niebezpieczna — bo trudno to inaczej nazwać. Trzeba być rzeczywiście wyjątkowo oderwanym od szpitalnego życia biurokrata, aby coś takiego wymyślić.

Kto w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej doszedł do wniosku — chciałoby się zawołać: — autor, autor! — że do tej pory w szpitalach i innych placówkach służby zdrowia dyżury pełnią jakby wbrew Kodeksowi Pracy. Kodeks Pracy zaleca bowiem dzielenie dyżurów na czas — przepracowany i nie przepracowany. Przygotowano więc wzór specjalnego formularza oraz sposób oznaczania godzin przepracowanych i nie przepracowanych, informując jednocześnie, że 60 minut to cała godzina a 30 minut — to pół godziny. Myślałam do tej pory, że tego uczą w szkole podstawowej.

Dr Tadeusz Lewy, którego zapytałam, co o tym myśli, najpierw wyraził się nieparlamentarnie, a następnie zaproponował, abym wykonała następujący rachunek:

— W Polsce jest około 700 szpitali, w każdym, każdego dnia dyżuruje przeciętnie 5 lekarzy. Proszę policzyć, ile oświadczeń trzeba będzie złożyć w ciągu roku.

Policzyłam: 1 277 500 oświadczeń, zakładając, że trzeba będzie składać tylko po jednym z każdego dyżuru. Gdyby wyrażono, że w dwóch lub trzech egzemplarzach, to proszę sobie pomnożyć przez dwa lub trzy w ramach pracy domowej. Poza tym każde takie oświadczenie musi podpisać ordynator. Skąd on ma wiedzieć, czy lekarz spał czy miał pełne ręce roboty? Ma cały czas nad nim stać?

Ryszard Błażejowski — przewodniczący ZZ Pracowników Ochrony Zdrowia w WSZ im. Mikołaja Kopernika w Łodzi — zastanawia się nad tym, co w przypadku chirurga jest pracą, a co nie?

— Na przykład — mówi — jeśli chirurg schodzi na dół do Izby Przyjęć, aby zbadać

żeniu generalnym. Otóż trzeba zdać sobie sprawę z tego, że służba zdrowia jest bardzo droga. I z tego powodu nie stać nas w tej chwili na osiągnięcie w służbie zdrowia najwyższych standardów, najwyższej techniki i aparatury. Ale taka świadomość nie może hamować zmian, jakie są możliwe w naszych warunkach. Tylko że tego nie osiągnie się poprzez doraźne podwyżki, różnego rodzaju „łataninę”, gdyż służba zdrowia od bardzo dawna stoi przed koniecznością radykalnej przebudowy. Musi ona stanąć na twardym i zdrowym gruncie, a to wymaga zmian systemowych, a nie tylko poprawek w systemie płac, to wymaga zmian organizacyjnych. Jeśli w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej — a także dwu innych — tego nie rozumieją, to można zmieniać ministrów co pół roku, ale i tak nic z tego nie wyniknie.

Wiem też — jak każdy z nas — że rząd wszelkimi siłami broni się przed wydawaniem pieniędzy ludziom, bo to rujnuje i tak zrujnowany rynek. Ale bez radykalnej przebudowy systemu płac znów niczego się nie osiągnie. Ciągłym łataniem tylko pogłębia się inflacja. Jak się da, jednym, to zaraz woląta drudzy i tak bez końca. Żaden to sposób walki z inflacją. Ale prawdą jest, że na służbę zdrowia pieniędzy brakowało zawsze.

Co zatem zrobić w tym konkretnym przypadku?

Ryszard Błażejowski: — Był czas na konsultacje i przemyslenia, przynajmniej od wakacji 1988 roku. Czasu tego nie wykorzystano. Nie otrzymaliśmy przynajmniej dwóch warunków proponowanych rozwiązań. Wszystko rabiono w pośpiechu, byle jak. To wyraża stosunek naszych władz do nas. Jak długo możemy pozwalać na takie traktowanie?

Paweł Dykiński: — Fundusz płac powinien być adekwatny, a nie dyrektywny. Powiedzmy, że dostaję 30 tysięcy złotych i muszę je podzielić między 15 pracowników. Muszę zatem już z góry założyć, że są wśród nich nieroby i im nie dam, bo inaczej mi nie starczy pieniędzy. A przecież nie mogę powiedzieć, że nie dalem pieniędzy, bo mi brakło. Moim dążeniem natomiast powinno być, abym miał ludzi doskonałych i dlatego powinienem mieć fundusz adekwatny. To znaczy płacę im, nie po równo, ale zgodnie z kwalifikacjami i pracą, tak żeby byli i usatysfakcjonowani i żeby mogli godnie żyć. To jako dyrektywa ogólna. Teraz trzeba szybko znaleźć rozwiązanie do-razne, aby ludzie nie byli goryczeni i zdesperowani.

BOGDA MADEJ

P.S.

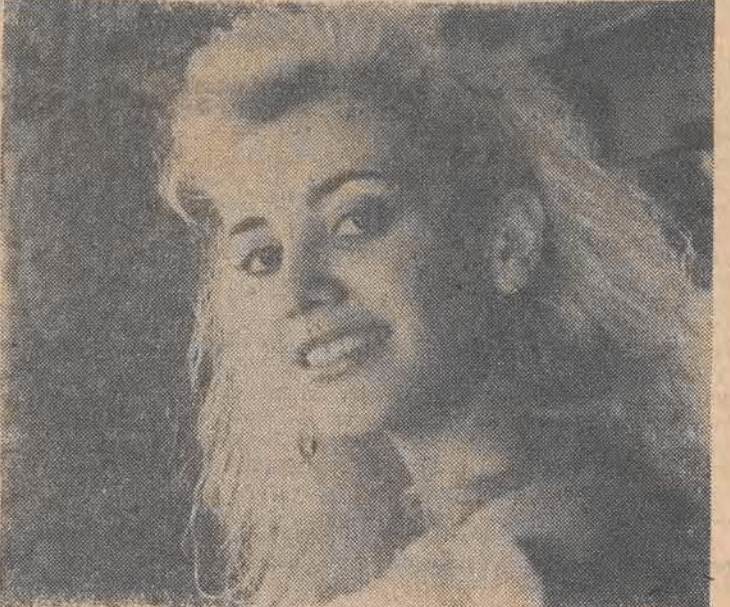
3 bm. wynegocjowano podstawowe w chwili obecnej postulaty pracowników służby zdrowia.

4 bm. Rada Krajowa Federacji ZZ Pracowników Ochrony Zdrowia zwróciła się do zakładowych organizacji związkowych o odwołanie akcji protestacyjnych.

B. M.

GRZEGORZ GALASIŃSKI PREZENTUJE:

Kandydatki na Miss Polonia





ANNA
ZYGADLEWICZ

Kolejnymu aniołowi odczepiono skrzydła i pokazano ziemię. To oczywiste, że się zbuntował, choć nie obarczono go zbyt ciężkim zadaniem — rozpoznanem kolu. Wystarczy nie wkładać kija między szprychy. Zwichnięty moralnie figurant patronował wszelkiej deprawacji, nie trując się o lepsze wyniki. Szybko wylądował w samą a zderzenia winy i kary amortyzowały skrzydła naszych stróżów. Dziś razem siedzimy w pozach fraszobliwych, trzymając się za zerwane sznurki lub zabandażowane nadgarstki.

Jalta w oczach Francuza

Jean Laloy przez lata uważany był przez francuskie ministerstwo spraw zagranicznych za najbardziej doświadczonego eksperta do spraw Wschodu. Mówi po rosyjsku, angielsku i niemiecku. W 1944 r. tłumaczył rozmowy między de Gaulle'em i Stalinem, a w swej karierze dyplomatycznej koncentrował się zawsze na stosunkach między Wschodem a Zachodem i europejskich siłach politycznych. Nie przestał zajmować się tymi tematami nawet wówczas, gdy de Gaulle odsunął go od operatywnego zajmowania się polityką zagraniczną i wyznaczył mu funkcję dyrektora archiwum. Stąd też książka Jeana Laloya — „Jalta — hier aujourd'hui, demain” (Jalta — dzisiaj, jutro — wyd. Editions Robert Laffont, Paryż 1988 r.) — przylatowała do światła z dużym zainteresowaniem. Jest ona bowiem wewnętrznym rozrachunkiem Laloya z gaullistowską polityką zagraniczną, dla której Jalta była legendarnym miejscem, gdzie aliansi wojenni „podzielili między siebie Europę”.

Większość Francuzów jest przekonana, że gdyby de Gaulle'a dopuszczono w Jaltę do rozmów, potrafiłby on lepiej bronić interesów Europy. Laloy uważa, że de Gaulle nie zdołałby nic więcej wymóc na Stalinie, także odnośnie Polski, niż zdołał uzyskać Roosevelt i Churchill. Polska — zdaniem Laloya — stanowiła zasadniczy element strategii politycznej Stalina „nie dlatego, że starał się o przyszłość dla obrony Związku Radzieckiego”, jak się powszechnie przypuszcza, lecz „dlatego, że chciał mieć bezpieczny korytarz dla bezpośredniego dostępu do Niemiec” — taka jest teza książki Jeana Laloya. Zgodnie z jego tezą, Francja nie ma możliwości prowadzenia „kontynentalnej polityki zagranicznej”, to znaczy, że nie jest dostatecznie silna, ażeby — bez oparcia się o Stany Zjednoczone — dążyć w stosunkach z ZSRR do polityki równowagi, o czym myślał de Gaulle jeszcze w 1944 r. (wg. „Die Zeit”).

Książka Jeana Laloya jest jeszcze jednym przyczynkiem do wiedzy o tamtych złożonych czasach.

Oprac. M. B.



Rys. Sławomir Łuczynski

Opisanie człowieka, czyli literatura zwana piękną, w celu uzyskania pożądanego efektu artystycznego posługuje się zwykłą fikcją, czyli zmyśleniem, rozumianym tutaj nie jako zniekształcenie rzeczywistości, lecz raczej jej przeobrażenie. Po co jednak zaprzęgać do pracy wyobraźnię — powiada przeciwnicy poetyckiego „kłamstwa” — skoro życie samo dostarcza tylu interesujących wydarzeń, o których napisać można rzetelnie i prawdziwie, że nie ma potrzeby uciekania się do nieuczciwych poetyckich zabiegów fałszujących świat, by bawić, szokować, zainteresować, wycisnąć z niego i wychowywać. Nie wdając się teraz w dyskusję z tym poglądem stwierdzamy, iż przynajmniej w jednym punkcie wypada zgo-

ra nie zostanie potępiona, jest bowiem prawdziwa. Jerzy Trębicki (wywiad z autorem publikowały „Odgłosy” kilka tygodni temu), znany niedawno aktor, wplątany w poważną aferę kryminalno-obyczajową, za „kierowaniem napadem rabunkowym” został przez sąd skazany na 25 lat więzienia. „Zbrodnia I...”, nieprzypadkowo odwołująca się do „Zbrodni i kary” oraz „Wspomnień z domu umarłych” Dostojewskiego, jest relacją z krótko spisaną przez człowieka, który tkwi wewnątrz opisywanego świata, jest jego elementem i przedmiotem. Książka Trębickiego pozbawiona jest zatem literackiego czy nawet dziennikarskiego dystansu, stanowi dokument dziesięciu lat życia za murem (autor uzyskał warunkowe zwolnie-

nie, że człowiek jest podły, autor ambitny, a społeczeństwo obojętne, co samo w sobie nie jest niczym odkrywczym ani owocnym, tyle tylko, że nasze wiadomości pochodzą z wiarygodnego dokumentu, a fakt ten posiada niebagatelne znaczenie psychologiczne, już choćby w dziedzinie prewencyjnej czy też „profilaktycznej” rehabilitacji. Traktowany dotąd po macoszemu w naszej literaturze temat doczekał się wreszcie ostrego i wnikliwego ujęcia, choć, powtórzmy, jest to wnikiwość wynikająca z natury dokumentu, nie zaś wnikiwość pisar- ską, literaturze pięknej właściwą. I chyba dlatego tylko można te książkę w ogóle czytać, dlatego trzeba o niej pisać i mówić bez stosowania wołczyńskich uników.



Genet po polsku

dział się z przedstawioną wyżej tezą: otóż istotnie prawda szokuje nas zwykle bardziej niż zmyślenie — zbulwersowani jej bezpośredniością rozglądaliśmy się wokół, by po krótkiej chwili zastanowienia skonstatować, że to, co dzieje się w domach, na ulicach i w gabinetach polityków przechodzi wszelkie wyobrażenia. Prawda wzbudza nas, ponieważ jest prawdziwa, aktor zaś gra, malarz fałszuje, pisarz bajdurzy, a wszyscy udają dla dobra sprawy, że wierzą w duchy ojców Hamletów i potworki Boscha, kiedy natomiast zaczyna się bać, dodają sobie otuchy powtarzając głośno, że „to przecież wszystko na niby”. Prawda, choćby najgorsza, najbardziej plugawa i najtrudniejsza do zaakceptowania, usprawiedliwia sama siebie i staje się nietykalna. Można ją postkroć, ale nie można nie czuć respektu przed nią, z jaką się narzuca. Pisarze, którzy relacjonowali fakty, zawsze cieszyli się znaczną poczytnością — odrzucali nie- rozumiając kamufaż artystów i oschle wskazywali prawdę, za którą nie ich przecież winić należy. Podobnie czyni Jerzy Trębicki, autor jednej z najbardziej wstrząsających i niezwykłych powieści polskich, „Zbrodnia I...”, która spośród innych powieści tym się ponadto wyróżnia, iż pozbawiona jest właściwie fabuły i fikcji, i w ogóle nie jest powieścią, a z lekka jedynie zbeletryzowanym reportażem. Jest to pozycja, która zgor- szy niejednego czytelnika, lecz któ-

nie, na którym dokonano szcza- tkowych zabiegów kosmetycznych, niezbędnych przy przygo- towywaniu książki do druku. Rzeczywistość więzienna, podpo- rzędkowana nienawiści, przemocy i wynaturzonemu, zezwierzęconemu seksowi, którego nie łagodzi żadne adiuścacje i operacje literackie, pa- ralizuje niemal zdolność percepcji przeciętnego czytelnika i ulewra- żliwia go w rezultacie na kolejne ataki przestępczego okrucieństwa, przestępczej inności, która w zde- rzeniu z naszą codziennością wy- daje się być opowieścią z innego świata, zaludnionego istotami o różaco stopionej, prymitywnej psy- chice, nie przystającej w żaden sposób do skomplikowanych wy- mogów cywilizacji i społeczeństwa. Ci ludzie zamieszkują wewnętrzne i zewnętrzne piekło, które stworzy- li sobie sami, i w którym w be- wnym sensie czują się swobodnie i bezpiecznie, aniżeli na uprzątni- nej dla niektórych wolności. Duże, dorosłe, bezwzględne dzieci, omi- ające zwykły tryb postępowania prowadzący do uatrakczonego celu drogą najłatwiejszą, niekiedy, nie- kiedy, i przeszkadzi, a sięgając po- żądany przedmiot jednym ru- chem reki, zbrojnej nierzadko w nóż, żyłkę czy patkę. Powstałe pytanie, na ile istniejący system penitencjarny jest w stanie zado- wolić niewielkiej choćby grupie więźniów luksus trwałej rehabili- tacji, i jest to chyba najpoważniej- szy problem, jaki porusza książka Trębickiego. Poza tym dowiaduje-

Obłąkany świat za murem przed- stawili już w naturalistycznym spo- sóbie Jean Genet, którego życie pod wieloma względami przypomina drogę do pisarstwa Trębickiego. Genet uczynił jednak ze swej twórczości literaturę w pełnym znaczeniu tego słowa, odrzucając niekiedy wierność faktom na rzecz poetyckiej intuicji i fantazji. Przed podobnym wyborem stanął także autor „Zbrodni I...”, on jednak wy- brał gwałtowny czytelnicy spokój i prawdę. Pisanie w więzieniu o sobie i ludziach, wśród których żył, stało się dla Trębickiego for- mą ekspiacji moralnej, lecz także metodą przetrwania, niemal kom- pulsowną czynnością człowieka, skazanego na zabicie czasu po- zerającego jego życie. Być może dlatego wzięła górę przemiana, choć prezentacji człowieka nagiego, bez domysłów, definicji i analiz, bez poezji i piękna. Jako książka „Zbrodnia I...” stanowi jedno z najważniejszych wydarzeń wydaw- niczych minionego roku i niezby- walne osiągnięcie naszej literatu- ry. W prawdziwie od lat zakochanej, jako powieść, Genet po polsku wy- pada swójko — czyli zgrzebnie.

MACIEJ
ŚWIERKOCKI

Jerzy Trębicki — „Zbrodnia I...”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988, wyd. I, nakład 40 000 egz.



Póki co...

Z uczuciem niezdrowej zawiści dowiedziałem się o stanie budowy nowego gmachu Opery w Bydgoszczy wznieszonego ze środków wojewódzkich. Wybudowanie obiektu w stanie surowym (po piętnastu latach budowy w wyniku inicjatywy zrodzonej jeszcze w latach 60.), kosztowało miejscowe władze 3 mld złotych, a na prace wykończeniowe i zakup urządzeń potrzeba jeszcze 2,5 mld. Tego wysiłku finansowego województwo nie jest już w stanie udźwignąć, stać jest tylko na 600 mln złotych. Jeżeli pieniądze się nie znajdą — zdaniem miejscowych działaczy — to planowana za cztery lata premiera w nowym gmachu operowym oddali się w nie- określona przyszłość, a sam budynek podzieli los słynnego warszawskiego „Złotego wieżowca”. Teatr będzie — jeżeli będą pieniądze, czy nie moż- na zrobić składowi na dokończenie budowy — kon- kłudują. Dlatego do wykończenia obiektu nie mogliby dożyć się wojewodowie Toruńskiego, Pił- skiego i Włocławskiego, których mieszkańcy są

częstymi widzami na przedstawieniach w Bydgosz- czy... To niezdrowe uczucie zrodziło się we mnie po sobotniej konferencji środowisk muzycznych w Łodzi, na której powródziła najważniejsza sprawa dla tego środowiska — budowy nowej filharmonii, a zanim to nastąpi przystosowania dawnego budyn- ku Teatru „7,15” dla potrzeb jednego z najlep- szych zespołów filharmonicznych kraju no i, oczy- wiście, melomanów milionowej aglomeracji. Może więc i u nas czas najwyższy zakochać słowne „przepychanki”, wesprzeć decyzję Rady Narodowej Miasta i, póki co, pomyśleć o składce ośmiennych województw, sponsorach i społecznych inicjaty- wach, które przybliżą wizję melomanów i muzyków.

M. Z.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

ki reklamowe, szczególnie rekla- my „Uniwersal”, wszak to dzie- ki „Uniwersalowi” mogliśmy o- glądać w TV „Doktora Żywago” oraz kilka innych pozycji. Za po- siadane dewizy „Uniwersal” za- kupił 10 interesujących, godnych obejrzenia filmów zachodnich i w zamian za reklamę, bezpłatnie przekazał telewizji prawo emisji.

150 LAT FOTOGRAFII

„Twarzą w twarz” — to nazwa wystawy otwartej w „Zachęcie”, którą zainaugurowano obchody jubileuszowego roku 150-lecia foto- grafii. Autorem 200 zdjęć (150 osób) jest mieszkający od 10 lat w Nowym Jorku Czesław Czapliński, który specjalizuje się w fotografii portretowej. Fotografuje twarze z pierwszych stron ga- zet. Na wystawie można stanąć „Twarzą w twarz” z Jimmy Con- norsem, Czesławem Miłoszem, Jane Fonda, Leszkiem Kołakow- skim, Józefem Glempelem czy Wojciechem Fibakiem. Wydaw- nictwo „Polonia” zapowiada opu- likowanie albumu Czesława Cza- plińskiego.

SZANUJMY REKLAMĘ

A przynajmniej niektóre obraz-

ścić, ale korzenie zostaną i wy- rośnie takie samo drzewo. Po- dobnie z ludźmi. Człowieka nie można uczynić bardziej wolnym niż on sam jest wolny wewne- trnie. I dla mnie jest rzeczą ważną, bym mógł pomóc człowie- kowi w zrozumieniu samego sie- bie. Zrozumieniu, że bardziej wolnym być nie może, a kto wie — może i nie powinien...

Dzisiaj wielki problem polega na tym, że dano swobodę. Kręć, co chcesz. I nagle wszyscy po- tracili głowy. Nie można robić filmów wyłącznie o 37 roku, o tym jak przychodzili nocą areszt- ować. Z tego nie rodzi się kino. Może się ono zrodzić tylko z o- ceny wydarzeń. Krytycy też są zdezorientowa- ni. Dawniej oceniano film na podstawie zawartego w nim prze- stawienia, ukrytych przyczyn pod adresem władzy. Kiedy jednak przyszło ocenić nie idee, lecz po- prostu wartość artystyczną, oka- zało się, że to nie takie łatwe. Trzeba mieć do tego odpowied- nią kulturę. I po to, żeby coś po- wiedzieć, trzeba umieć ocenić. A jakoś myśli zależy od pozi- mu kultury... (reżyser Andrzej Michalikow-Konczalowski dla „O- gonioka”).

POKUSY

Władza polityczna zawsze

doznaje mniej lub bardziej jaw- nej pokusy, aby wykorzystać sztukę w celach propagandowych, i tą drogą ućmioczyć swą pozycję. Na przykład „Profanacja hostii” Paolo Uccella pamięła funkcję propagandową w służbie Kościo- la. „Inkwizytor” El Greca to ar- cydzieło, nawet jeśli obraz słał w instytucję, o której „cnych” po- czynaniach wiemy to i owo. Na- tomiast obrazy, wyrażające kult Hitlera czy Stalina — nie mają żadnej wartości estetycznej. Mó- wić to, aby można było, że dzieł sztuki nie można rozpatrywać w kategoriach zła i dobra, tylko trzeba rozważać bardzo złożone układy, obejmujące również po- litykę, układy, które umożliwiają rozwój także w dziedzinie eks- presji artystycznej... Obecnie de- mokratyzacja ewolucja ku stanowi, gdy estetyka nie będzie już mo- gła zachować dystansu wobec po- lityki. Na tym właśnie polega „spektakularność zintegrowana”. A że nie można być artystą bez tego krytycznego dystansu, za- chodzi obawa, że będziemy mieć do czynienia wyłącznie z kup- czącymi literaturą, kupującymi sztuką... Trzeba tu uwzględnić rolę pieniądza. W obszarze nie- dzy estetyką a polityką krąży duży „szmal”, który determinuje obie te dziedziny. Pod tym wzglę- dem najbardziej niepokojąca jest sytuacja malarstwa... I ten sam

PESTKI DYNII

„Przerazony sceną przemocy w filmie telewizyj- nym, pies wzywał ducha: Pewnego dnia oglądał wraz ze swym panem NRD-owski film, w którym nagle jakiś długowłosy mężczyzna wyskoczył z za- rośli wymachując rewolwerem. Pies zawił ze skra- chu, miał się chwiliwą we wszystkie strony i w końcu zmarł na atak serca”. (FORUM).

W marcu ubiegłego roku, w 36-tysięcznym, po niemiecku schłodnym miasteczku Mettmann pod Düsseldorfem, w mieszkaniu Reinhardów, na pierwszym piętrze typowego „mrowiskowca” jakimś tam zbudowano kilkanaście — przeważnie dla ro- botników zatrudnionych w okolicznym przemyśle — znaleziono dziecko i psa...

Chłopczyk, zdany na opiekę Asty, suki z rasy owczarek niemieckich, weszły i skowyczał jak ona. Horst zaczął wodzić, wędrował na podłodze, usłanej ekskrementami i resztkami jedzenia, któ- rymi dziecko i pies zgodnie się dzielili. Tylko twarz i ręce małego były jako tako czyste — su- ka je lizała. Od chwili, gdy przywieziono go do szpitala Horst postąpił, ale bez uśmiechu powtarza gesty, których się go uczy. Siada na nocniczek, je z talerza. „Wszystko co potrafi, nauczy się w szpi- talu” — mówi prokurator Rosenbaum. Ale „dzie- cko-pies” nie odpowiada jeszcze na to, co się do niego mówi, kwili bez lez, albo też nie reaguje na żadne propozycje. Chodzi, ale kładzie się chętniej na podłodze — w pobliżu firanek, na których wid- nieją wizerunki zwierząt — niż w łóżeczku, gdzie przecież czekają na niego zabawki. „Dziecko, wy- zwolone przez policję z piekła brudu, nędzy, opu- szczania, przeżywa niewątpliwie nowy dramat z dala od suki, która go grała, lizała, kochała” (Za „ELLE”).

— Czy obecnie Asta nadal pozostaje przy nim? — pytają dziennikarze zachodnich gazet. Od pro- kuratora otrzymują odpowiedzi wymijające. Dr Mortier, psychoterapeuta zajmujący się przypadkiem „dziecka-psa” nadyma się, w ogóle nie chce ga- dać... Asta zaopiekowała się małym Horstem, kie- dy jego ojciec utopił wszystkie jej szczeniaki — wtedy całą swoją miłość, psia i matczyną, przełała na bezbronne i bezradne, porzucone „ludzkie szcze- nię”...

Horstem zajmują się lekarze... Rodzicami Horsta — prokuratura. Nie mogą powiedzieć co się dzie- je z Astą — nigdzie o niej nie piszą; przecież to tylko pies! Lecz pies potrafi być bardziej ludzki niż niejedna osoba, a jeśli któryś zbłądził z krete- sem, to na pewno pomoże mu w tym wy- datnie jakiś osobnik z rodzaju „homo sapiens” (?).

Łaciński canis, niemiecki Hund, francuski chien najdłuższ z wszystkich zwierząt obcuje z czło- wiekiem i — o dziwo! — charakter mu się łak- nie spacył, a mógłby przecież. Pouczając jest opowieść o Gelercie, ogarze Lwelnwina Wielkiego, księcia Walli (1173-1240), którego otrzymał on w darze od króla Jana. Otóż wróciwszy kiedyś z po- lowania książę zastał pustą, rozbeznaną łózkę swego synka i zbityżanego krwią Geleria. Mnie- mając, że pies zagryzł i pożarł niemowlę, zabił go mieczem w ślepym gniewie. Jek umierającego zwie- rzęcia obudził zgrzebaną w posłoci dziecko, zaś pod łózką znalazł zagnęzionego ogromnego wilka z Gór Kambryjskich... Zresztą motyw „pies, dziecko, wilk” jest dość popularny w baśniach i legendach wielu ludów, między innymi w Indiach, gdzie zamiast wilka występuje czarny wąż...

O psach z przełęczy św. Bernarda nie muszę wspominać; znają je wszyscy. Wszędzie w górskich pogotowiach ratunkowych pracują psy. Przy rato- waniu zasypianych podczas trzęsień ziemi — też. Do Armenii pojechało kilka ekip z psami, tak jak przedtem do Meksyku. Nie zawsze psy — ratow- nicy były traktowane tak, jak na to zasługiwały. Nie zawsze udawało się przewyciszyć głupotę, brak wyobraźni, skretyniałą bezdusność małych ludzi i przepisów...

ANDRZEJ GRUN

P.S. A ja mam do Państwa taką prośbę: jeśli już obejrzeliscie niedzielne kino rodzinne, a w nim okławy, infantylny idiotyzm czyli „Autostradę do nieba” i poplakaliscie już sobie rodzinie — spraw- dźcie, czy wasz pies ma w misce wodę...

Nie ukrywam, że utwory o posmaku sensacyjnym silnie oddziałują na mnie — jak zapewne na większość widzów — w kinie niż w teatrze, a nawet i teatrze telewizyjnym, dzięki większemu stopniowi iluzyjności niż scena „żywa” wydaje mi się od niej pod tym względem przydatniejszy. I jeżeli mimo wszystko słynna „Pulapka” Agaty Christie, świecąca triumfem na Zachodzie, wyszła przynajmniej obronną ręką z realizacji na scenie Teatru Powszechnego, to — jak sądzę — nie tyle dzięki swojej sensacyjno-kryminalnej materii, ile z powodu swoistej, nieco już staroswieckiej aury, stanowiącej sympatyczną i dowcipną „obudowę” zasadniczego wątku, np. w skrupulatnej pełnowymiarowej prezentacji bohaterów wydarzeń.

Oczywiście bez szukania odpowiedzi na sakramentalne pytanie: „kto zabił?” nie doznałby widz żadnej zgody uciechy i mało kto wysiedziałyby w swoim fotelu do końca, toteż trzeba przyznać, że autorka (czy też realizatorzy przedstawienia), mimo pewnej rozkleśłości we wprowadzaniu w osnowę sprawy, potrafiła to zainteresowanie rozbudzić, a zwłaszcza z drugim akcie wytworzyć atmosferę wzrastającego napięcia.

Inna rzecz, że psychologiczne motywy, jakie miały kierować mordercą są, według mnie, niewiarygodnie naciągane i mają się do autentycz-

PREMIERA W „POWSZECHNYM”

Pulapka na widza

nych zbrodni jak pięść do nosa, ale jednak sam przebieg działań scenicznych, którego tu oczywiście nie nadzwadza, rozwija się na krzewie logicznych następstw i sytuacyjnego prawdopodobieństwa. Co prawda, autorka nie byłaby sobą, gdyby całej tej zabawie w morderców i policjantów nie przypisała przewrotnych pointy.

Przedstawienie toczy się więc w miarę wartości, aktorzy tworzą dość wyraźnie zróżnicowaną galerię postaci i chyba tylko na zarysowaniu przekonywujących sylwetek obojga właścicieli pensjonatu zabrakło konceptu, a najbardziej przekonujący wydali mi się: **ROMA KAMINSKA** jako zrzedła dama z towarzysztwa, **Pani Boyle**, całkowicie zasługująca na to, by ją uduśić; **BARBARA SZCZESŃNIAK** jako ekscentryczna Panna Casewell, pozuająca na bardziej nowoczesną i niezależną niż jest w istocie; a także **WŁODZIMIERZ ADAMSKI** jako za kompleksiony i zdziwaczający Christopher Wren ogarnięty obsesyjnym lękiem.

Ostatecznie pulapka zastawiona nie tyle przecież na mordercę, co, jak zwykle, na widza, zadziałała w scenicznej adaptacji na tyle celowo (nie znam powieściowego oryginału), że widz oczekujący głównie rozrywki i odprężenia, nie zaś palpitacji serca, nie powinien poczuć się zawiedzony, zwłaszcza iż rzecz rozgrywała się w gustownej i pogodnej scenerii, zadającej klimat literackim (od czasów Dickensa) wyobrażeniom o nieprzytulności i tajemniczości angielskich pensjonatów.

To miejsce, odciete chwilowo przez burzę śnieżną od reszty świata, wynagradza zresztą pensjonariuszom wszelkie niedogodności położenia, najswobodniejszym, wkalikulowanym zapewne w koszty, dostępem do mocnych trunków, co jednak — o dziwo! — nie wywołuje u bohaterów „przerw w zyciorysie” ani zaburzeń artykulacji, dzięki czemu dzielny sierżant policji może wypełniać swoją powinność zgodnie z regulaminem.

Kończąc tak pozytywnym akcentem wyrażam przekonanie, że przedstawienie spotka się u publiczności z powodzeniem, zwłaszcza iż w obecnym sezonie konkurencja na łódzkich scenach dramatycznych nie jest zbyt groźna.

JERZY KWIECIŃSKI

Agatha Christie: „Pulapka na myszy”. Tłumaczenie i adaptacja: Tadeusz Jan Dehnel i Jan Zakrzewski. Reżyseria — Józef Słotwiński, scenografia — Jerzy Masłowski, muzyka — Jacek Szczęgiel. Premiera 22 stycznia 1989 r.

Dzisiaj Michaił Bułhakow jest modny, ale nadal mało znany, także u nas. Nasze teatry grały „Szkarałata wyspę”, „Dni Turbunów”, „Zmowę świętoszków”, „Pisze sere”, ostatnio zaś odbyła się premiera „Adama i Ewy”. Jednak jest to zaledwie część sporego dorobku dramatycznego Michaiła Bułhakowa — miejmy nadzieję, że najbliższe lata przyniosą prapremiery jego kolejnych sztuk i adaptacji scenicznych.

Pierwsze pełne polskie wydanie „Mistrza i Małgorzaty”, powieści, która może być uważana za opus vitae Bułhakowa, ukazało się do-

czas autentyczny liryzm i ów kłopot poezji. Woland Romana Gramzinskiego wydał mi się diablem znanym i dostojnym i dystyngowanym, pozbawionym owej iskry szaleństwa, która przecież jest w tej postaci. Niemniej Gramzinski bardzo dobrze prowadzi dialog, pokazując całe bogactwo podtekstów i niuansów psychologicznych granej przez siebie postaci. Z kolei Wojciech Kalwat w roli Korowio- wa imponuje sprawnością techniczną — stworzył rolę, która jest swoistym popisem warsztatowym, a to rzecz rzadka na naszych scenach. Nie można także pominąć



Diabeł pana Bułhakowa

pięro w roku 1980. Wtedy też adaptacja tej powieści trafiła na deskę sceniczną. Stało to się za sprawą **Andrzeja Marii Marczewskiego**, który wystawił „Mistrza i Małgorzate” w teatrze walczyńskim. Rok później powtórzył swoją inscenizację w Teatrze im. J. Szańskiego w Płocku, odnosząc znaczący sukces artystyczny na Festiwalu Dramaturgii Rosyjskiej i Radzieckiej w Katowicach.

Przedstawienia Marczewskiego były szeroko opisywane, a najwięcej pochwał otrzymał za opracowanie adaptacji scenicznej powieści Bułhakowa, podkreślano, iż była to sceniczna wersja książki, wierna wobec oryginału, nie zaś kompilacja kilku zaledwie wątków tego utworu.

Teraz **Andrzej Maria Marczewski**, wierny swojej fascynacji twórczością Bułhakowa, po raz trzeci sięgnął po „Mistrza i Małgorzate”, tworząc spektakl w Teatrze Polskim w Bydgoszczy, którym kieruje od kilku miesięcy. Dał przedstawienie bardzo piękne w swoim kształcie teatralnym, stanowiące, jak sądzę, ważne wydarzenie artystyczne bieżącego sezonu. Dokonał pewnych skrótów w swojej adaptacji, co chyba wyszło na korzyść całości widowiska. I tak trwa ono prawie cztery i pół godziny.

drzwi”. Słowa Drawicza można uważać za swoiste przesłanie bydgoskiego spektaklu. Jego bohaterem jest diabeł, rozumiany jako duch, który „wiecznie zła pragnie / wiecznie czyni dobro”. Oto Woland ze swoim dworem przybywa na ziemię, on też zaprowadzi trochę ładu w niespokojnych ludzkich sercach i pogubionych umysłach. Marczewski bardzo rozbudował swoją inscenizację — akcja przedstawienia odbywa się także na widowni, a diabeł „fruwają” na linach ponad głowami widzów. Ogromną rolę odgrywa tutaj światła — dzięki nim odbywają się zmiany planów, sama scenografia (**Józef Napiórkowski**) jest raczej u boga i skrótowna. Pełni ona znaczenie funkcjonalne, co niekiedy musi być komplementem pod adresem scenografa.

Marczewski stworzył spektakl zespołowy, a bydgoscy aktorzy (z małymi wyjątkami) potwierdzili swoje możliwości w tego rodzaju teatrze wielkiej inscenizacji. Ważnym osiągnięciem aktorskim jest rola Małgorzaty w wykonaniu **Jadwigi Andrzejewskiej** (zaskakująca zbieżność nazwisk ze znaną łódzką artystką, zmarłą przed laty). Potrafiła ona ująć w sposób dojrzały i pełny wytrwałość Bułhakowskiej bohaterki, zachowując cały

Józefa Fryźlewicza, który gościnnie gra w Bydgoszczy **Poncjusza Pilata**. Aktor niekiedy nadużywa głosu, jednak jego interpretacja roli Pilata jest konsekwentna od początku do końca — Fryźlewicz gra w istocie dramat człowieka, nie zaś samą potęgę władzy. Z ról epizodycznych zasługują na uwagę **Andrzej Juszczyk** (Berlioz) i **Andrzej Walden** (dowcipnie pokazany **Archibald Archibaldowicz**).

W bydgoskim przedstawieniu są także mankamenty aktorskie — przekrzywany **Mateusz Lewita** (**Wojciech Stawulak**), mało przekonujący **Mistrz** (**Krzysztof Kierszowski**).

MUSŁAW SARNICKI

Ta wiadomość bez wątpienia zainteresuje wszystkich, którym nieobce jest posługiwanie się piórkami, wnikliwe przyglądanie się naszej rzeczywistości i portretowanie jej (w formie rysunku satyrycznego). Otóż **Wojewódzki Dom Kultury i redakcja tygodnika „Nad Wartą”** w Sieradzu już po raz czwarty ogłaszają konkurs

Warunkiem udziału w konkursie jest nadesłanie zestawu czterech rysunków wykonanych czarnym tuszem na białym tle, do dnia 10 marca 1989 r. pod adresem redakcji „Nad Wartą”, 98-200 Sieradz, ul. Armii Czerwonej 15 z dopiskiem „Kaktus '89”. Każda z prac winna być opatrzona godłem, zaś do zestawu konkur-



„Kaktus '89”

na rysunek satyryczny — „Kaktus '89”. Konkurs ma charakter otwarty, a do udziału w nim organizatorzy zapraszają zarówno tych, którzy uznają się za zawodowców w tej dziedzinie jak i debiutantów.

Nazwa konkursu nie ma tylko charakteru ozdobnika. Stosownej wielkości kaktusy będą bowiem głównymi nagrodami, do których załączone zostaną jedynie koperty grubości adekwatnej do zajętego w konkursie miejsca. Na nagrody i wyróżnienia organizatorzy przeznaczyli kwotę 80 tys. zł., a jej podział pozostawiono konkursowemu jury. Redakcja „Nad Wartą” przyznała własną nagrodę za rysunek mniej lub bardziej związany ze środowiskiem masowego przekazu. Niewykluczone jest przyznanie nagród okolicznościowych i przypadkowych przez osoby prywatne i instytucje dotąd bliżej nie zidentyfikowane.

sowego należy dołączyć kopertę opatrzoną tym samym godłem, a zawierającą dane autora prac. Wyniki konkursu zostaną opublikowane 16 marca br. w tygodniku „Nad Wartą”, podobnie jak na jego łamach zostaną również zaprezentowane prace laureatów, uhonorowane według obowiązujących stawek dziennikarskich.

Zyczymy lekkiej kreski i niezłej zabawy.

M. B.

Galeria pisarzy



ZYGMUNT FIJAS

Jego pretensje do Łodzi z czasem. Także porośną patnym lasem...

ROMAN GORZELSKI
rysował:
Stawomir Arabski

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

nacisk rynku spotykamy w podejściu do spraw wydawniczych. Dziś o wszystkim decyduje rachunek finansowy. I stała modernizacja technologii. Te czyniki rządzą polityką, zaś sztuka staje się nieistotnym artykułem powszechnego użytku... (**Philippe Sollers**, pisarz francuski dla „Le Quotidien”).

KOLEJNA FUNDACJA

Fundacja Kłoto-Kraków to inicjatywa **Andrzeja Wajdy**, który przeznaczył na ten cel otrzymaną w Kłoto nagrodę w wysokości 350 tys. dolarów. Siedzibą fundacji **Andrzeja Wajdy i Krystyny Zachwatowicz** będzie Kraków. Tam właśnie, u podnóża Kopca Kościuszki lub w zakolu Wisły naprzeciw Wawelu za trzy lata ma powstać **Muzeum Sztuki Japońskiej**. Fundacja czeka na rejestrację.

WALDORFF PRZESTRZEGA

...reżyser operowy musi pamiętać, że muzyka dyktuje scenę szereg warunków, których ani pominąć, ani lekceważyć nie wolno. Podstawowy zaś paragraf owego Kodeksu Praw Opery powiada, że reżyseria, a dokładniej

— ruchem scenicznym nie należy słuchaczowi przeszkadzać wtedy, gdy powinien cały skupić się na słuchaniu muzyki, to jest — przede wszystkim — gdy zaczyna się aria lub wyodrębniony, szczególnie piękny ansambl solistów, czy też śpiew chóru.

W podobnych chwilach reżyser szanujący zasady winien scenę uspokoić, aby wrócić do jej zgiełku przy recitativach, dialogach i różnego typu intermezach. W sumie... idealnym reżyserem jest taki, którego roboty się nie dostrzega, dzięki jej doskonałemu poddaniu muzyce...

Oby zasad wyłożonych przez **Jerzego Waldorffa** w felietonie „Uszy do góry” („Polityka”) przestrzegali nie tylko reżyserzy z Teatru Wielkiego w Warszawie.

MÓWIĄ:

Jan Englert: „Teraz wszyscy są sfrustrowani, nawet ta śmietanka, której tak zazdrości środowiskowe zsiadki mleko. W rzeczywistości jednak większość to zadowoleni z siebie średniacy, którzy tylko narzekają, że jest im źle, ale mają się świetnie. Nic nie robią, żeby zmienić obecną sytuację, odwrotnie, gdy zaczyna

Jadwiga Jankowska-Cieślak: „To, co się stało po rozbiu Dramatycznego, także Narodowego i Na Woli, rzutuje na młode pokolenie, które teraz rozpoczyna pracę. Nieprawdopodobna degradacja zawodu, o której tyle się mówi, jest w dużym stopniu efektem tamtych decyzji... I to, że upokorzono wybitnych twórców, obniżyło poprzeczkę młodym aktorom. Oni przychodzą do teatrów, w których nie ma autorytetów, nie ma twórców, których podziwiali i szanują, a których chcieliby naśladować. I w rezultacie mają wszystkie autorytety „w głębokim poważaniu”. Teatr już nie jest świątynią, nie ma w nim kapłanów sztuki. Liczą się tylko pieniądze...” („Express Ilustrowany”).



Na zdjęciu scena zbiorowa
Foto: Chwałisław Zieliński

Kronika

JESZCZE w tym roku ma wejść na ekrany kin radzieckich film **Giennadija Biegiłowa** „Dossier na siebie samego”. Będzie on poświęcony pamięci ofiar represji stalinowskich.

W **MIAMI** Beach, na Florydzie, zmarł **Eddie Heywood** — amerykański pianista jazzowy, cieszący się dużą popularnością w latach czterdziestych.

Rozgłoszkał m. in. dzięki płytom, nagrany z **Ella Fitzgerald**.

FAKULTATYWNE lekcje języka polskiego wprowadziła od tego roku do swojego programu nauczania szkoła im. **Jaroslawa Dąbrowskiego** w Zytomierzu, na Ukrainie. Pomocy w prowadzeniu tych zajęć udzielają pedagodzy z Łodzi, Warszawy, Krakowa i Zielonej Góry.

WYBITNY zachodniemiecki politolog i historyk — **prof. Hans Jacobsen** — otrzymał doktorat honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego.

W **WARSZAWIE** zarejestrowano **Ogólnokrajowe Stowarzyszenie Narodowe im. Romana Dmowskiego**.

MINISTER Kultury i Sztuki **prof. Aleksander Krawczuk** — w oparciu o ustalenia z władzami Ukrainy i Litewskiej SRR — powołał trzy Komisje, których zadaniem będzie rozstrzygnięcie fachowej opinii nad zabytkowymi cmentarzami polskimi na Litwie i Ukrainie.

Przewodniczą im wybitni uczeni: **prof. Alfred Jahn** (ds. cmentarza Łyczakowskiego); **prof. Bogdan Zakrzewski** (ds. grobowca rodzinnego **Fredrów** w kościele w Rudkach) oraz **prof. Witold Hensel** (ds. cmentarzy na **Rossie**, **Antokolu** i **Bernardynskiego**).

NAKŁADEM Instytutu Zachodniego w Poznaniu ukaże się w połowie tego roku głośna na Zachodzie powieść **Andrzeja Szczępińskiego** „Początek”. Książka ta mówiąca o losach Żydów w czasie II wojny światowej stała się przebojem wydawniczym w wielu krajach europejskich. Uzyskała nagrodę w RFN, uznano ją za książkę roku 1988 w Szwajcarii. Dotychczas nie była oficjalnie publikowana w Polsce.

W **KIJOWIE**, przy Bibliotece im. **Dimitrija Furrmanowa**, otwarto salon literacko-muzyczny „Przyjaźń”. Zajmie się on popularyzowaniem polskiej kultury.

Inaugurujący jego działalność wieczór literacki poświęcono twórczości **Adama Mickiewicza**. Utwory wiersza recytowano w języku polskim, rosyjskim i ukraińskim.

W **BIBLIOTECE** Jagiellońskiej — w Krakowie — otwarto wystawę poświęconą tragicznej ofierze stalinizmu, wielkiemu rosyjskiemu poecie — **Osipowi Mandelsztamowi** (1891—1938).

Ekspozycja zorganizowana w 50-lecie śmierci poety, prezentuje jego dorobek pisarski oraz zadziwiającą obfitą recepcję poezji Mandelsztama w Polsce.

Część zbiorów pochodzi z prywatnego archiwum tłumacza utworów **Osipa Mandelsztama** — **Marii Leśniewskiej**, która jest również autorką koncepcji całości ekspozycji.

JULIAN KORNHAUSER otrzymał Europejską Nagrodę Poetycką, przyznaną przez jugosłowiańską jurę w Vrsacu. W maju, w przekładzie serbsko-chorwackim, ukaże się wybór wierszy laureata.

ŁÓDZCY konserwatorzy z PKZ przeprowadzili z powodzeniem niezwykle trudną operację zdjęcia osmiu kopuł z zabytkowego soboru w Leningradzie pod wezwaniem św. Antoniusza.

Kopuły po odświeżeniu otrzymają nowe złocenia z 18-karatowego złota. Prace te wykonają również łódzcy specjaliści.

ANDRZEJ Wajda przygotowuje dla teatru „Kabuki” w Tokio adaptację „Idioty” **Fiodora Dostojewskiego**.

Premiera „Nastazji” planowana jest w początkach marca br. Przedstawienie to z udziałem japońskich aktorów reżyser zamierza zarejestrować dla polskiej telewizji.

Opracował: **JAK**

OD AUTORA.

Los tak zrzucił, że byłem świadkiem znaczących wydarzeń naszej historii. Byłem pracownikiem Komsomolu, dziennikarzem. A oprócz tego, z przyczyn osobistych, miałem możliwość wiele w życiu zobaczyć i poznać. Przypała mi w udziale losy ludzi, wymierzonych ze społeczeństwa przez represje stalinowskie. Ale i w więzieniach, i obozach życie było życiem, niewyzerpanym w najróżniejsze spotkania, w krzyżowanie się z niezwykłymi losami ludzkimi. Istnieje stary mit o cyruliku frygijskiego króla Midasa. Dowiedziawszy się, że król ma ośle uszy, i męcząc się tajemnicą, o której nie można było nikomu powiedzieć, cyrulik wykopał w ziemi dołek, szepnął do niego: „Król

Midas ma ośle uszy” — i zasypał dołek. W tym miejscu wyrosła trzcina, która wyszeptwała tajemnicę całemu światu. Ale nie, nie liczyłem na trzcinę... Po prostu miałem potrzebę opowiedzieć o tym, co widziałem, bliskim i niebliskim, każdemu, kto to przeczyta. Opowiadania te są napisane w różnym czasie, niektóre — dość dawno. Tu nie ma wymyślonej fabuły, epizodów, nazwisk. Historyczna pamięć składa się z pamięci każdego człowieka z osobna. W tym sensie moje opowiadania — to niewielka część pamięci historycznej narodu. Przywrócenie prawdy — to niełatwe, ale wielkie osiągnięcie naszych czasów.

W tym opowiadaniu nie ma nic zmyślnego

Iwan Michajłowicz Moskwin — człowiek nieuległy

LEW RAZGON

Nie, nie mam zamiaru opowiadać o znakomitym artyście. Nie o tym Moskwinie, o którym pisałem książki, robiono filmy, którego twarz, przypominająca mopsa, była rozmnożona w licznych obrazach, fotografiach, karykaturach, statuetkach. Tego Moskwinę też dobrze znałem, wejście on do mojego opowiadania choćby dlatego, że przyjaźnił się z tamtym, z innym Moskwinem. I także z Iwanem Michajłowiczem, z Moskwinem, który pozostał ludzkiej i historycznej pamięci zupełnie nieznany. Wzmiankę o nim można spotkać tylko w rzadkich słownikach i książkach, w których przytacza się pełne listy tak zwanych organów kierowniczych. Bez słynnego skrótu „i in.”.

A przecież to dziwne, że Iwan Michajłowicz Moskwin tak zupełnie pogrążył się w zapomnieniu. Należał do „góry” partyjno-państwowej, elity, wiele lat był członkiem KC partii, członkiem Biura Organizacyjnego i Sekretariatu KC, kierownikiem Wydziału Polityki Kadr KC. Owego najpotężniejszego Wydziału Polityki Kadr o którym pisał ody Biezymiński. Wtedy nie było, tak jak teraz, branzowych oddziałów KC, Wydział Polityki Kadr zarządzał wszystkimi kadrami: partyjnymi, radzieckimi, naukowymi. Dzięki Wydziałowi Polityki Kadr jego kierownik został najpotężniejszym człowiekiem.

Takim uczyniła go miłość doń Stalina. Jeśli można, mówiąc o Stalinie, używać słowa „miłość”. Ludzi, jak wiadomo, cenił tylko w zależności od stopnia osobistego oddania temu samemu. I, zapewne, wydawało mu się, że zachowanie Moskwin w buntowniczym Leninogradzie było przejawem takiego oddania. W każdym razie, Stalin robił wszystko, żeby przybliżyć Moskwinę do siebie. Wzywał na polowania, zapraszał na swoje gruzińskie uczty, po przyjacielsku przyjeżdżał do niego w czasie wypoczynku na południu. Lecz trudno było znaleźć bardziej nieodpowiedniego partnera do tych zabaw niż Moskwin. Słynął on jako rygorysta i człowiek nieuległy. Jego ojciec był alkohikiem, dlatego Iwan Michajłowicz nie wypił w swym życiu ani jednego kieliszka wina czy nawet piwa. Nie wypalił ani jednego papierosa. Nie lubił „słonych” anegdot, ordynarnych słów. Nie cenił smacznego jedzenia, obojętnie odnosił się do widowisk.

I nie pragnął zmieniać swoich przyzwyczaję. Dlatego rezygnował z najdosłowniejszych zaproszeń na biesiady, z udziału w samochodowych najazdach na uzdrowiska, z nocnych czuwań przy stole Stalina. Nie, on okazał się zupełnie nieodpowiednim „towarzyszem broni” i jego upadek był już nieuchronny. Cień upadku zaznaczył się wtedy, kiedy zdarzyło się zupełnie kameralne wydarzenie, mające charakter czysto rodzinnej tragedii. Jednak każde tragedie, dotyczące Stalina, miały tendencję do przekształcania się w tragedię o znacznie szerszym zasięgu.

Takim wydarzeniem stało się

samobójstwo żony Stalina — Nadieżdy Siergiejewny Allilujewej. Była to, jak mogłem ocenić, skromna, dobra i bardzo nieszczęśliwa kobieta. Kilka razy, gdy przychodziłem na Kreml do Swierdłowych, zastawałem u Klauдії Timofiejewnej zapłakaną Allilujewę. Po jej wyjściu oprowadzała Klaudia Timofiejewna chwytając się za głowę i mówiła: „Biedna, ooh, biedna kobieta!”. Nie wypytawałem o przyczynę tej żony Stalina, ale o tym ogólnie wiedzieli wszyscy mieszkańcy tamtego małego prowincjonalnego miasteczka, jakim był Kreml do 1936 r. Jak w każdym małym miasteczku jego mieszkańcy z ożywieniem dyskutowali o wszystkich swoich prywatnych sprawach: mówili i o kochance Demiana Biednego, i o ożenku Siergieja — syna Władimirska. I oczywiście, o biednej Nadieżdzie Siergiejewnej, zmuszonej znosić charakter swojego strasznego męża. I o tym, jak on bije dzieci i Swiętę i Wasię. I o tym, jak po chamsku odnosi się do swojej łagodnej żony i o tym, że ostatnio Koba zaczął uczestniczyć w wesolych zabawach...

Istnieje kilka wersji przyczyn samobójstwa Allilujewej. Wśród nich i ta, że nie wytrzymała ona prześladowania przez Stalina starych członków partii, w tym jej przyjaciół. Myślę, że to nie było tak i to, czego się pragnęło wydawało się realnym. W kręgach bliskich partyjnego Olimpu były inne informacje o przyczynach samobójstwa żony Stalina. Zaczęto szeptać, że żelazny Koba zmógł i ma kochankę. Być może nie jednak...

Treść listu, pozostawionego przez Allilujewę była znana tam „na górze” i żywo dyskutowano o niej w kręgu rodzinnym. Nadieżda Siergiejewna pisała, że nie może patrzeć, jak wódz partii stacza się po równi pochyłej i niszczy „swoją” autorytet, który jest własnością nie tylko jego, ale i całej partii. Zdecydowała się na ostateczny krok dlatego, że nie widzi innego sposobu powstrzymania wódza partii od upadku moralnego.

Szeroko rozpowszechniła się legenda, że Allilujewę zastrzeżył sam Stalin. Jest to apokryf wyspany z pałca Stalina sam nigdy nikogo nie zabił, i z pewnością nie był po prostu zdolny tego zrobić. A to, że może powstała taka legenda, rozumiał. Kiedy Stalina i Awelę wezwano z pobudki, gdzie oddawali się swym wyrafinowanym upodobaniom, Ekunidze zaproponował spisać akt o natychmiastowej śmierci na zawołanie. Na co mądry Stalin odpowiedział: „Nie, będą mówić że to ja ją zabiłem. Wezwaj ekspertów z medycyny sądowej i spisać akt o tym, co stało się naprawdę — o samobójstwie”.

Opinia społeczna — tych, którzy stanowili podstawową warstwę przywódców leninowskiej kohorty, najstarszych bolszewików i rygorystycznych funkcjonariuszy — była strapiiona a nawet oburzona całą tą historią. Biedny Stalin musiał jeszcze liczyć się z tą kupą starych, nie rozumiejących głupców. Trzeba było im coś

podrzucić... I rzucił na piki swojego najbliższego przyjaciela. W rezultacie Ekunidze został ogólnie oskarżony o zepsucie moralne. Wyłączono go ze składu Centralnego Komitetu Wykonawczego, zdjęto ze stanowiska sekretarza tegoż komitetu i wygnano z Moskwy — wysłano do Mineralowskiej na kierownika uzdrowiska. A sam Stalin posypał głowę popiołem i udawał najgłębszą skrupułę. Rzeźbiarz wznosił na grobie Allilujewej piękny pomnik z białego marmuru, naprzeciw popiersia zmarłej ustawiono marmurową ławkę, na którą przyjeżdżał tęskni niepokieszony małżonek.

Specjalny reflektor oświetlał miłą twarz Allilujewej i jej piękną, białą, marmurową rękę, za pobliskimi nagrobkami kryła się ochrona. Cały Cmentarz Nowodziewiczy był wstępnie przeczyszczony i otoczony kordonem, nikt już nie mógł przeszkodzić Stalinowi pogrążyć się w bólu. A także w rozmyślności o tych, którzy śmieli „oburzyć się”. Myślę, że wtedy to w jego wspaniałej pamięci zaczęły rosnąć listy skazanych. Lecz wszystko to było później. A na razie śmierć i pogrzeb żony stały się dla Stalina pewną miarą stosunku do niego. Żądał on współczucia i przejawów miłości. Naturalnie nie w stosunku do Allilujewej, a do siebie. Ciało zmarłej leżało w zarządzie gospodarczym Centralnego Komitetu Wykonawczego, który zajmował obecny budynek GUM, a obok trumny przechodził potok ludzi; wartę honorową trzymali wszyscy wierni towarzysze broni. W gazetach drukowano wyrazy bezgranicznego współczucia Stalinowi.

A sam Stalin stale siedział przy trumnie i bystrymi, wszystko widzącymi swoimi żółtymi oczyma przyglądał się: kto przyszedł, kto jak się zachowywał, jaki kto ma wyraz twarzy... To była cecha jego charakteru. Nic nie wiedząc o pogrzebie Allilujewej, Borys Stucki właśnie o tym napisał w swym wierszu: „Kiedy mnie zmuszał do płaczu, zdawało mu się, że udaje płacz...”.

Iwan Michajłowicz Moskwin nie umiał dobrze udawać. Myślę, że z tej przyczyny nie jeździł się zegnął, nie stawał na warcie honorowej, nie podchodził ze zbolalą twarzą do przybitych smutkiem małżonka zmarłej. Siedział w domu. Stalin szybko odkrył, że człowiek, którego on wyniósł, zbliżył do siebie, na którego liczył, że tego człowieka nie ma wśród tego tłum „cienkoszyjnych wózków”, którzy go otaczali.

Kujbyszew, który był w przyjacielskich stosunkach z Moskwinem, zadzwonił do niego:

— Iwan! On pyta, gdzie jesteś, czy byłeś?

— Nie, nie byłem. I nie będę. Zapyta — powiedz, że chyba jestem chory.

— Iwan! Nie rób głupstw. Przyjeżdżaj natychmiast. Procesja rusza.

Moskwin nie pojechał. A

Kujbyszew widocznie był naprawdę wiernym przyjacielem. Zadzwonił z drogi.

— Iwan! On już dwa razy pytał o ciebie. Nie rób głupstw, potem tego nie naprawisz. Bierz samochód i jedź na cmentarz.

Sofia Aleksandrowna, która lepiej niż jej mąż rozumiała Stalina, i która mi o tym zdarzeniu szczegółowo opowiadała, szlochając wzięła się w Moskwę, żądając, żeby zlitował się nad nią, Oksana, żeby natychmiast jechał Moskwin nigdy nie sprzeciwiał się Sofii Aleksandrownie — tak było za mojej pamięci. Pojechał na cmentarz.

Przy otwartej trumnie stał Stalin, opuściwszy głowę lub zakrywając twarz rękami. Tak jednak, żeby widzieć, czy wszyscy tu są. Nie odwracając się zapytał:

— Jest tu Moskwin?

Iwana Michajłowicza, stojącego za tłumem wózków, Kujbyszew wypchnął do przodu. Stalin z wyciągniętą ręką poszedł na spotkanie Moskwinowi.

— Iwan! Co za nieszczęście! Iwan Michajłowicz wykonał ceremonialną kondolencyjną. Ale Stalin — jak pisał z innego powodu Zoszczenko — skrył w duszy chamswo. Na ostateczny los Moskwin ten epizod, jak sądzę, nie miał wpływu. Dlatego, że koniec Iwana Michajłowicza był dokładnie taki jak koniec tych „towarzyszy broni”, którzy szlochali przy trumnie i całą swą istotą wyrażali ogromną miłość i oddanie.

Ale odbiło się to na karierze Moskwin. Po jakimś czasie z KC przeniesiono go do Komitetu Ludowego Przemysłu Ciężkiego na naczelnika wydziału kadr przemysłu ciężkiego. Stanowisko było dość odpowiedzialne. Moskwin był zastępcą Ordżonikidze i zajmował się nie tylko całą kadrą kierowniczą przemysłu ciężkiego, ale i przygotowaniem jej — do Komitetu Ludowego Przemysłu Ciężkiego należały wtedy wszystkie uczelnie techniczne w kraju. Ale to już było nie to... Na XVII Zjeździe Iwana Michajłowicza wybrano członkiem Biura Komisji radzieckiej kontroli — w celu kontrolowania przemysłu ciężkiego. A to było już zupełnie „nie to”. Na gorze nazwisko Moskwin mignęło jeszcze raz jeden, gdy na ostatnim Kongresie Międzynarodówki Komunistycznej wybrano Moskwinę członkiem Prezydium Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki — bez podania inicjałów... Ale to był nie Iwan Michajłowicz, a zastępca przewodniczącego Państwowego Zarządu Politycznego Trilisser, którego przeniesiono do Międzynarodówki i dano popularne w kręgach partii nazwisko Moskwin.

Tłumaczyła:
BARBARA
MADANOWSKA

Dalszy ciąg „Dzieci Arbatu”

(6)

Czy przyjęcie takiej Konstytucji kryje w sobie jakieś niebezpieczeństwo? Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, gdyż władza pozostaje w rękach partii, a więc w JEGO rękach. Jest to władza realna. Należy konstytucyjnie ją uprawomocnić. Należy powiedzieć w Konstytucji, że partia komunistyczna jest wodzą i kierowniczą siłą państwa radzieckiego. Kandydatów wysuwać będzie jednak nie tylko partia, lecz także związki zawodowe, Komsomol i inne organizacje społeczne. Bada to kandydaci bloku partii komunistycznej i tych organizacji.

„Blok komunistów i bezpartyjnych” — o, tak będzie dobrze.

Wprowadzenie nowej Konstytucji będzie oczywiście wymagać wzmocnionej operatywności i czujności organów ścigania — wrogowie nie mogą ośmielić się wykorzystać Konstytucji do swoich celów, takie próby zostaną stłumione w zarodku.

Jest też rzecz oczywista, że nowy system wyborczy będzie wymagać wzmocnionej operatywności i czujności organizacji partyjnych. To nie, niech popracują w nowych warunkach, niech się ruszą. Każde wybory powinny przekształcić się w szeroko zakrojoną kampanię polityczną. Na Zachodzie wyborcy głosują na tę lub inną partię

w sekrecie incognito, włączają się do ulic — jakoby po to, żeby poznać potrzeby narodu... Stalin przestał słuchać Suli-mowa i następnych mówców, znow pogrążył się w swoich myślach.

Każda rewolucja wymaga ofiar, bez ofiar nie ma rewolucji. Cała historia ludzkości — to ofiary: ofiary wojen, klęsk żywiołowych, epidemii, głodu, nędzy, gina miliony. Ludzkość szybko zapomina o swoich stratach, gdyż wszystko i tak kończy się śmiercią — naturalną albo gwałtowną, wczesną albo późną. Śmierć jest nieunikniona, ludzie pogodzili się z jej nieuchronnością. Pamiętają tylko tych, którzy wzywali na śmierć innych — wózków, wózków, wielkich przywódców. Ludzkość pamięta Aleksandra Macedońskiego, Juliusza Cezara, Napoleona, Suworowa i Kutuzowa, Stiepana Riazina i Pugaczowa — a ktoż pamięta imiona i nazwiska ludzi, którzy zginęli przy nich, za nich, z ich woli? Nikt nie pamięta.

Nie wolno się tylko nigdy usprawiedliwiać. Umocniwszy swoją władzę, Napoleon rozstrzelał z armat setki ludzi. Kto o nich pamięta? Podczas wojen napoleońskich zginęli miliony, ich też nikt nie pamięta. A gdy jedyn raz spróbował wytłumaczyć się ze śmierci księcia d'Enghien, to tej właśnie śmier-

ANATOLIJ RYBAKOW

Trzydziesty piąty i dalsze lata Księga I. Fragmenty

burżuazyjna, u nas kampania wyborcza będzie potężną agitacją polityczną za partią, za władzą radziecką będzie manifestacją jedności partii i narodu, będzie ogólnonarodowym świętem.

Oczywiście nowa Konstytucja to dobry parawan dla zbliżającej się rewolucji kadrowej. Ale niewystarczający. Trzeba intensywniej popularyzować nasze zwycięstwa i osiągnięcia, ukazywać entuzjazm narodu. Entuzjazm ten jest rzecz jasna efektem Rewolucji Październikowej. Każda rewolucja rodzi nadzieje na lepszą przyszłość, nadzieje na lepszą przyszłość są źródłem entuzjazmu. Zadanie polega na tym, by pokazać narodowi jego entuzjazm, zaś entuzjazm narodu radzieckiego — całemu światu.

W tym celu prasa powinna dzień w dzień pisać o osiągnięciach, zresztą nie tylko prasa, ale i literatura, sztuka, teatr — wszystko to powinno służyć demonstrowaniu osiągnięć narodu radzieckiego, powinno sprzyjać rozwojowi jego entuzjazmu, jego wiary we wspólną sprawę.

Należy też pisać i o niedociągnięciach. Niedociągnięcia trzeba jednak tłumaczyć oporem wrogich elementów a wrogie elementy — likwidować.

Stalin drgnął.

Sulimow nalewał sobie wody z butelki, opuścił szklankę, szklanka brzęknęła o spodek.

Co za niezdarzy balwan! Nie może utrzymać szklanki. A przecież jest przewodniczącym Sownarkomu RSFSR, Premier, można powiedzieć... Pijany, czy co? Też od nich — z 5 Armii, towarzyszy broni Iwana Nikity-cza Smirnowa i Tuchaczewskiego, choć do opozycji nie należał.

Odgrywa prostaczka, takiego, wiecie, demokrate. Niedawno poszedł do CUM, jako zwyczajny klient obszedł cały dom towarowy, potem udał się do dyrektora, odzekał swoją kolejkę, wysłuchał wszystkie pretensje, cały czas jako zwyczajny klient (mało kto zna jego twarz), i dopiero pod koniec rozmowy powiedział kim jest. Napędził strachu całemu personelowi. Wszystko to z zachwytem opisał potem dziennikarz — znaleźli sobie, rozumiecie, nowego Harun al Raszida!

Ludzie radzieccy nie potrzebują takich przywódców, którzy

ci historia nie wybaczyla mu do dziś.

Prawdziwy władca powinien pozostawić po sobie uczyste hymny i zwycięskie marsze, a nie żałobne pienia i smutne lamenty. Naród powinien śpiewać pieśni tchnące nadzieją i optymizmem, a nie smutkiem, beznadziejnością i niewiarą, powinien śpiewać radośnie i głośno, pełna pierś — wielka epoka musi pozostać w pamięci jako wielkie święto. Na to właśnie trzeba ukierunkować twórców, poetów, kompozytorów, dramatopisarzy, pracowników teatru i filmu. Wszelki pesymizm, dekadencja, brak wiary, defetyzm jawny czy skrywany, powinny być tepione już w zarodku i bezlitośnie. Zwycięskie okrzyki powinny zagłuszać jęki pokonanych wrogów.

Dyskusja wreszcie się skończyła, każdy zadula nacił ile tylko chciał.

— No cóż — powiedział Stalin — uważam, że towarzysze wygłosili tu wiele mądrych myśli, wnieśli istotne propozycje. Sądzę, że należy teraz powołać komisję redakcyjną, która uwzględni zaprezentowane tu opinie i propozycje i włączy je do ostatecznego projektu Konstytucji. Projekt ten przedstawimy do konsultacji całemu narodowi radzieckiemu. Czy ktoś jest przeciw?

Nikt nie był przeciw. Na przewodniczącego komisji redakcyjnej wybrano towarzysza Stalina.

Spółród trzydziestu członków Komisji Konstytucyjnej zostali rozstrzelani:

— w 1937 roku — Gołodied, Jenukidze, Sulimow;
— w 1938 roku — Ajtakov, Bucharin, Jerbanow, Iktamow, Krylenko, Musabekow, Rachimbajew, Unszticht, Chodżajew;
— w 1939 roku — Akulow, Radek, Czubar;

— w 1940 roku — Bubnow, Czerwiakow i Lubczenko po-
behnili samobójstwo.

Panas Lubczenko zastrzelił najpierw swoją żonę, żeby oszczędzić jej męczarni i tortur.

Tłumaczył:
MICHAŁ B.
JAGIELLO

„Na tym kończymy druk fragmentów powieści „Trzydziesty piąty i dalsze lata”.

Szewcowa przyjęła prezent z godnością i zadowoleniem. Niebawem też wpięła go w bluzkę i wyparadowała na podwórko, żeby zagrać trochę na nerwach wszystkim tym sakramynnikom, miastowym kobotom. Rzadko rozstawała się z broszką, toteż misterny i osobliwy klejnot został zauważony — najpierw przez zdumioną Gajszę, potem przez Jacka T. i wściekłego Kukuryka, wreszcie przez zszokowanego Andrzeja W., który dostał niegdyś identyczną broszkę od swojej matki lekarki i ofiarował ją w prezencie zaręczynowym nieszczęsnej Joannie.

CZĘŚĆ PIERWSZA

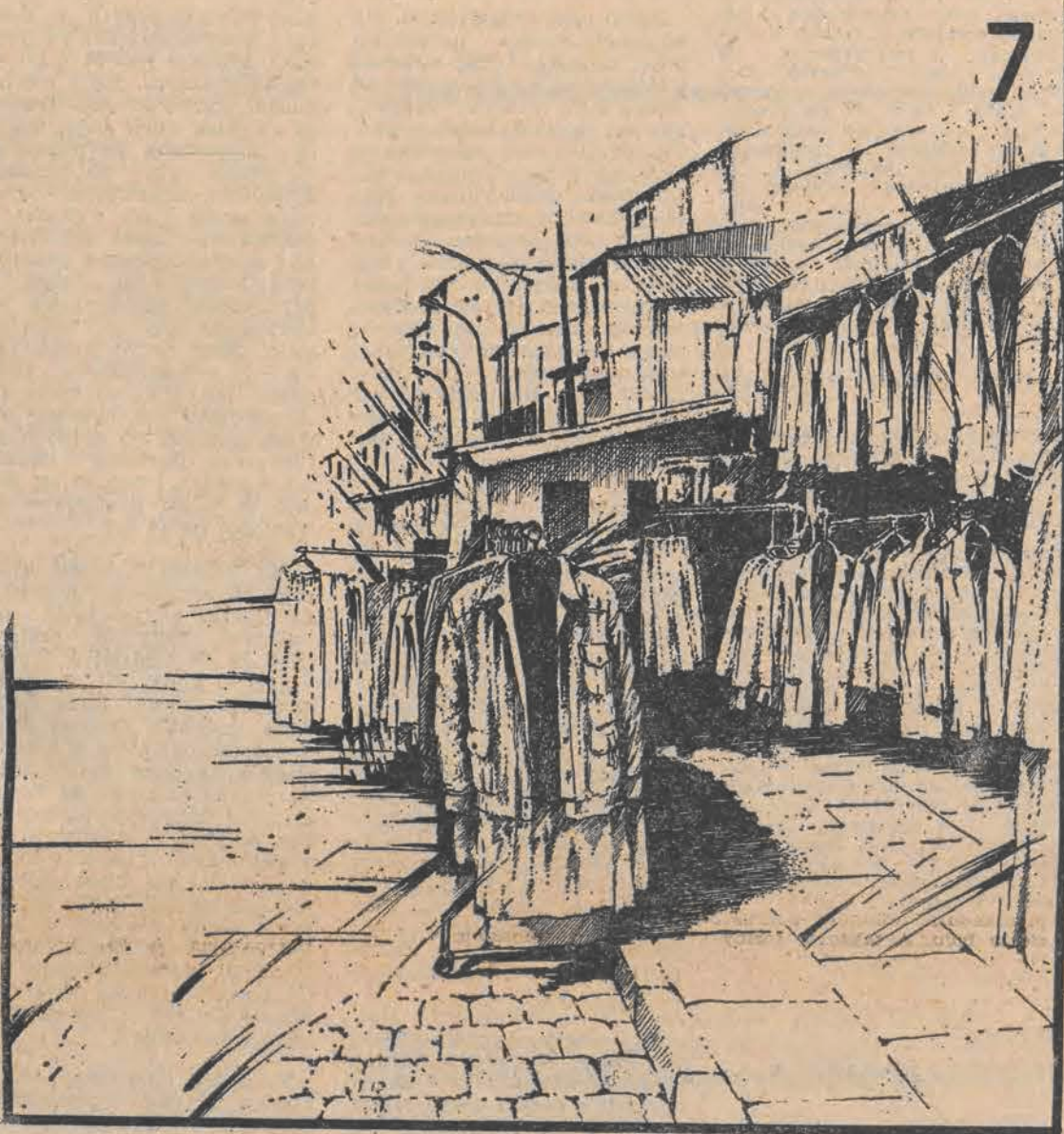
1.

Bazar, rynek i hala targowa w okolicach placu Niepodległości stanowią kompleks handlowy o niezaprzeczalnej egzotyce i wielkim znaczeniu dla miasta. Byłoby ze strony autora samobójstwem przytoczyć listę towarów, które można tu kupić, poprzestańmy zatem na mieście z prywatnego uboju, na jajach, serach, warzywach i owocach, na garderobie dla młodych, starych, zgrabnych i nietypowych, na bieliznie dla normalnych i zбочonych, na literaturze niskich i wysokich lotów, na dewocjonalach i pornografii, na medykamentach przeciwko nowotworom, hemoroidom i gruźlicy, na sprzęcie radiowo-telewizyjnym i komputerowo-magnetofonowym, na rybkach i papugach, na monetach i znaczkach, na poszukiwanych przez młodzież trankwilizatorach i oduńczaczach, na kolonialnych smakolichach przywiezionych z najodleglejszych zakątków świata przez rodzimą i zagraniczną kontrabandę, na przerwywanych i akcesoriach do onanizmu, na zabawkach świstawek i przeróżnych instrumentach muzycznych, na diablach, z których pyska wyskakuje po naciśnięciu policzków czerwony sprośny języczek, na wysmyczonych z zakładów pracy waciakach, roboczych kombinazonach i filcowych butach, na obrazach olejnych i gobelinach przedstawiających sarny w lesie i jelenie u wodopoju, na zdjęciach, litografiach i rzeźbach z obliczem Jana Pawła II, na sztucznej i prawdziwej biżuterii, na rasowych i skundliwych szczeniętach, na emblematkach samochodowych wprowadzonych nocą z prywatnych i strzeżonych parkingów, na wyposażeniu pozwalającym uprawiać wszelkie elitarne i masowe dyscypliny sportu, na przyrządach optyczno-astrofizycznych służących do obserwowania ruchu ciał niebieskich w kosmosie i ruchu ciał ludzkich w tożku, na ziarnach, kwiatkach i sadzonkach, na ziołach o czarodziejskiej mocy, na lizakach do zatrzymywania i kontrolowania pojazdów na skradzionych milicyjnych mundurach i czapkach, na butlach z gazem łzawiącym, na gumowych kinsziach, którymi marynarze okładają w tropiku niesforne i beczelne mahmudztwo, na drukowanych horoskopach dla poszczególnych znaków Zodiaku, przepowiadających temu, co je kupi, dużo szczęścia i wielką fortunę, choćby zdechłak wisiał już lewą nogą nad grobem, a na prawej miał tylko dziurawą trupię; na kalkulatorach zastępujących ociężałym handlowcom trzy pierwsze zwoje kory mózgowej, na wytrychach, łomach, kluczach i zamkach stanowiących cenną pomoc naukową dla początkujących włamywaczy, na tradycyjnych i nowoczesnych, nader skomplikowanych wędkach do polowania na karpie w trybie legalnym i kłusowniczym, na maszynach do pisania o szalonej doprawdy rozpiętości wieku niektóre bowiem, jak Continental, przetrwały cudem do dziś od początków naszego atomowego stulecia inne zaś, elektroniczne, gotowe bez udziału człowieka zrealizować standardowy spicz polityczny lub przepełniony wyrazami głębokiego współczucia depesze kondolencyjne, zdają się owo parszywe stulecie kończyć, jako i my winniśmy wreszcie skończyć te niegodną ambitego niszarza wyliczankę.

Tu wszelako należy powiedzieć, iż bogaty asortyment towarów wspomnianych przez autora tylko z grubsza i pokrótce, pozostaje w ścisłym związku z wielce rozległą panoramą typów, które spotka oszłomiony przechodzień na targowisku w rejonie placu Niepodległości. Zakole dzieł, deprecjacja zawodów nie notowany w tysiącletniej historii narodu upadek moralny i umysłowy wartości, cynizm, egoizm i bluźnierstwo doprowadziły do tego, że jednoizbowy, strachliwy w gruncie rzeczy i nieporadny parlament jest we współczesnej Polsce fałszywym tylko i zniekształconym zwierciadłem mnogich

(Andrzej Makowiecki)

PIĘC'DZIESIĄT MELONÓW



Rys. Janusz Szymański-Glanc

warstw, stanów i nastrojów społecznych, prawdziwym zaś wizerunkiem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej stało się właśnie spryskane posoką wiewiórków i śledzi targowisko, gdzie zobaczysz na każdym kroku w charakterze kupujących, no i przede wszystkim w charakterze sprzedających zacną doprawdy mieszaninę towarzysko-etniczną i fachowo-klasową: cuchnącego gnojem chłopca obok uperfumowanego inżyniera, wieśniaczkę w barwnym łowickim stroju obok damy, która pokropiła się za uchem Chanelem numer pięć albo, w najgorszym wypadku Chanelem numer osiemnaście, prowincjonalną miłośniczkę uciech seksualnych, wytesnowaną w miłosnych świadczonych za plotem remizy ochotniczej strażnicy pożarnej, obok panny z dobrego domu wystawiającej dupę w akcie radosnym i pozabawionym jakiegokolwiek wyrachowania, ekshibicjonistkę ceniącą sobie tłoczny jarmark, gdyż za węglem stragana łatwo nawiązać kontakt wzrokowy z kobietą i pokazać jej to i owo, obok tragicznie smutnego mężczyzny, dla którego świat bez kobiet nie straciłby wcale na uroku; alkoholika, który wypił na śniadanie pół litra denaturatu i zaśpiewał uszczęśliwionym barytonem arie z opery Straszny Dwór obok tyka, któremu partia i rząd wnowiły, iż najlepszym lekarstwem na katar jest zaprawione trującą wodą mleczko, zdolne wydrzeć z najsmutniejszych ust oleśń cociężną jak dżwón, analfabeta handlującego książkami obok myśliciele handlującego starzyzną; doktora filozofii, który prawdziwego sensu życia doszukiwał się dopiero w chwili, kiedy najął go do posług fizycznych targowy rekin

obok samouka, który siedzi w kiosku i serwuje ludzkości porcje soczyste kiełbasy z musztardą, zaś w przerwach przygryza sobie podstawowe wiadomości z zakresu geografii RFN. I tak dalej, kochany czytelniku. Spotkasz tu liczne szpany złośliwiej: drobnych kieszonkowców, początkujących farmazonów, urków zdańcujących do celu najprostszą drogą „porwać i uciec”; spotkasz hycia, rosomaka, potrafiącego obserwować i czekać doliniarza oraz potrafiącego obserwować i czekać rozpruwacza, którego łupem padnie o drugiej nad ranem czyjaś dobrze zaopatrzona bućka; spotkasz wydrwigrosza, oszusta, podjudzającego stręczyciela, deprawatora cnotliwych panienek, gotowych zapomnieć o przykazaniach rodziców na widok modnej sukienki; spotkasz także milicjanta i tajniaka.

— Malinowszczyk jedzie!

— Gdzie?

— Tam.

— W tym białym pudelku?

— Tak. Musi mieć dzisiaj przy sobie lekko piętąście bąbli.

— Skąd pan to wie, panie Sławeczku?

— Zapytał grubego straganiarza, który o zagłodzonych policzkach biedaka.

— Bo jest z obstawą. Jak on ma przy sobie dwa—trzy melony, to przyjeżdża sam, a jak ma więcej niż dziesięć, to bierze ze sobą szwagra, który normalnie pracuje jako strażnik w banku spółdzielczym (padła nazwa podwarszawskiej miejscowości), i jest specjalistą od konwojowania grubego szmalu. Kapujesz, Giupias?

— Kapuje, co mam nie kapować, panie Sławeczku — odparł chudzielec, który często wprawdzie oberał się mięsem, ale tylko w marzeniach sennych.

Jak każdy niedzisz przebywający na rynku wyłącznie w celach towarzyskich, jak każdy niedzisz wysługujący się ze wszystkich sił nożnym i bogatym handlarzem biegającym dla nich po papierosy, przynosząc im napoje i kanapki. Giupias nigdy nie miał dość nowinek z wielkiego świata. — I co on jeszcze robi, ten szwagier? — pociągnął. — Co on jeszcze robi, panie Sławeczku?

Straganiarz o porządnym brzuchu i czerwonych tryskających zdrowiem policzkach odburknął: — Pilnuje, żeby Malinowskie mu nie stała się krzywdą.

— Nie wygląda na atletę.

— Ale jest przy bronni.

— Przy bronni? — powtórzył zachwycony Giupias. — Mówisz pan, przy bronni? Przy rewolwerze?

— Jasne.

— I gdzie go trzyma?

— W kaburze pod pachą. Gorąco, wszyscy chodzą w samych tylko koszulkach, a on włożył kapotę. — Ogorzała twarz straganiarza przybrała nagle wyraz zadumy. Mruczał nie patrząc na Giupiasa: — Jest piątek. Jest dziesiąta rano. Tego dnia i o tej porze szwagier konwojował zawsze z banku całe wory papieru, całe wory siana, za które można by spokojnie postawić pałac z basenem w ogrodzie i z basenem w środku...

— Skąd pan to wie, panie Sławeczku?

— Co on tu dzisiaj robi? Tu musi być dzisiaj wielki interes

straganiarza. — Malinowszczyk nieraz żartował, że gdyby jego szwagier był mądry i skreślił kiedyś w lewą ulicę.

— Po ile te kurtki?

— Po dwadzieścia — odpalił

machinalnie straganiarz, nie zaszczycając nawet klienta wzrokiem.

— A jak weznę pięć?

Dopiero teraz Sławeczku zainteresował się chłopcem o bystrym, inteligentnym i śmiałym obliczu przemysłnika.

— Do Związku Radzieckiego pan jedziesz?

— A co panu za różnica, gdzie ja jadę: do Związku Radzieckiego czy do Związku Harcerstwa Polskiego? — huknął gburawo młodzieniec, który był z dziewczyną i usiłował wyrzucić na niej dodatnie wrażenie.

— Jak pięć, to po dziesięć naście.

— Po sześćnaście.

— Pan chyba zwariował?!

— Tak, zwariował pan chyba?!

— poparł Sławeczka chudzielec. — Nigdzie nie znajdziesz pan dla Ruskich lepszych i tańszych kurtki.

— Nie wtrącaj się, Giupias — osadził go straganiarz.

— Siedemnaście — rzekł stanowczo przemysłnik.

— Spływaj pan!

— Do klienta trzeba mówić grzecznie, bo w przeciwnym wypadku można mieć ciężkie kłopoty. — Chwycił dziewczynę za rękę i chciał odejść, lecz straganiarz powstrzymał go raptem.

Dawaj pan siedemnaście i pół.

Chłopak szybko odliczył pieniądze, obejrzał kurtki, po czym

kazał je zapakować. Dziewczyna była oczarowana. Wszyscy

byli zadowoleni. Cieszył się nawet Bóg wie czemu, człowieczek o sympatycznej i pocziwej buzi głodomora.

Tymczasem w sąsiednim straganie, który podobnie jak stragan Sławeczka składał się z drewnianej budy, namiotu i ekspozycji zewnętrznej, zapanował

nastroj zawiści i przygnębienia. Bernard T., trzydziestodwuletni

magister ekonomii, powiniń z racji swego zawodu i wykształcenia odnosić pośród

rynkowych konkurentów same zwycięstwa i sukcesy, powinien

niszczyć ich, druzgotać, rzucać na kolana i udawadniać

każdym swoim światłym posunięciem, że jest

lepszy niż jakiś tam niedouczony chłopek, jakiś tam buras, kartofel czy pomidor.

Wszakże rzecz się miała odwrotnie: inteligencja i wykształcenie

przegrywały w twardych jarmarcznych bojach z chamskim

bezczelnością i sprytem. Pozbawiony

godności i dumy buras górował zwykle nad panem

magistrem i nabijał się z niego za plecami. Bernard dałby głowę,

iz przyglądający mu się ukradkiem Sławeczku, który zrobił

już od rana kilka świetnych interesów, wie doskonale, że

magister nie sprzedał jeszcze nic chociaż ma na składzie

te same szlagiery, te same koszule i bluzki, te same tandetne

spodnie i spodnie.

Z głębi namiotu dobiegł go syk

żony: — A widziałeś, widziałeś!

Odwrocił się i powiedział cicho: — Stul dysk.

Wszystko grało mu tego dnia na nerwach. Czuł pod językiem

zółć. Ludzie bogaci się, budują, wyjeżdżają za granicę, pierwszy

lepszy gnojek mówi o milionach, a on co? Nic!

Spłacił dwupokojowe mieszkanie w spółdzielni i kupił

zwanego Peugeot'a, który niebawem

zamieni się w kupę złomu. Zerknął z niechęcią na

przystojnego, szpakowatego mężczyznę, brylującego w zatoczce

między dwoma rzędami straganów obok

dziwnego zaiste samochodu: białego, krótkiego, szerokiego i wysokiego z atrapa

osłonową na przednich i tylnych

światłach i z przyczepą, do której ludzie

ładowali całe stopy towaru. Malinowszczyk,

kurwa jego mać! Stał faceta, żeby

zainwestować lekką ręką w tandetę

kilkanaście baniek i wziąć do ochrony

uzbrojonego goryla. A on ledwo wiąże

koniec z końcem ledwo płaci podatek

od obrotu, ledwo radzi sobie z kaprysami

żony i nikt go nawet nie chce okraść, na

czym mógłby zrobić trochę grosza. Co

na najmniej raz w tygodniu jest

włamanie do któregoś z bud. Do

Sławeczka i do paru innych owianaków

włamywano już wielokrotnie. Kiedy

dochodziło do tych nieszczyśliwych

wypadków, pokrzywdzeni do słownie

tańczyli z radości i czym prędzej

zgłaszali sprawę w PZU. Jeśli tylko

mogli udowodnić, że okradziono

stragany były odpowiednio zabezpieczone

w krautownice, sztaby i klódki, ich

większe lub mniejsze nieszczyście

przeistaczało się automatycznie

w mniejsze lub większe szczyście.

Każdy wmałwał ekspertom PZU,

że okradziono go na dwa miliony,

ekspert zaś wmałwał każdemu, że

stracił w masie towarowej nie więcej

niż trzysta-czteryście tysięcy. Tak

czy owak, walczący dzielnie o

swoje poszkodowany dostawał około

milionu i był do orzędu.

Bernard nie był jednak do

przodu. Rabusie, włamywacze,

tupiecy i rozpruwacze stronili

od magistrowskiego stanowiska

jak od zarazy. Bernard chwilami

posadał przestępców o znowu i

żył w przekonaniu, że gdyby

nawet pozostawił swoją budę

otwartą, i tak nikt nie wyniosłby

z niej pojedynczej pary skarpetek.

Rynek szumiął, huczał, zawodził,

śpiewał, wybuchał okrzykami

radości i gniewu, szarpał się,

targował i awanturował, ale

wezbrane, rwące wśród stoisk

i straganów kłębowski nie

dostrzegało jakoś Bernarda,

lekceważyło go jakoś i pomijało.

Spokój. Mam po prostu gorszy

dzień. Mam po prostu dzisiaj

smutną i zniechęconą mordę, a

ludzie tego nie lubią. Spokój,

spokój! Oto i pierwszy klient!

Patrzył z obrzydzeniem na

skradającego się chyłkiem

pajaca. Najpierw doleciał go

przerażający, przesycony

odorem wina, papierosów i

psujących się zębów

oddech, a dopiero potem

słowa: — Kup pan.

Bernard opuścił wzrok i

zobaczył w chudych, czarnych,

skulonych szponach pajaca

zegarek. Przemógł wstręt i

wziął go w dwa palce. Pajac

strzebił okiem w lewo i w

prawo, po czym zachrypił

kuszającym, kruczym, dziwnie

jakoś współgrającym z

zakrzywionymi szponami

głosem: — Dosta, Karatowe

złoto. — Komu to zginęło?

— Nikomu. Pamiątka po

babci, szefie.

— Na pewno po babci, ale

nie twojej.

— Mojej, szlag mi w serce!

— Ile za to chcesz?

— Dychę.

— Spierdalał.

Mały, staroswiecki, cenny

niezawodnie zegarek ugrzązł

na powrót w szponach

pajaca. Ten nie odszedł

jednakże. — W

potrzebie jedzem jak

raz, daj pan osiem!

— Spierdalał, powiedziałem.

Ale już!

— Niby dlaczego?!

Niby dlaczego obrażasz

pana?!

— Zapytała

ciepło żona Bernarda. Wy

szła z namiotu, gdzie

układała i rozwieszała

konfekcje. Była

pulchna, dobiłająca

czterdziestki blondynką o

łanczywych ustach i

chytrej, zniezwawionej,

zachłannej twarzy, zdolnej

jeszcze wzbudzić

namietność w niejednym

meżczyźnie. Patrzac z

całą mocą w meżowskie

oczy, przekazywała mu

bezglownie burzę

szalejących myśli i uczuć:

na co czekasz? przecież to

jest okazja, idioto! Rusz

się do diabła, bo

zaczne wreszcie!

Bernard łagodnie spojrzał

na pajaca, mrknął: —

Odejdź na stąd natychmiast

dla własnego dobra —

po czym chwycił

żonę ponad łokciem w

kieszcze swoich

twardych morderczo

Wideonotes

FILM, TV, VIDEO

— Należy pan do nielicznej grupy reżyserów, którzy konsekwentnie realizują filmy dla dzieci. Po „Urwisach z Doliny Młynów”, „Klementynie i Klemencie” nadeszła pora „Janki”. Ten piętnastodzielny serial podobnie jak poprzednie jest koprodukcją. Kim są ostateczni producenci?

— Producent to „Poltel” i zachodniemiecka West Deutsche Rundfunk Köln, z którą nawiązałem współpracę jeszcze przy filmie „Urwisy z Doliny Młynów”. Początkowo planowano serial trzynastodzielny, ale ponieważ pierwsze spodobały się Niemcom, postanowiono go przedłużyć do 15 odcinków.

— Jakże korzystnie wynika z takiej międzynarodowej współpracy?

„Janka”

— rozmowa z reżyserem JANUSZEM LEŚKIM.

— Przede wszystkim dysponuje większymi funduszami, a także mam do dyspozycji lepsze warunki techniczne — światłowej klasy sprzęt oświetleniowy, wyższą jakość taśmy filmowej. I tu ciekawostka: Kopia filmowa dla nas wykonana jest na taśmie ORWO, zaś dla Kolonii na Codaku — szkoda, bo może i nam przydałby się ten luksus, przecież rodzaj kopii ma wpływ na odbiór filmu przez widza. Borykamy się jednak z pewnymi przeszkodami. Poza tym musimy przestrzegać terminów narzuconych nam przez niemieckiego partnera, co sama pani rozumie, że w dobre obecnych trudności gospodarczych, potwornej inflacji, ciągłych reorganizacji nie jest sprawa łatwa. Ale staramy się jak możemy najlepiej. Także wytwórnia będzie miała z tej koprodukcji wymierne efekty. „Poltel” zobowiązał się częściowo do wytworzenia negatywów i produkowania kopii filmowych. Ponadto na zakończeniu filmu sprzęt oświetleniowy, fotograficzny i zdjęciowy otrzymamy przez nas w ramach koprodukcji wzbogaci na trwałe wytwórniane zasoby, co także wydaje mi się sprawą nie bez znaczenia.

— Obecnie praca nad filmem jest szczególnie pilniejsza, czy są ku temu jakieś wyraźne powody?

— Tak, ponieważ zbliżamy się do finału zgodnie z oczekiwanym terminem. Ponieważ strona niemiecka zapowiedziała w połowie lutego „publicy” dla dziennikarzy zagranicznych, więc tym bardziej staramy się być jak najlepiej przygotowani do ich wizyty, aby mogli w pełnym zakresie zapoznać się z efektami naszej pracy. Przecież ich zadaniem będzie roz-

reklamowanie filmu, ułatwiające w perspektywie jego sprzedaż w świecie. Gospodarność niemiecka jest imponująca — pewnie dlatego nie skarżą się na brak pieniędzy, służących kolejnym realizacjom filmowym.

— Wybrał pan publiczność dziecięcą, co jest w niej takiego frapującego, że woli pan dla niej realizować filmy?

— Czasami trudno jest uzasadnić rzeczy oczywiste. Lubię dzieci i rozumie ich problemy, choć nie sądzę, że mógłbym zostać dobrym pedagogiem. Mam jednak świadomość, jak bardzo dziecięcina potrzebuje dobrej rozrywki i poważnego traktowania. To są chyba najwznieśli i najbardziej wymagający widzowie, którzy jednocześnie odczuwają wielki niedosyt,

choćby w dziedzinie filmów im proponowanych.

— Współpraca z dziećmi wymagała wiele dodatkowych problemów. Dzieci obciążone obowiązkiem szkolnym mogą tylko w wolnych od nauki dniach pracować w filmie.

— Ponieważ jest tak jak pani mówi, dlatego obowiązuje mnie szczególna samodyscyplina i odpowiedzialność za trwoniący czas. Staramy się, żeby zarówno dzieci, jak i postychniorych organizmów w czasie wakacji letnich bądź zimowych. Nie zawsze to się udaje, więc niestety w sporadycznych przypadkach korzystamy ze zwolnień ze szkoły. Jednak wtedy bardzo mi zależy na tym, aby dzieci miały stworzone możliwości normalnych warunków, żeby normalnie mogły się uczyć. Nie chciałem komasować zdjęć w pół roku, bo wydaje mi się, że byłoby to zadanie ponad siły dziecka, które w końcu musi się prawidłowo rozwijać i dojrzewać emocjonalnie. Z tych powodów starałem się, aby w serialu sily zostały proporcjonalnie rozłożone. To oczywiście podjęto realizację filmu, ale było korzystne dla zdrowia moich dziecięcych aktorów. Ponadto trochę dłuższy cykl produkcyjny sprawił, że jesteśmy świadkami procesu dojrzewania tych dzieci na planie filmowym i to dojrzwienie jest zarejestrowane na taśmie.

— Wakiacynę planerzy filmowe mają dodatkowe zalety: rodzice nie przebywają na planie. Bywa, że w dobrej wierze sugerują swoim dzieciom jak powinny grać, burzą tym samym koncepcję reżyserską. Trudno po takich uwagach przywrócić dziecko do stanu skupienia koniecznego dla wywołania określonej reakcji. Niestety na okres realizacji rodziców muszą zastąpić wychowawcy. Łatwiej jest im utrzymać dzieci w pewnym re-

żymie. Film to nie tylko ciekawa przygoda, ale przede wszystkim bardzo ciężka praca.

— Jakiego rodzaju opowieści chce pan zdobyć dziełką publiczność?

— „Janka” jest typowym filmem przygodowym, utrzymanym w stylu retro, dalekim od naturalnego dydaktyzmu. Czternastoletni widza, a do takiego film jest adresowany, potrzebuje trochę innych wzruszeń, domaga się wprowadzenia bohaterów, z którymi sam mógłby się identyfikować, przyglądać się różnicom w postawom moralnym z ostrym przeciwstawieniem dobra i zła, oczekuje klarownie poprowadzonych wątków i przede wszystkim atrakcyjnej widowiskowości. Cofnięcie w czasie, pewna stylizacja, bowiem akcja filmu toczy się w dwudziestowiecznym, zwiększa tylko walor rozrywkowy, a przecież moja specjalnością jest właśnie rozrywka. „Janka” jest opowieścią o zwalczających się dwóch „bandach dziecięcych”: „Orłów” i „Wilków”, którymi dowodzi Janka i Julek. W te rywalizujące grono rówieśniczych odbija się problemy i prawdziwe konflikty ludzi dorosłych. A to wszystko okraszane przygodą, tajemnicą i nawet magią... W osiągnięciu jak najsilniejszego efektu pomagają mi moi stali współpracownicy: Jacek Pruski, niezwykle wrażliwy operator, Mirosław Galiński, bardzo dobra montażystka, Adam Iwiński — moja prawa ręka i inni.

— Komu powierzył pan główne role?

— Tytułową Janke gra Agnieszka Kruk, Julka — Tadeusz Sienkiewicz-Horvath, obydwójce już grał w „Urwisach” i „Klementynie”, są bardzo utalentowani. Wśród „Orłów” i „Wilków” także rozpoznajemy znajome twarze z poprzednich seriali. Współpracowałem już z tymi dziećmi, mam do nich zaufanie i obcowski stosunek. Wiem czego mogę po nich oczekiwać. Role matki Janki objęła Joanna Zalkowska, Bromskiego, siostry Julki — Grzegorz Wons, dziadka Nowaka — Krzysztof Kowalewski. Obsada jest liczna i składająca się z wyjątkowo dobrych aktorów, a epiki seriali daje szansę popisu aktorów w wielu epizodach. Zagrało w tym filmie wielu eiszachych się uznaniem aktorów m. innymi: Ryszarda Hanin, Zofia Merle, Wiesław Drzewieć, Marek Wałęzowski, Roman Kłosowski, Bogusław Sochnacki i inni.

— Dziękuję za rozmowę.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

„KOSMICZNE JAJA”, które dziś proponujemy do film. prod. amerykańskiej w reżyserii Mela Brooksa. Obiektom drwiny stały się tu filmy science-fiction, jednakże ta parodia poziomem realizacją nie odstępuje swoim znakomitym pierwowzorem. Gdyby nie cytelnie cytaty, można by film potraktować za typowego przedstawiciela ośmieszającego gatunku. Oglądamy w nim przedziwne pojazdy kosmiczne, podróż w czasie pozwala poznać wydarzenia przyszłości, a fabuła wyraźnie przypomina klasyczną bajkę. Jest więc i piękna księżniczka porwana przez złych i głupich mieszkańców innej planety, jest i szlachetny dzielny młodzieniec...

W rolach głównych: Mel Brooks, John Cendy, Rick Moranis i in.

A może do kina?



WESTA!
UBEZPIECZA — ZAWSZE TANIEJ!

P R O P O N U J E M Y

naszym Klientom,
ubezpieczenie mieszkania od kradzieży z włamaniem, rabunku, ognia, zalania i innych zdarzeń losowych,
PO CENACH KONKURENCYJNYCH

względem innych zakładów ubezpieczeniowych.

Wartość mienia	Składka w Weście
500 000 zł	2.500 zł
1 000 000	5.000
2 000 000	10.000
5 000 000	25.000
10 000 000	50.000
20 000 000	100.000

Zapewnimy dalsze obniżanie składek z tytułu ciągłego wieloletniego i bezskądowego ubezpieczenia.

Informacje i zawieranie umów u pośredników i przedstawicieli „Westy”.

ŁÓDŹ, ul. NOWOTKI 8, tel. 32-56-61.

626 K



Masz temat dla reportera?

Coś ci drażni, niepokoi.

sztąg cię trafia — podajesz

stachawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

9 lutego — BOGDA MADEJ — godzina 10—15.

16 lutego — RYSZARD BINKOWSKI — godzina 10—15.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO
2 LUTEGO 1989 ROKU

Dzieci pana Zbigniewa O. nie wyjechały nigdzie na zimowe ferie, chciałyby więc ciekawie i atrakcyjnie spędzić wolny od nauki czas w Łodzi. Niestety, nie jest to wcale takie proste. Oto bowiem na przykład w najbliższym od ich miejsca zamieszkania domu kultury przy ulicy Zawiszy możliwość taka istnieje jedynie przez cztery godziny dziennie (dwie rano, dwie po południu), zaś liczba chętnych daleko przewyższa możliwości lokalowe, toteż personel domu do pracowni plastycznej wypuszcza zaledwie po około 25-30 dzieci. Dla reszty nie ma już ani miejsca, ani — danego dnia — innych propozycji. Pozostaje ulica?

31 stycznia o godzinie 8.45 pan Jerzy P. jechał tramwajem linii „29” w stronę Polesia. To znaczy, tak mu się wydawało, gdyż zupełnie niespodziewanie z ulicy Promińskiej tramwaj skręcił w Narutowicza w... prawo. Okazało się, że jedzie do zajezdni na Stokach. Żadnej informacji o tym jednak nie było więc pasażerowie musieli wysiąść przy Matejki i tam „złapać” inny tramwaj. Na pytanie, dlaczego nie ma tabliczki o zjeździe do zajezdni, młody motorniczy nie potrafił jasno i grzecznie odpowiedzieć. Pan Jerzy P. podkreśla, że zdarzyło mu się to już nie pierwszy raz. Niby — drobiazg, a przecież cierpi reputacja całego MPK, w którym pracują też sumienni motorniczowie.

Za naszym pośrednictwem pan Marek H. pragnie wyrazić słowa uznania dla PKP za to, iż otaczają swoich pracowników wielką troską. Przejawia się to między innymi w ten sposób, że jeśli ktoś chce przesłać pocztą bagaż powyżej 50 kg, najpierw musi uzyskać na to zgodę naczelnika stacji, potem — wykupić w kasie tzw. kwit przewozowy, po czym — załadować osobiste bagaże do wagonu i wyładować go na docelowej stacji. Innej możliwości nie ma — powiadomiono Marka H., który chciał akurat przewieźć pralkę automatyczną i chętnie zapłaciłby parę złotych więcej, byle tylko nie nosić jej po peronach i nie towarzyszyć w podróży.

Pani Jadwiga J. i — jak zapewniła — nie ona jedna, nie jest zadowolona z działalności

placówek handlowych na osiedlu Chojny-Komorniki. Po pierwsze, sklepów jest za mało — tak spożywczych, jak i z artykułami przemysłowymi. Trudno na przykład kupić buty, tkaniny... Przydałaby się piekarnia. Po drugie, wiele do życzenia pozostawia zaopatrzenie — znacznie gorsze niż choćby w śródmieściu. Często też sklepy są z różnych powodów pozamykane. Wszystko to sprawia, iż najwygodniej zakupy robić w... Uniwersalu przy pl. Niepodległości. Wiele ludzi jeżdżą, chociaż się w tramwajach, tracąc cenny czas. I to, co udało się „zaoszczędzić” na budowie nowych placówek handlowych na Chojnach, wychodzi bokiem gdzie indziej. I trudno się dziwić, bo — jak wiadomo — zawsze jest coś za coś!

Pan Andrzej P. chciał wyjechać na wczasy do Bułgarii i nie byłoby w tym może nic dziwnego, gdyby nie fakt, że musi za nie zapłacić o 5 proc. więcej w Łodzi niż w innych miastach. Powód? Rada Narodowa uchwaliła dodatek turystyczny do cen usług w naszym mieście. Logiczne, że obejmuje on przyjeżdżających do Łodzi, ale — że także wyjeżdżających? Pan Andrzej P. dowiedział się między innymi w „Sports-Touriscie”, iż łódzkie biura podróży wyraziły protest wobec takiego stanu rzeczy, ale póki co muszą trzymać się decyzji. Jak tak dalej pójdzie, łodzianie będą kupować sobie wczasy w Warszawie, czy w innych miastach, gdzie taniej!

Na skutek interwencji mieszkańców, 1 lutego pracownicy Łódzkiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego przystąpili wreszcie do obcinania suchych gałęzi na starych drzewach przy ulicy Prusa. I bardzo dobrze, gdyż podczas silniejszych wiatrów stanowią one poważne zagrożenie dla przechodniów. Trudno jednak zrozumieć, dlaczego LPO zajęło się tylko częścią drzew. Pani Józefo P., która zatelefonowała do nas w tej sprawie, wyjaśniła, iż LPO ma obowiązek prowadzić zabiegi pielęgnacyjne na terenie administrowanym przez Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej, ale nie — spółdzielni mieszkaniowych. Ze zaś przy ulicy Prusa stoją też bloki spółdzielni „Lokator”, obok nich nie zrobiono już nic. „Odgłosów”

wyjaśnienie to jednak nie satysfakcjonuje. Czekamy na dalsze!

Mieszkanka Rełkini, pani Halina T. pyta za naszym pośrednictwem: 1) Dlaczego w przychodni lekarskiej przy ulicy Maratońskiej nie przyjmuje się dzieci, z którymi trzeba jeździć aż na Andrzeja Struga? 2) Dlaczego w pobliżu krańcówki autobusowej przy tej samej ulicy nie można kupić biletów (jeden kiosk, jaki się tam znajduje, często bywa zamknięty)? 3) Dlaczego nauczyciele w Szkole Podstawowej nr 19 na lekcjach jedzą kanapki i piją herbatę, a dzieciom tego nie wolno? Nawiasem mówiąc — twierdzi Halina T. — poziom nauczania języka polskiego w tej szkole jest tak wysoki, iż sama musi uczyć w domu ortografii, bo inaczej dziecko nadal pisałoby: „poządek”, „rossadek” i „otpowiedzialność”.

Z kolei pani Maria R. zwraca uwagę na fatalny stan techniczny kamienicy przy ulicy Piotrkowskiej 269, a także innych prywatnych budynków wielorodzinnych. Odpadają tynki, klatki schodowe są brudne, pękają ściany... Maria R. nie miałaby nic przeciwko podniesieniu czynszu nawet, o sto procent, byleby tylko mogła mieszkać w lepszych warunkach. Rzecz w tym, że jej propozycja nie interesuje ani właściciela domu, ani Zrzeszenia Właścicieli i Zarządów Domów. W tej sytuacji pani Maria R. potęguje zapewne grono oczekujących na mieszkania w nowym budownictwie, zaś władze miasta w dalszym ciągu będą narzekać, że tylu młodych pcha się do bloków, mimo że mogliby równie dobrze zamieszkać w starym budownictwie.

I na koniec pozwolę sobie przedstawić głos pana Tadeusza K., bardzo oburzonego śmiałyymi scenami erotycznymi w serialu „Biała wyżyłowa”, które jak powiedział — ogląda też młodzież. Sceny istotnie były śmiałe, ale... Telewizor zawsze przecież można wyłączyć. Poza tym, mnie przynajmniej, o wiele bardziej oburza to, że pokazuje się dużo częściści sceny brutalne (bicie, torturowanie, morderstwa, itp.) i ani nie uprzedza się widzów, iż film dozwolony jest wyłącznie dla dorosłych, ani też nikt z naszych Czytelników przeciwko temu specjalnie nie protestuje.

Jak zwykle, innymi sprawami poruszonymi w rozmowach telefonicznych podczas dyżuru reportera zajmijmy się w osobnych publikacjach.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Dyrektor ALFRED KUSIAK, w odpowiedzi na zarzuty pracowników, wyjaśnia swoją decyzję rozwiązania Oddziału PUPiK „Ruch” Łódź-Śródmieście.

Zdaje sobie sprawę, że nie jest to popularna decyzja. Takie decyzje nigdy nie są popularne. Chodzi mi jednak o likwidację nadmiernie rozbudowanej biurokracji. Dziś na jednego pracownika biura przypada dwa kioski, czyli kioskier musi zarobić na sobie i na pół pensji urzędnika. Chcę, żeby ta relacja wynosiła 4:1.

Po drugie: to nie prawda, że 150 osób zostanie zwolnionych. W dyrekcji i w pozostałych dwóch oddziałach mam sporo wakatów. Tam przejdzie część pracowników. Powiedziałem zresztą, że nikogo nie zwolnię, jeżeli zechcą pracować w kioskach. Wie pan, jaka była reakcja sali? Śmiech! To zupełnie niebawale, nigdy bym się takiej reakcji nie spodziewał. Tak są przywiązani do swoich biur.

Nie likwiduję całego oddziału, tylko biurokrację. Zyska na tym kolportaż, który, zyskując większą przestrzeń „do życia” usprawni swoją pracę. Poza tym, w miejscu dzisiejszego oddziału Śródmieście powstanie w ciągu trzech lat centrum komputerowe. Takie są wymagania naszych czasów. Jak to usprawni funkcjonowanie przedsiębiorstwa, nie muszą nikogo zapewniać.

Dlaczego jeszcze właśnie ten oddział? Nie ma tu magazynów, a na rozbudowę obiektu w cen-

trum miasta zgody nikt mi nie wyda. W pozostałych oddziałach są magazyny, niezbędne wręcz dla funkcjonowania placówek, są również możliwości rozbudowy i modernizacji budynków położonych z dala od centrum.

Pada argument, że rozwiązuje oddział, który przynosi największe zyski. Jest to prawda, ale w zagęszczonym śródmieściu nie może być inaczej. W Podgibicach też ludzie dobrze pracują, lecz zysk osiągany tam będzie z przyczyn oczywistych mniejszy. Jeśli rozwiąże oddział śródmiejski, to zysk mi się zwiększy, choćby dlatego, że zaoszczędzę olbrzymie sumy na wypłaty i utrzymanie takiej liczby ludzi. Tę samą złotówkę będę dzielił pomiędzy mniejszą załogę, wzrosną płace. Takie są twarda prawa rynku, gry ekonomiczne. Biorąc 2 mld zł kredytu bankowego na roczną działalność przedsiębiorstwa, muszę oddać 3 mld. Trzeba więc szukać miejsc, gdzie da się oszczędzać.

To jest dopiero pierwszy krok w kierunku modernizacji firmy. Będą kolejne likwidacje zbędnych, jak się okazuje, ogniw w łańcuchu działów i komórek „Ruchu”. Jeśli ma być reforma gospodarcza, to trzeba ją robić, a nie tylko gładzić o niej do uspienia. Mnie byłoby wygodnie siedzieć tu, wszystko funkcjonuje prawidłowo, i rozdawać pochwały i nagany. Ale przecież nie o to chodzi...

Notował:
MAREK KOPROWSKI

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie” publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu. Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

„KARA ZA PRZEDSIĘBIORCZOŚĆ”

Po zapoznaniu się ze sprostowaniem Mariusza Młynarskiego do mojego artykułu pt. „Kara za przedsiębiorczość” („Odgłosy” nr 2 z 1989 r.) pozwalam sobie na kilka uwag w odpowiedzi.

Autor sprostowania, jak to często w podobnych przypadkach bywa, skupia się na sprawach drugorzędnych, wytykając mi błędy, które mają rzekomo podważać naczelną przesłankę artykułu. Zamiast jednak podważać, podsuwają mi tylko kolejne argumenty na obronę mojej tezy.

Istotnie, przyznaję się do dwóch popełnionych błędów.

Po pierwsze, Maria Krysińska-Galant rzeczywiście ukończyła studia polonistyczne 20, a nie 12 lat temu. Na tę pomyłkę ona sama zwróciła mi uwagę. Co to ma jednak do istoty konfliktu w ZETO?

Po drugie, prawdą jest, że dyrektor naczelny ZETO nie był przyzwany na świadka. Był natomiast zwykły w charakterze przedstawiciela strony pozwanej. Za ewidentny błąd dyrektora Mariana Polskiego przepraszam.

Odpowiem teraz na kolejne zarzuty dyrektora M. Młynarskiego.

Pisze on, iż „nieprawdą jest, że w dniu powrotu z urlopu, 12 sierpnia 1988 r. Maria Krysińska-Galant otrzymała wypowiedzenie”. Wszystko się zgadza. Proszę uważnie przeczytać mój tekst. Nigdzie tam nie pisze o wypowiedzeniu z datą 12 sierpnia.

Podaje również, że 19 sierpnia 1988 r. wystąpił „do Zarządu Związku Zawodowego Pracowników ZETO w Łodzi, informując o zamiarze rozwiązania umowy o pracę”. Jeśli się powiedziało A, trzeba powiedzieć B. Dlaczego nie ujawnia publicznie, że opinia związku zawodowego była wobec tego zamiaru zdecydowanie negatywna?

Twierdzi on dalej, że nigdy nie było pisemnej umowy pomiędzy ZETO a „Siódmką”. Zgadza się, umowy w ścisłym sensie tego słowa nie było. Istniała za to — na papierze, a jakże — jego zgoda, traktowana przez pracowników jako zastępcza umowa, skoro właściwej nie było. Oto tekst wzmiankowanego dokumentu:

„MSP „Siódmka” do dyrektora ZETO. MSP zwraca się z prośbą o umożliwienie korzystania z pomieszczeń i maszyn Zakładu Małej Poligrafii ZETO — Łódź. Jesteśmy spółdzielnią związaną z ruchem studenckim. Specyfika tego środowiska wymaga wykonywania na jego rzecz dużej ilości druków reklamowych i akcydensowych w dość pilnych terminach. Wykonywanie usług odbywałoby się po godzinach pracy Zakładu Małej Poligrafii, pracę zaś podejmowałby pracownicy produkcyjni i nadzoru ZMP ZETO-Łódź na umowę-zlecenie z MSP „Siódmka”. Posiadamy własny papier i własne środki do druku. Za użytkowanie lokalu i amortyzację maszyn wnosiłobyśmy zryczałtowane opłaty miesięczne.”

Na dokumencie powyższym widnieje podpis dyrektora M. Młynarskiego, wraz z adnotacją: „Wyrażam zgodę, pod warunkiem zapewnienia stałego nadzoru przez PW”.

Dyrektor M. Młynarski ubolewa dalej: „Poniekąd szkoda, że takiej pisemnej umowy nie było”. Dla kogo szkoda? Dla dyrektora, który — jeśli wierzyć jego wersji — zaniedbał do tego stopnia nadzór nad podległym sobie działem, iż jego pracownicy bez przeszkód zostawali po godzinach, on zaś nie o tym nie wiedział? Czy może raczej szkoda dla Marii Krysińskiej-Galant, która zapłaciła za to utratą stanowiska? Swoją drogą, jak to możliwe, by doprowadzić do współpracy z innym zakładem, nie troszcząc się nawet o podpisanie formalnej umowy? Jakże w tej sytuacji można mieć pretensje, iż współpracę ta nie była dla ZETO korzystna! Czyż to jest w takim razie wina, jeśli nie dyrekcji ZETO?

Dyrektor M. Młynarski przyznaje, że naczelnym zarzutem pod adresem M. Krysińskiej-Galant „było i jest to, iż przekroczyła swoje kompetencje, organizując bez powiadomienia dyrekcji pracę na rzecz innego środowiska”. Jeśli „odcedzimy” ten zarzut, do jego istotnej treści, pozostanie tylko „organizowanie bez powiadomienia”. Dyrektor nigdzie przecież nie pisze, jakoby ZETO poniosło straty. Owszem, wspomina o tym, że „nie było wcale łatwo zmobilizować „Siódmkę” do zapłacenia”. Ale w końcu ją zmobilizowano, i pieniądze ZETO jednak otrzymało! Nigdzie też dyrektor nie wspomina, iżby — wskutek rzekomo nielegalnej współpracy z „Siódmką” — dział poligrafii zaniedbywał swoje obowiązki. Przeciwnie, zaznacza on, że „wysoka wydajność działu poligrafii jest obecnie faktem”.

O co więc chodził, skoro ani plany działu nie były zagrożone, ani ZETO nie poniosło żadnych strat? Chodzi tylko i wyłącznie o brak powiadomienia! Ale przecież M. Krysińska i zdecydowana większość jej działu twierdziła na rozprawie, że to powiadomienie było! Na cytowanym powyżej dokumencie, oprócz pierwotnej (z kwietnia 1988 r.) zgody dyrektora M. Młynarskiego, widnieje również adnotacja M. Krysińskiej, sporządzona zaraz po spotkaniu dyrektora z działem poligrafii. Adnotacja, z datą 23.06.1987 r., brzmi jak następuje:

„Prolongowanie zgody. Ustna zgoda dyrektora Młynarskiego wykonywania prac na umowę-zlecenie dla „Siódmki”. Odpowiedź dyrektora na pismo pracowników PW. Warunek — wykonywanie planu i wysokiej sprzedaży. Nadzór — kierownik PW lub jego zastępca”.

Taka adnotacja istnieje, a jeśli M. Młynarski nie wierzy, służę odbitką kserograficzną!

Może jednak dyrektor M. Młynarski odpowie, że również adnotacja została sfałszowana? Pisze on przecież o pracowniku, który „przed Sądem składał fałszywe zeznania”. Wspomina także, że prywatne zlecenia na rzecz „Siódmki” wykonywane były również w godzinach pracy, „co wykazała rozprawa”. Używa wreszcie sformułowania: „Wystarczająco udowodnił mi to przed Sądem”.

Są to wszystko sformułowania kuriozalne, wręcz kompromitujące. Dyrektor M. Młynarski zdaje się zapominać, iż rozprawa w Sądzie Pracy zakończona została ugodą. Skoro tak, to w Sądzie niczego ostatecznie nie udowodniono, ani nie wykazano, w tym również nie wykazano, jakoby jedna z pracownic „złożyła fałszywe zeznania”.

Dodawszy do tego dyktorski zwrot „drobne kłamstwa” pod moim adresem, zmuszony jestem wytknąć sobie jeszcze jeden, poważny błąd w artykule. Napisałem tam (mając na myśli dyrektora i jego kierowniczkę), że „oboje są ludźmi wysokiej kultury”. Prostując, zaprzeczam obecnie temu twierdzeniu, w części dotyczącej dyrektora Mariusza Młynarskiego.

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

AWERCZENKO CZY AWIERCZENKO?

Eugeniusz Iwanicki w swej recenzji z tomiku „Pies łańcuchowy” Arkadija Awerczenki („Odgłosy”, nr 5, 1989) odwołuje się do językoznawców, aby wypowiedzieli się, jak należy pisać nazwisko autora: Awerczenko czy Awierczenko? Mimo to z góry przesądza sprawę i doraźnie zmienia Awerczenkę na Awierczenkę.

I ja byłbym za tym drugim fonetycznym wariantem, ale tu

działa nie sucha logika, lecz nawyk. O czym tak cennie pisał kiedyś Boy, że używamy formy George Sand, ale zarazem Jerry Waszyngton (cytuje z pamięci, przykłady może były inne). Tak samo Smoktunowski nigdy u nas nie był Innocentym, ani Rieplem — Eliaszem, natomiast Gogol jest zawsze Mikołajem, caryca Katarzyna, że nie wspomnę o Józefie Stalanie.

Od 70 lat klasyki satyry rosyjskiej znany jest u nas z publikacji w prasie i wydań książkowych jako Awerczenko i tak to się zakodowało w naszej pamięci. A zatem niech rzeczywiście wypowiadają się autorytety...

A za recenzję pięknie dziękuję!

ADAM OCHOCKI

P.S. Awerczenko nie był na indeksie w ZSRR do czasów pierestrojki. Już w r. 1964 nakładem wydawnictwa „Chudożestwiennaja Litieratura” w Moskwie wyszedł jego tomik pt. „Jumoristiceskije rasskazy” (Opowiadania humorystyczne). Z 38 zamieszczonych tam utworów przełożyłem i włączyłem do książki siedem, resztę, dwadzieścia trzy humoreski — z unikalnych zbiorów, które mi swego czasu udostępnił redaktor Pantalejmon Juriew, o czym wspominam we wstępie do „Psa łańcuchowego”.

A.O.

CO TO JEST „BAZA”?

Do słownictwa polskiego przedostało się wyrażenie „baza partyjna” i zrobiło już niemałą karierę. Określa się tym mianem ogół członków partii czy ogół podstawowych organizacji partyjnych.

Określenie „baza” — jak wiadomo — najwcześniej używane było przez starożytnych Greków i oznaczało w owych czasach dolną część kolumny lub filara, na którym wspierał się zwykle monumentalny trzon i belkowanie. Była to więc część struktury architektonicznej, choć ważna, nie najważniejsza jednak, gdyż o pięknie porządku architektonicznego decydowały pozostałe jego elementy. Baza w całej konstrukcji spełniała jedynie rolę elementu technicznego, stanowiła podstawę niczym nie przemawiającą do widza: była jedynie nieruchomą bryłą kamienia.

Używane obecnie dość często określenie „baza partyjna”, które ma oznaczać ogół partii i ogół podstawowych organizacji partyjnych, nasuwa skojarzenie z materia, wprawdzie ważną, bo stanowiącą podstawę całej struktury ale nieruchomą, bezwonną. Jedynie pozytywne wydaje się tu skojarzenie jak gdyby z uśpioną w materii mocą dźwigającą na sobie ciężar całej struktury.

Z partią nie jest jednak tak, jak ze strukturą architektoniczną, dla której baza jest jedynie martwym punktem oparcia. Ogół członków partii, czy ogół podstawowych organizacji partyjnych — bo tak należałoby raczej mówić — jest ciągle ruchliwym, dynamicznym i nie pozbawionym konfliktów zbiorem istot żywych, uwikłanych ponadto poza partią w sieć różnych związków, ograniczeń i zobowiązań społecznych. Jest to więc „baza” ciągle falująca, rozdragnana, poddająca się także inspiracjom zewnętrznym. Oczywiście bywają okresy, kiedy partia nie przejawia żywej aktywności w swych formalnych strukturach, ale członkowie partii nie znajdują możliwości wyrażenia swych poglądów w ramach podstawowych organizacji partyjnych przenoszą ich rozważanie poza szeregi partyjne.

Problem polega na tym, aby unikać w rozmowach z członkami partii wtrętów żargonowych, a zwłaszcza określeń wieloznacznych. Język polski jest dostatecznie zasobny w słownictwo i nie potrzebuje żadnych trywialnych uzupełnień. Myślę, że warto na to zwrócić uwagę, chociażby ze względu na niedawno odbyty w Krakowie kongres poświęcony mowie polskiej.

RYSZARD CELLER

JAK „PRZYGOTOWAŁEM” ZAMACH NA KONSTANTEGO ROKOSSOWSKIEGO

Pod wpływem coraz bardziej nasilających się w latach 50. szklan i represji wobec oficerów WP i innych osób, a które i mnie dosięgły, jesienią 1950 r. relegowano mnie z WSP w Gdańsku za moje przekonania polityczne, a następnie pod naciskiem ZU ZMP też uczelnia zwolniono mnie w kwietniu 1951 r. z pracy pedagogicznej. W maju 1951 roku, pełen determinacji, zacząłem tworzyć konspiracyjną grupę terrorystyczno-dywersyjną pod nazwą „Niepodległość lub Śmierć”, której głównym celem była walka z systemem stalinowskim.

Jednym z jej zadań była Akcja „Belweder”, polegająca na likwidacji wyższych funkcjonariuszy partyjnych i rządowych. Ofiarami tej akcji mieli być K. Rokossowski, B. Bierut, S. Radkiewicz i inni, jako osoby najbardziej odpowiedzialne za terror w kraju.

W Warszawie rozpocząłem tworzenie komórki informacyjnej N.I.S. której zadaniem było inwigilowanie dygnitarzy najwyższego szczebla. W połowie 1951 roku zasadniczo zakończony został werbunek do utworzonego ugrupowania terrorystycznego. Ale sprawa zamachów zaczęła nabierać realnych kształtów, gdy jesienią tegoż roku otrzymałem wezwanie do wojska, co odpowiadało moim terrorystycznym zamiarom. Sądziłem, że w czasie dyktacji lub inspekcji mojej jednostki uda mi się dokonać przy pomocy p.m. zamachu na Bolesława Bierut lub Konstantego Rokossowskiego.

W trakcie przygotowań do wyjazdu do jednostki wojskowej zostałem niespodziewanie aresztowany przez WUBP w Lublinie, na podstawie oskarżenia J.S. (w latach 1980/81 aktywnego członka „Solidarności”) a następnie przywódcę strajku 13.12.1981 w „Azotach” — Puław, któremu nie udało się nawiązać kontaktu z członkami mojej organizacji. Podesza rewizji znalaziono instrukcję organizacji, w której wymienione były: cel i zadania konspiracyjnego ugrupowania. Co wywołało wśród funkcjonariuszy WUBP, w pierwszych dniach śledztwa, zrozumieli zainteresowanie działalnością organizacji. Chciano uzyskać ode mnie jak najwięcej informacji dotyczących Akcji „Belweder”.

W toku intensywnego śledztwa, ponieważ nie uzyskano ode mnie żadnych dowodów rzeczowych w tej sprawie, w trzy tygodnie od chwili aresztowania, niespodziewanie — po ogłoszeniu i strzyżeniu — doprowadzono mnie przed oblicze szpakowatego, przyszedł podpułkownika przybyłego na inspekcję do Lublina z MBP w Warszawie.

W gabinecie wypełnionym kilkudziesięciu nieznajomymi mi oficerami UB i KBW, wśród których byli obecni także szefowie wydziałów śledczego i operacyjnego oraz zastępca szef WUBP, (gdyż sam szef WUBP w Lublinie plk. Jastrzębski został już aresztowany). Po „omówieniu” ze mną braku dwóch stronicy z mojego czarnego notosu — podejrzewając, że to moje ugrupowanie dokonało zamachu na aktora Stefana Martkę — z ust podpułkownika usłyszałem znowu, wielokrotnie zadawane mi już pytanie: — gdzie mam broń? Odpowiedziałem, że nie mam żadnej broni palnej, poza sześciopalcowym niemieckim karabinkiem pneumatycznym.

— Co? — zdenierował się podpułkownik. — Może mnie powiesz, że z tej broni zamierzałeś strzelać do Rokossowskiego? — Tak, oczywiście — oświadczyłem z głupią frańtą. Wtedy podpułkownik obrzywny jak burak z oburzenia, wrzasnął:

— Słyszeliście? A to ewolucja z wiatrówką na Rokossowskiego! Z wiatrówką... — aż się zapieścił. Po tych słowach otrzymałem silny cios pięścią w usta... raz, drugi, trzeci, aż mi pękły wargi.

Po tym niefortunnym incydencie, do sprawy zaplanowanych zamachów na wyższych dostojników państwowych, w toku dalszego śledztwa już nie wracano. W akcie oskarżenia na rozprawie przed Wojskowym Sądem Rejonowym jakby celowo pominięto te akcje.

W połowie marca 1952 roku, wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Lublinie, zostałem skazany na 8 lat więzienia.

JANUSZ GOSIEWSKI
(Lublin)

JUŻ NIE BYŁ MINISTREM

W drugim odcinku poświęconym Bolesławowi Bierutowi (L. Włodkowski — „Między dwoma rodzinami”, „Odgłosy” nr 46/88) znalazłem nieścisłość. Autor cytuje fragment dziennika M. Dąbrowskiej o spotkaniu z Bolesławem Bierutem i pisze:

„Natalia Modzelewska — to żona Zygmunta Modzelewskiego — ówczesnego ministra spraw zagranicznych”.

Ponieważ przyjęcie odbywało się w kwietniu 1952 r. Modzelewski nie był już ministrem spraw zagranicznych, ale rektorem Instytutu Nauk Społecznych przy KC PZPR. Minister spraw zagranicznych był Z. Modzelewski od 1947 do marca 1951. W tomie 4-tym „Dzienników” M. Dąbrowskiej pod datą 19 marca 1951 odnotowane jest odejście Modzelewskiego z rządu.

W latach 1951—1956 ministrem spraw zagranicznych był Stanisław Skrzyszewski.

Zygmunt Modzelewski był ojcem b. rzecznika „Solidarności” — Karola Modzelewskiego.

CZESŁAW ŻYLIŃSKI

INFORMUJEMY — ZAWIADAMIAMY — POLECAMY!

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ PAMIĘTIKARSTWA w Warszawie utworzyło oddział w Łodzi „ako SEKCJĘ TWÓRCZOŚCI SENIORÓW. Łódzka STS skupi wszystkich piszących nieprofesjonalnie z całego kraju. Mogą tu się zgłaszać piszący nie tylko pamiętniki, ale również opowiadania, bajki, fraszki. Oto adres: SEKCJA TWÓRCZOŚCI SENIORÓW, 93-139 ŁÓDŹ, ul. W. Doroszewskiego 7/59, tel. 43-77-70. Telefonicznie można porozumieć się rano lub wieczorem.

GDANSKI KANTOR SZTUKI organizuje w lutym 1989 roku aukcję w Hotelu „Hevelius” w Gdańsku. Aukcję poprzedzi trzydniowa ekspozycja 100 prac 60 twórców. Zainteresowani udziałem w aukcji mogą kontaktować się za pośrednictwem telexu nr 0512458 lub telefonicznie: 31-43-17.

„TYGODNIK KULTURALNY” organizuje jak co roku konkurs o „Złoty Wawrzyn”. Czytelnicy, jak i biblioteki typują najpoczytniejszych — ich zdaniem — pisarzy.

Wojewódzkie biblioteki publicznie zgłaszają kandydatury na najlepszą bibliotekę.

Można (a nawet trzeba) zgłaszać też kandydatury naczelników miast i gmin, którzy najskuteczniej wspierają działalność bibliotek.

Wszystkie kandydatury do „Złotego Wawrzynu” należy zgłaszać do 1 marca 1989 roku pod adresem: „Tygodnik Kulturalny”, ul. Noworodzą, 00-511 WARSZAWA.

DO 15 MARCA 1989 ROKU powinni zgłosić swoje prace kandydaci do nagród:

— filmowej „MINI-MAX”, co oznacza: minimum czasu, maksimum treści. Jest to konkurs na filmy, których projekcja trwa tylko minutę. Filmy muszą być nakręcone w latach osiemdziesiątych i nie mogły być zgłaszane poprzednio do konkursu „MINI-MAX”. Wszelkie szczegółowe informacje i zgłoszenia: Studeńskie Centrum Kultury „Zameczek-Remedium”, 41-205 Sosnowiec, ul. Mielczarskiego 39/III, tel. 66-77-52.

— WOJEWÓDZKIE PIÓRO. Jest to konkurs dla poetów i prozatorów, którzy nie są członkami ZLP. Można nadesłać pięć utworów poetyckich lub opowiadanie nie przekraczające 30 stron maszynopisu. Utwory poetyckie, jak i opowiadanie w 6 egzemplarzach. Pierwsza nagroda: 35 000, — złotych, druga — 25 000, — złotych, trzecia — 20 000 oraz trzy wyróżnienia po 15 000, — złotych. Przewidziano też 4 nagrody specjalne. Prace konkursowe należy wysłać pod adresem: Klub Międzynarodowej Prasy i Książki, ul. Warszawska nr 11/13, 87-800 WŁOCŁAWEK, z dopiskiem na kopercie „Włocławskie Pióro '89”. Jednym z organizatorów konkursu jest tygodnik włocławski „Kujawy”.

— „JAWOROWEGO LIŚCIA”. Tegoroczne hasło: „Człowiek — Przyroda”. Udział mogą brać poeci wszystkich pokoleń. Należy nadesłać zestaw trzech wierszy w trzech egzemplarzach. Pierwsza nagroda w wysokości 25 000, — złotych. Ogólna suma nagród i wyróżnień wynosi 100 000, — złotych. Prace należy nadsyłać pod adresem: Jaworski Ośrodek Kultury, Rynek 5, 59-400 JAWOR, z dopiskiem: „Laur JAWOROWEGO LIŚCIA”. Wszelkie informacje można uzyskać pod telefonem nr 28-78.

Przypominamy: do 15 marca 1989 roku!!!

NATOMIAST DO 20 LUTEGO 1989 ROKU trzeba wysłać prace do nagrody: „Laur Międzianego Amora”. Jest to konkurs dla wszystkich, którzy nadesłali: 3 zestawy wierszy w 5 egzemplarzach, przy czym jeden zestaw nie może przekraczać 6 stron maszynopisu, albo też w 5 egzemplarzach opowiadania. Wiersze i opowiadania powinny dotyczyć tematyki miłosnej. Ogólna suma nagród 300 000, — złotych. Prace należy nadsyłać Klub Międzynarodowej Prasy i Książki, 59-300 LUBIN (województwo łęczyńskie), plac Wolności 9, z dopiskiem „praca konkursowa”. Jednym z organizatorów jest redakcja czasopisma „Polska Miedź”.

ŻYCZYMY POWODZENIA!

„BEZ PISEMNEGO POTWIERDZENIA WICHURA JEST NIEWAŻNA”

W nawiązaniu do artykułu pt. „Bez pisemnego potwierdzenia wichura jest nieważna!” zamieszczonego w „Odgłosach” nr 2 z 8 stycznia 1989 roku pozwalam ustosunkować się z pełnym zdumieniem do przedstawionych problemów. Jestem zdania, że głupota ludzka w ujęciu przedstawionym w artykule osiągnęła szczyty. Jednakże ubolewam nad faktem, że autor artykułu próbuje balastem tej głupoty obarczyć pracowników administracji państwowej, a nie zechciał skierować swoich wysiłków na poważne a może nawet i fizyczne potraktowanie tych którzy go w „kierat” tej głupoty włączyli.

Zwracam również uwagę, na fakt, że z wewnętrznym oporem, jestem w poczuć zasady, że każdy interesant musi być przez pracowników administracji państwowej załatwiony. Wydział Ochrony Środowiska Gospodarki Wodnej i Geologii UW w Sieradzu potwierdził fakt wiejących silnych wiatrów w dniu 1988.11.29 stosownie do żądania interesanta.

Wydział jednocześnie stwierdził, że nie jest w stanie wypowiedzieć się w jakim zakresie wiatry uniemożliwiały pracę dźwigu i rozładunku wagonów ze stałą. Mogli to np. stwierdzić fachowcy od spraw bhp pracujący w instytucji zatrudniającej autora artykułu. Nasze stanowisko byłoby jednoznaczne rozstrzygnięciem w przypadku rozładunku wagonów z materiałami pykami i omawianych warunkach atmosferycznych. Ponieważ nasi interesanci kochają podróże, dlatego też chcą uzyskać dane o sile wiatru udali się na „dalsze badania” do Wielunia, mając potwierdzone już dane, o które prosili.

Ubolewam również, że nie skorzystam z zapisu o podległości Wydziału Obserwatorium Meteorologicznego w Wieluniu. Jest to po prostu wymysł autora artykułu, podobnie jak i zaprezentowane w art. inne odczucia i posądzenia. Przesyłając powyższe prośbę Redakcję o spowodowanie zaistnienia wiatrów bardziej korzystnych w działaniach czynników leżących poza sferą codziennej pracy administracji państwowej.

mgr EDWARD GABARA



DUŻA OBNIŻKA CEN, SZCZEGÓŁY W SKLEPACH
zapraszamy

Przedsiębiorstwo Turystyczne Spółki „INTERTOUR”
zaprasza na wczasy
połączone z następującymi kursami:

- * kosmetycznym
(dla potrzeb własnych) w terminie 29.04.—12.05.1989 r.
- * manicure-pedicure
(zdobycie uprawnień) w terminie 5.06.—18.06.1989 r.

organizowane w Domu Wczasowym „BOROWIK” w Jagniątkowie,
k. Jeleniej Góry.
Informacja i zapisy: PT „INTERTOUR”, Łódź, ul. Piotrkowska 73/75,
tel. 32-91-57 i 32-65-38.

163 K

**ZAKŁADY SPRZĘTU
PRZECIWPÓŻAROWEGO**
ŁÓDŹ ul. WÓLCZAŃSKA 241

Z A T R U D N I A

NATYCHMIAST:

- księgową ds. kosztów
- mistrza galwanizacji
- ekonomistę ds. analiz
- samodzielnego ref. ds. plac
- ref. ds. zaopatrzenia
- specjalistę ds. nowych
uruchomień
- konstruktorów-technologów
- mechanika samochodowego
- hydraulików i elektryków
- tokarzy pociągowych
i rewolwerowych
- frezerów
- kontrolerów jakości
- spawaczy
- gazowo-elektrycznych
- ślusarzy remontowych

- robotników transportu
i magazynu
z uprawnieniami na wózki
- zgrzewaczy tłoczarki
- emalierników i lakierników
- formierzy i rdzeniarki
na odlewnię metali kolorowych

**ORAZ
NA PRZYJUCZENIE
DO ZAWODU:**

- ślusarzy narzędziowych,
młodościowych
do przyuczenia zawodu.
- absolwentów Zasadniczych
Szkół Zawodowych
w zawodzie:
tokarz, frezer, ślusarz
remontowy i narzędziowy.

Zakład nie przyjmuje pracow-
ników po samowolnym porzuce-
niu pracy. Informacji udziela
Dział Spraw Pracowniczych —
tel. 84-78-51 i 81-01-40. 1111/k

UWAGA! UWAGA!
PRZEDSIĘBIORSTWA —
SPÓŁKI — RZEMIEŚLNICY
Spółka „POLSOW” —
P O S Z U K U J E
do budowy pawilonów handlowych
* **AKCJONARIUSZY** *
w dzielnicy Widzew.
Zapewniamy pomieszczenia
na działalność produkcyjno-
handlową.
Informacje: tel. 74-68-13, w
godz. 8—15. 535 K

NOWY
FIRMOWY SKLEP
SPÓŁKI
„POLSOW”
P O S Z U K U J E
* **PRODUCENTÓW** *
ATRAKCYJNYCH WYROBÓW
— różnych branż.
Możliwość wymiany towaro-
wej z zagranicą.
Informacje: tel. 74-68-13, w
godz. 8—15. 525 K

Przedsiębiorstwo Działów
Przemysłowo-Handlowych
„AZet”

SPÓŁKA z O.O.

**CHCESZ ZOSTAĆ MENEDŻEREM,
PRZYJDŹ DO NAS.**

Przeszkolimy Cię nieodpłatnie.
Ważne są Twoje predyspozycje:
INICJATYWA, PRZEDSIĘBIORCZOŚĆ.
Po odpowiednim przygotowaniu, gwa-
rantujemy samodzielne prowadzenie dzia-
łalności gospodarczej.

P O S Z U K U J E M Y
również
SAMODZIELNYCH PRACOWNIKÓW
do Działu Handlowego.

Nasz adres:
ŁÓDŹ, ul. WÓLCZAŃSKA 228,
tel. 84-94-19, 84-94-89 619 K

austrotex

Z A T R U D N I

**WYKWALIFIKOWANE
SZWACZKI**
oraz
OSOBY DO PRASOWANIA.

Praca jednozmianowa.
Zapewniamy atrakcyjne zarobki. Zain-
teresowanych prosimy o zgłaszanie się na
ul. Przędzalnianą 20, w Łodzi.

1106 K

**Polmatest
Majed**

456 K

ŁÓDZKA FABRYKA MASZYN JEDWABNICZYCH
„POLMATEX - MAJED”
w Łodzi

**PRODUCENT MASZYN
DLA PRZEMYSŁU WŁÓKIENNICZEGO i CHEMICZNEGO**

O R G A N I Z U J E

- * przeszkolenie i pracę w zakresie obsługi obrabiarek sterowanych numerycznie,
obrabiaerek skrawających, centrów obróbkowych, galwanotechniki oraz montażu
maszyn włókienniczych również dla absolwentów techników

O F E R U J E

atrakcyjną pracę INŻYNIEROM i TECHNIKOM szczególnie w specjalnościach

- * technologii budowy maszyn
- * konstrukcji maszyn włókienniczych
- * konstrukcji form do tworzyw sztucznych
- * konstrukcji oprzyrządowania do obróbki skrawaniem i plastycznej
- * powlekania galwanicznego i lakierniczego

Z A T R U D N I

pracowników wykwalifikowanych i do przyuczenia w zawodach:

- * tokarz
- * frezer
- * wiertacz
- * szlifierz
- * monterów maszyn
- * blacharz
- * elektryk
- * elektronik
- * wytaczarz
- * ślusarz
- * narzędziowych
- * remontowych

I N F O R M U J E M Y

iz monterzy maszyn, elektrycy i elektrycy delegowani są do prac przy mon-
tażu do wielu krajów świata.
Chętnym umożliwiamy podjęcie dodatkowego zatrudnienia na terenie przedsię-
biorstwa.

Nie przyjmujemy osób po porzuceniu pracy.
Posiadamy ośrodki wczasowe nad morzem i rzeką Wartą, prowadzimy wymianę
wczasów z przedsiębiorstwami w NRD.
Szczegółowych informacji udziela Dział Kadr i Szkolenia Zawodowego, Łódź, ul.
Żeromskiego 96, telefon 36-05-26 lub 36-57-00, wew. 115.

712/K

ZAKŁAD
GAZOWNICZY — ŁÓDŹ
Łódź ul. Targowa 18

Z A T R U D N I

- * **KIEROWNIKA DZIAŁU EKONOMICZNEGO**
- * **KIEROWNIKA DZIAŁU ZAOPATRZENIA**
- * **KIEROWNIKA DZIAŁU INKASA**
- * **STARSZEGO REFERENTA ds. ŁĄCZNOŚCI.**

Warunki płacy i pracy do omówienia na miejscu.
Zgłoszenia przyjmuje Dział ds. Osobowych i Szk. Zaw. Łódź, ul.
Targowa 18, tel. 74-48-69, tel. centrali 74-66-95 w. 240. 1116 k

„POLOTEX” Spółka z o.o.
zapraszamy do sklepu firmowego

„JANINA”

Łódź, ul. Próchnika 3

O f e r u j e m y:

- **ODZIEŻ DAMSKĄ i MĘSKĄ** renomowanych firm zagra-
nicznych i krajowych,
- **KRÓTKIE SERIE NADWYŻEK EKSPORTOWYCH,**
- **KOMBINEZONY, KURTKI i DRESY,**
- **KREACJE DLA PAŃ i wiele innych atrakcyjnych to-
warów!**

Prowadzimy także
KUPNO i SPRZEDAŻ

TOWARÓW POCHODZENIA ZAGRANICZNEGO.

395 k

— Dawno to robisz?
— Zanim odpowiem, uwaga techniczna: żadnego mikrofonu, notowania, bo to mnie rozprasza. Umawialiśmy się, że pogadamy jak dziewczyna z chłopakiem. Wywiady zawsze kojarzą mi się z przestuchaniami. Brr, nie przyjemnym. Wracając zaś do meritum sprawy, to usługi dla ludności prowadzę od zeszłego roku. Zaczęło się pewnego wiosennego dnia. To takie romantyczne, no nie, wygłupiam się, już będę poważna.
— O ile się orientuje, odwiedzają cię jedynie mężczyźni. Jak tu więc mówić o ludności?
— Powiedzmy, że panowie stanowią przytłaczającą większość, ale pojedyncze klientki także się zdarzają. Miłość nie zna granic, aczkolwiek faktem bezspornym jest, iż trzeba było trochę czasu i dłuższego moralnego kaca, żeby zrobić to pierwszy raz i wewnętrznie przetrwać.
— Taksa jest taka sama?
— Uznaję równouprawnienie płci.
— No, ale ile w końcu?
— Cenę uzgadnia się przed wspólnym spędzeniem czasu. Taka cena wywoławcza zależy od tego, czy przychodzi do mnie zaślony, siwutki satyr czy powiedzmy, przystojniak z telewizji. Ten pierwszy wybuli zawsze trochę więcej.
— Dlaczego?
— To jest to właśnie, co różni damę od hotelowej dziwki. Zresztą krawiec także liczy dwadzieścia procent więcej za nietypową sylwetkę.
— Prostyutka różnicuje cennik z uwagi na rodzaj usługi. e-wentualnie jeszcze bierze pod uwagę czas trwania znajomości. O kryterium wieku i wyglądu w życiu nie słyszałem.
— Być może masz rację, ale nie jestem prostytutką. Stosuję własne kryteria wyceny.
— Powiedz przynajmniej, w jakim przedziale jest honorarium za chwilę radości z damą?
— No, myślę, że musiałbyś popracować na upojną noc kilka tygodni, na chwilę na pewno z pół miesiąca. Tyle, co na lepszą sukienkę dla żony. Trudno tu mówić o wygórowanych cenach. W cywilizowanej Europie nie ma już tańszej dziewczyny.
— Nieźle się cenisz. Toż to rabunek, a nie usługa!

Obyczaje 1989

Co różni damę od hotelowej dziwki?

— Widzisz, prostytutki biorą po sto dolarów od łebka, a i tak opłaca się Turkom z Berlina Zachodniego przylatywać do „Victorii” na sobotę i niedzielę.
— Tak, ale sens istnienia instytucji cichodajki polega właśnie na nadzwyczajnym rabacie.
— Używasz brzydkich określeń.
— Nikt jeszcze nie wymyślił lepszego. Ale do rzeczy. Jesteś notowana?
— Nie, skądże. Moja podstawowa dewiza: absolutna dyskrecja. Raczej zamknięty krąg kochasów. Żadnego przesładywania w lokalach, streżenia w jakikolwiek sposób, korzystania z hoteli, moteli i domków campingowych. Dysponuję kilkoma absolutnie bezpiecznymi lokalami.
— Czyli, jednym słowem — dziewczyna na telefon.
— Telefon jest rzeczywiście niezbędny, ale nigdy nie służy mi do komunikowania się z klientem. Kolega ze studiów aranżuje spotkania. On tylko telefonuje.
— Przyjaciół.
— Wspólnik Łączą nas wyłącznie obopólne interesy.
— Dużo kasuje?
— Na pewno nie połowę jak naganiacze knajpiani i hotelowi. Wystarczająco jednak dużo, żeby mieć motywację, aby pracować efektywnie i lojalnie. Niezależnie od wspomnianego „Złotówka” potrafi wynagradzać zasługi.
— Czy znajomi, przyjaciele z roku nie rozkrzyżli cię? Przecież masz teraz na sobie co najmniej dwie stówki, a kurteczka w szafce też pewnie warta koło melona, jak nie więcej.
— Zatrzyj kiedyś na uczelnię. Zobacysz jak elegancko i bogato chodzą ubrane niektóre dziewczyny. Gdybym miała kłuć kogós w oczy strojami na zajęciach, moje dni byłyby policzone. Dzięki zamożnym koleżankom z dobrych domów nie wyróżniał się specjalnie. Kto wie, czy któraś z nich nie jest — jak brzydko to określasz — cichodajką, może nawet dolarową. Kto je tam wie.
— A z jakiego domu ty pochodzisz?
— Z normalnego.
— Dlaczego uprawiasz płatną miłość?
— Uwielbiam się kochać, a nie miałam dość pieniędzy na swoje wydatki.
— Jakże masz dochody?
— Nie prowadzę buchalterii. Pracuję, gdy mi się coś spodoba w sklepie albo gdy mam ochotę na wyjazd na narty lub na inne atrakcje turystyczne. Jeszcze raz podkreślam, że jestem damą a nie prostytutką, pracującą na okragio w kierunku zamówień tylko dla zbitcia szmalu i nie masz się co kłapać podsmiewać. Często meczczyźni wynagradzają mnie wycieczkami zagranicznymi we dwoje. Trochę jeździłam po Szwecji, Holandii, RFN i Francji. Przez niecały rok zobaczyłam kawałek Europy. Ta bransoletka i kozaki to również dodatkowe zadośćuczynienie za upojną chwilę.
— Jacy są dyrektorzy i rzemieślnicy prywatnie?
— Naczytałeś się za dużo literatury o rzeczach wziętych z sufitu. Tacy frajerzy mi się nie trafiają. Z prostej przyczyny. Nie stać ich.
— Co ci przeszkadza kasować w twardej walucie?
— Nie interesują mnie obokrajowcy. Cechuje mnie brak talentu do języków obcych. Nie wierzę tym, którzy twierdzą, że do tego wystarczy zasób kilku podstawowych słów. Na razie mam jeszcze w kim wybierać spośród krajowców.
— Czego wymaga krajowa klientela?
— Różnie bywa. Rzadko trafia się ktoś autentycznie otrzaskany z numerami z Kamasutry. Do tego trzeba mieć jednak odpowiednią warunki fizyczne, sprawność, a poza tym to najlepiej wychodzi w większym gronie. Mnie raczej nie bawią orgie. Naturalnie, zdarzają się jednostki, których nie satysfakcjonuje miłość po polsku. Jestem otwarta na oryginalne propozycje pod warunkiem, że klient w tym szczególnym przypadku jest w moim typie.
Na wymagania coraz większy wpływ mają wideofilmy. Zdarzyło mi się amant a'la Rourke z „Dziwiciu i pół tygodnia” Lyne'a. który mnie „przyprowadził do smaku” polewając obficie czerwonym bułgarskim szampanem. Prawie wszyscy lubią przed tym striptease do muzyki z videoklipów. Obowiązkowo dużo ostrego światła, czarne pończochy ze ściągaczami, przyozdobionymi czerwona, dyskretna kokardka, figi bez tyłu albo z zapięciem z boku, ośmiocentymetrowe szpilki, a więc wszystko to, czego nie może na ogół zaferować w tożsą żona czy narzeczona z zasadami.
— A jakie pozycje wchodzi w rachubę?
— Preferuję mężczyzn traktujących mnie z pozycji siły, aczkolwiek z umiarem, stosownym w obecności prawdziwej damy. Swoją pamięć musiał zawierzyć:

WŁODZIMIERZ KUPISZ

NR 7 (1611), 12 LUTEGO 1989 R.

Pod prąd Weryfikacja przez życie

Kiedy przypominam sobie lata pięćdziesiąte, a nawet jeszcze sześćdziesiąte i porównuję je z tym, co dzieje się w naszym kraju obecnie, odnoszę chwila wrażenie, że snię. No bo czy to mowi, że by socjalizm aż tak bardzo różnił się od socjalizmu? Przecież gdyby świętej pamięci I sekretarz KC PZPR, towarzysze Bolesław Bierut usłyszał kiedyś słowa, jakie padają dziś z ust I sekretarza KC PZPR, Wojciecha Jaruzelskiego i innych towarzyszy, niechybnie użnałby ich wszystkich za rewizjonistów, pacholików kapitalizmu, zdrajców i niebezpiecznych przestępców, po czym zamknął do końca życia, który musiałby być bardzo bliski. Nie inaczej postąpiłby prawdopodobnie I sekretarz Władysław Gomułka, choć ten akurat mógłby okazać się bardziej wyrozumiały i nie domagać się głów. Przypuszczam, że wystarczyłoby mu zamknięcie odszczepieńcom na zawsze ust.

Wziął ta (przynajmniej — nieco fantastyczna, by nie powiedzieć — surrealistyczna) skłania do głębszego zadumy i refleksji nad losem narodu, któremu w stosunkowo krótkim czasie przyszło doświadczyć aż tak wiele w imię jednej i tej samej idei. Wszyscy bowiem wymienieni powyżej wyrosli wszakże na tych samych naukach Marksa, Engelsa i Lenina. Wszyscy czerpali z tego samego źródła. Każdy jednak — widząc — trochę inaczej. I już choćby to powinno nam uzmysłowić, jak bardzo w świecie idei wszystko jest relatywne i jak bardzo mylą się ci, którzy uważają, iż tylko oni posiadli patent na prawdę, dając im w dodatku prawo do odbierania głosu myślącym inaczej.

To, co dziś wydawać się może fantazją, jutro ma szansę być czymś zupełnie realnym i normalnym. To, co wczoraj uważaliśmy za bluźnierstwo, dziś może stanowić wyznacznik wiary.

Nie chcę oczywiście w ten sposób niczego przesadzać. Nie chcę nikomu udowadniać, że musi stać się dokładnie tak i tak. Przede wszystkim dlatego, że nie chciałbym uchodzić za jasnowidza, czy też jedynego mądrego, który wie. Przypuszczam, że nie wiem, jak potoczą się dalej losy naszego kraju i bałbym się nawet cokolwiek przewidywać. Zwalazca teraz, kiedy wszystko wokół zmienia się tak szybko i gruntownie.

Ale właśnie — czy wszystko? Czy naprawdę odeszliśmy tak daleko od pewnych starych nawyków i wąskich torów myślenia? Mam duże wątpliwości. Zdanie swoje zaś opieram między innymi na rozmaitych wypowiedziach publicznych, przekazywanych przez grodki masowej komunikacji. Wypowiedziach, z których wiele budzi moje szczere zdziwienie, i to co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze — iż brzmia one właśnie jak głos jedynego mądrego, który wie. I po drugie, gdyż po brzmieniu w nich jeszcze echo stalinizmu.

Ważny chociażby tak żywo dyskutowany na ostatnim plenum KC PZPR problem pluralizmu politycznego i związkowego. Jak wiemy, jedni są za, inni — przeciw. Ci pierwsi mówią, że warto, a nawet trzeba zaryzykować. Ci drudzy nieodmiennie straszą nas niepokojami społecznymi, niezdrową rywalizacją związkową i, ogólnie rzecz biorąc, anarchią, jaka musi nas czekać po ponownym zarejestrowaniu „Solidarności” i, być może, innych jeszcze związków zawodowych.

Jeszcze raz powtarzam: nie wiem, co będzie. Wszystko może się zdarzyć. Generalnie nie zgadzam się jednak ze stanowiskiem przeciwników pluralizmu, a to dlatego, że niepokoj społeczne były i są, rywalizacji nie trzeba się oba-

wiać, kiedy zostają ustalone jasne i sprawiedliwe dla wszystkich reguły gry, co zaś się tyczy anarchii, to z wieloma jej przejawami od dawna już mamy do czynienia. Co dziwnejsze przy tym, wcale nie na skutek jakichś tam działań jakichś nielegalnych opozycji, ale — zaryzykowałbym — na skutek braku możliwości legalnego jej działania, choć nie tylko.

Zartuję? Bynajmniej. Obserwuję tylko i staram się z moich obserwacji wyciągać wnioski. Oto na przykład mówi się, że część słusznych decyzji najwyższych władz rozmywa się na niższych szczeblach, a nawet bywa na nich skutecznie torpedowana. Raz po raz informuje się o nieuzasadnionych podwyżkach cen, szkodliwych praktykach monopolistycznych, naciskach różnych lobbies, pozornych reorganizacjach i zmianach sztydów zamiast — metod działania. Czyż nie ma w tym pewnych znamion anarchii?

A jak określić dość liczne narzekania przedstawicieli administracji państwowej, z których wynika, że polecili to, czy tamto, ale ich polecenia nie są wykonywane i nikt za to nie odpowiada? Jak nazwać samowolę wielu urzędników, którzy wydają niezgodne z prawem decyzje? Jak myśleć o wcale nieradkich przypadkach bezkarności ludzi odpowiedzialnych za spowodowanie takich, czy innych strat?

Można oczywiście użyć różnych eufemizmów — pomyłka, błąd, niedopatrzenie, itp. I tychże najczęściej się używa, co byłoby może uzasadnione w rzadkich, odosobnionych przypadkach, ale przecież nie w sytuacji, kiedy zjawisko wciąż jeszcze jest dość często spotykane.

Dla mnie sprawa jest jasna: spirujemy się, dyskutujemy, protestujemy nawet — do momentu powzięcia decyzji. I temu właśnie służyć ma wielość organizacji prezentujących własne zdania, własne opinie, własne propozycje, czyli — pluralizm. Kiedy jednak decyzja już zapadnie, podporządkujemy się jej.

Tymczasem w Polsce było i, mimo że dziś już może w mniejszym stopniu, jest akurat odwrotnie. Przed — wszyscy są za lub nie mają zdania. Czasem również — głosu. A po — każdy i tak robi po swojemu, jak mu wygodnie. Nazywa się to: weryfikacja przez życie. Ładnie się nazywa. Tylko że jest to kolejny eufemizm.

JÓZEF RETMAN

Nagle zastępstwo Kto pomoże chórom?

Zwabił mnie tytuł koncertu: „Koledy i pastorałki”. Poszedłem więc posłuchać, a że rzecz wydała mi się interesująca, choć się podzielić z czytelnikiem paroma refleksjami. W skromnej sali bursy szkół średnich przy ulicy Przyszkoła koncertował chór Towarzystwa Śpiewaczego imienia Karola Szymanowskiego. Ten mały koncert, połączony z recytacjami poezji Polski Podziemnej z lat wojny, wydał mi się udany i sympatyczny, ale nie zamierzam odbierać chleba recenzentom muzycznym: pochwałę za tem ogólnie inicjatywę Domu Kultury na Górnej, wykonawców i sympatyczną publiczność, aby zająć się czym innym zgoła, mianowicie tym, o czym po koncercie powiedziała mi pani Alina Jezierska (prezes) oraz pan Jan Przybylski, dyrygent chóru.

Kiedy się patrzyło na młode twarze śpiewaków, trudno byłoby uwierzyć, że to śpiewa osiemdziesięcioletni starszek, tyle bowiem liczy sobie Włoszen ten zasłużony zespół! Po-

wstał w roku 1908... więc jubileusz wypadł całkiem niedawno. Na piękną tradycję chóru składa się wiele lat koncertowania i nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie fakt, iż nawet okupacja hitlerowska nie przerwała jego działalności. Śpiewali w latach wojny w kościele pod wezwaniem świętego Kazimierza na Włodzowie. Był to — jeśli się nie mylę — jeden z dwóch kościołów łódzkich, w których wolno było modlić się po polsku. Mgliście to pamiętam: rodzice przynieśli mnie do tego kościoła z dalekiego Śródmieścia. Bez wątplienia jako dziecko byłam słuchaczem tego właśnie chóru! Właśnie tam, na Włodzowie, Okupant tak się przywiązał do rzekomej niemieckości naszej Łodzi, że w „Litzmannstadt” nawet kościoły były nur für deutsche.

Za to polskie śpiewanie niedługo chórzysta zapłacił wysoką cenę.

Chór nadal chętnie koncertuje w kościołach, ma bogaty repertuar muzyki sakralnej. Ale nie tylko: dyrygent Jan Przybylski, który prowadzi zespół od maja 1988 roku, przeprowadza w nim rewolucyjne zmiany. Odmłodził chór, wciąż, zresztą poszukuje młodych, muzycznych ludzi, nawet bez muzycznego przygotowania, choć ma także „kadrę” chórzystów uprawiających muzykę profesjonalnie. A przyciąga młodzież z pokolenia rocka w różny sposób: na przykład przez własne do repertuaru spiritual songs, czyli muzyki sakralnej zza oceanu.

Wreszcie sprawa najważniejsza, dla której właśnie zdecydowałem się napisać o chórze im. Karola Szymanowskiego. Chórzysty i ich młody energiczny dyrygent mają plany bogate i ambitne, o wielu nawet nie chcą mówić, żeby nie zaprzężyć. Oprócz planów mają także kłopoty (kto ich nie ma?). Oto w „epoce rocka” każdy młodzieżowy zespół ma kogoś, kto zafunduje sprzęt elektroniczny, kto sypnie groszem. Skromny i niemodny chór nie przyciąga uwagi bogatych sponsorów, choćby miał najwyższą kategorię (a ma!), choćby prezentował wysoki poziom i miał liczne sukcesy. A przecież potrzeby ma niewielkie — nie używa mikrofonów, wzmacniaczy i Bóg jeden wie czego. Potrzebuje trochę pieniędzy, żeby zafundować sobie nagranie kasety na profesjonalnym poziomie, żeby wyjechać na festiwal czy tournée. Tak niewiele. Ale w czasach komercjalizacji kultury, w czasach morderczych dla niektórych rodzajów sztuki pomysłów na samowystawczalność takim zespołom grozi upadek! Chuda kasa państwowa jakoś tam je wspiera, ale czy nie mogłoby tak zasłużony zespół mieć sponsora w przemyśle na przykład, co niniejszym poddaję pod rozważenie zainteresowanym — nie wątpię, że tacy istnieją...

A Czytelników zachęcam do śledzenia anonsów prasowych: chór koncertuje tu i ówdzie, warto przyjść, posłuchać. Naprawdę warto.

ANDRZEJ KAROL

P.S. Jeszcze szerszą sprawą, jeszcze poważniejszą jest ogólny udział tak kiedyś licznych amatorskich chórow i orkiestr, choćby dętych. Kiedyś ambicją każdego większego zakładu było mieć taki chór czy orkiestrę. A dziś? Chyba tylko na Śląsku. Albo lepiej w Czechosłowacji czy w NRD.

3 Lewym okiem Co będzie wczoraj?

W dniu 18 stycznia br. otrzymałem następujące zawiadomienie: „Przedsiębiorstwo Go-

spodarki Mieszkaniowej Łódź-Śródmieście ul. Bucza nr 6 zawiadamia, że z dniem 1 stycznia 1989 r. zostanie przeniesiona obsługa naszego przedsiębiorstwa z IV oddziału mieszkaniowego NBP w Łodzi do II Oddziału PBG w Łodzi. W związku z tym należy dokonywać wpłat należności czynszowych na konto... itd.”.

Jak wiadomo, czynsze należy wpłacać w ciągu pierwszych dziesięciu dni każdego miesiąca za miesiąc poprzedni. Tak więc między pierwszym a dziesiątym stycznia znakomita większość mieszkańców mojej dzielnicy, tzn. ta porządna większość, czynsze już wpłaciła na poprzednie konto. Teraz będą latały po Łodzi papierki i pieniądze, namnoży się pomyłek, opóźnień, znowu dostanę monit za czynsz już zapłacony itd. Odpowiedni urzędnik jednak jest przekonany, że swoją pracę wykonał, kopię wysłanych zawiadomień wpisał do segregatora, urzędujemy dalej.

Abonuję miesięcznik „Dzielnik”. Zawiera on dużo praktycznych porad dla ludzi uprawiających działki. Ukazuje się notorycznie ze sporym opóźnieniem np. listopadowy numer otrzymałem w ostatnim dniu grudnia. W sylwestrowy wieczór lub w dzień Nowego Roku mogłem sobie przeczytać pocztową informację: „W połowie grudnia przygotowujemy materiał do robienia stroików świątecznych. Wykorzystujemy do tego świece ozdobne, wstążki, gałązki, szyszki itd. i dużo własnej inwencji. Dzięki niej na pewno wyczarujemy najpiękniejszy, bo własny stroik na świąteczny stół”.

W październiku roku 1987 r. a więc półtora roku temu ukazała się w księgarniach moja książka pt. „Pyszny, dziurawy placzek”. Był to wybór moich felietonów z ostatnich kilku lat. W miesięczniku „Nowe książki” nr 10 z 1988 roku, a skoro nr 10 to widocznie odpowiadał październikowi, opublikowana została recenzja z tej książki, pióra Jana Koprowskiego, napisana zresztą rok wcześniej. Ową październikowy numer „Nowych Książek” znalazł się w sprzedaży w połowie stycznia bieżącego 1989 roku. Recenzja jest pozytywna i sprawiła mi dużą satysfakcję, za co autorowi jestem winien podziękowanie. Tylko jaką właściwie rację bytu ma publikowanie recenzji z książek w półtora roku po jej ukazaniu się na rynku. Komu, do czego to jest potrzebne?

Podaję tu przykłady tylko z mojego wąskiego, przeciętnego osobistego doświadczenia. Takich przypadków jest z całą pewnością mnóstwo i pewnie przypomniałbym je sobie gdyby było warto, ale wystarczy i to, aby wskazać na jeszcze jeden objaw niesamowitego bałaganu myślowo-biurokratycznego, narażającego kraj na niemałe koszty, a pozbawionego jakiegokolwiek praktycznego sensu. Doprawdy nic z tego nie wynika prócz kosztów. Dajmy lepiej spokój wydawnictwu periodyków, jeżeli wydaje się je tylko po to, żeby wydłużyć rzędy tomów na półkach bibliotecznych. Dajmy spokój zawiadomieniom o rzeczach absolutnie nieaktualnych i poradom „co będzie dziś na obiad?”, kiedy już siedzimy przy kolacji.

Nie zawsze jest tak, że lepiej późno niż wcale. Bardzo często bywa tak, że lepiej wcale niż nie wiadomo po co.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

ODGŁOSY 15

